## Galaktyczny smakosz

# James White

*Przekład Radosław Kot*

Dla Petera

mojego syna niegdyś i w przyszłości

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Gurronsevas przywykł do szacunku. Wiedział jednak, że zwykle nie chodziło o jego wysoką inteligencję czy wybitne kwalifikacje zawodowe. Większość istot zwracała w pierwszym rzędzie uwagę na niezwykłe rozmiary i wielką siłę Tralthańczyka. Tak więc chociaż zaproszenie na mały mostek rzadko trafiało się pasażerowi — nawet jeśli był on akurat jedynym pasażerem na pokładzie — Gurronsevas wolałby, aby kapitan Tennochlana nie przesadzał z uprzejmością i pozwolił mu dokończyć podróż w mniej zagraconej i znacznie obszerniejszej ładowni.

Siedział wszakże w milczeniu i patrzył z podziwem na ekran, na którym rosła z wolna wielka sylwetka Szpitala Kosmicznego Sektora Dwunastego. Ten widok szybko sprawił, że zapomniał o niewygodach. Z zapartym tchem obserwował jaskrawe boje wyznaczające ścieżki podejścia, jasno oświetlone stanowiska dokowania i mieniące się najróżniejszymi barwami okna oddziałów, w których odtworzono wszystkie niemal środowiska właściwe istotom rozumnym zamieszkującym Galaktykę.

Siedzący obok kapitan Mallan pokazał zęby i wydał szczekliwy odgłos, który oparł się wysiłkom autotranslatora. Gurronsevas wiedział, że u ludzi takie zachowanie oznacza wesołość.

— Proszę się nacieszyć tym widokiem, dopóki pan może — rzekł dowódca statku. — Ci, którzy tu pracują, rzadko wychodzą na zewnątrz.

Jego podwładni na mostku zachowali milczenie. Gurronsevas, który nie wiedział, co mógłby odpowiedzieć, wziął z nich przykład.

Nagle obraz Szpitala zniknął i na ekranie pojawiła się podobizna zielonkawego chlorodysznego Illensańczyka o rysach zamazanych nieco przez wypełniającą jego kombinezon żółtą mgiełkę.

— Tu recepcja — powiedział i Gurronsevasowi wydało się, że mimo pośrednictwa autotranslatora wypowiedź ma nadal coś z oryginalnej sykliwości mowy chlorodysznego. — Proszę o identyfikację. Podajcie, czy macie na pokładzie pacjentów, gości czy personel, i określcie gatunki. Jeśli to nagły przypadek, proszę najpierw opisać stan pacjenta. Proszę też o klasyfikację fizjologiczną wszystkich na pokładzie, abyśmy mogli przygotować dla was odpowiednie pomieszczenia oraz stosowną aprowizację.

— Aprowizację — mruknął kapitan, spoglądając z uśmiechem na Gurronsevasa. — Nie mamy na pokładzie nagłego przypadku. Jestem major Mallan, dowódca statku zwiadowczego Korpusu Kontroli Tennochlan, w locie kurierskim z Retlinu na Nidii. Załoga składa się z czterech przedstawicieli ziemskiego typu DBDG. Pasażer jest jeden, Tralthańczyk FGLI. Ma dołączyć do personelu Szpitala. Wszyscy to ciepłokrwiści tlenodyszni, z których przynajmniej jeden, to znaczy ja, chętnie zapomniałby na jakiś czas o pokładowych racjach żywnościowych...

— Proszę czekać — przerwał mu recepcjonista. Wyraźnie nie zamierzał tracić czasu na pogawędki o ziemskim jedzeniu, które dla Illensańczyka było śmiertelnie trujące. Na ekranie znowu pojawił się masyw Szpitala. Z bliska robił jeszcze większe wrażenie. Ale mogli podziwiać go tylko chwilę.

— Podążajcie torem wytyczonym przez czerwono — żółto — czerwone boje do śluzy przy stanowisku dwudziestym trzecim — powiedział zielonoskóry. — Po zacumowaniu oficerowie Korpusu zameldują się u pułkownika Skemptona. Na Gurronsevasa będzie czekał porucznik Timmins.

Gurronsevas zastanowił się, czy chodziło o uprzejmość ze strony istoty, która mogła się okazać jego przełożonym. Po namyśle uznał, że chyba nie. Recepcjonista nie wydawał się szczególnie poruszony perspektywą wizyty znamienitego gościa, chociaż sława Gurronsevasa musiała dotrzeć nawet na Illensę. Wszak znała go i podziwiała cała Federacja. Ilekroć zjawiał się na którejś z planet zamieszkanych przez ciepłokrwistych tlenodysznych, było to wydarzenie. Tutaj zaś usłyszał tylko krótką zapowiedź, że ktoś wyjdzie mu na spotkanie.

Gdyby sam siebie nie cenił wystarczająco wysoko, zapewne poczułby się urażony.

Timmins okazał się Ziemianinem w zielonym mundurze, który chociaż czysty i zadbany, był już tak znoszony, że insygnia ledwo dawało się odczytać. Czubek głowy oficera porastały miedziane włosy. Pokazał zęby w grymasie, który u przedstawicieli jego gatunku nie oznaczał agresji, ale był odpowiednikiem uśmiechu. Sprawiał wrażenie pewnego siebie, do gościa zaś odnosił się z wyważonym szacunkiem.

— Witamy na pokładzie — powiedział, gdy wstępną prezentację mieli już za sobą. — Technicznie rzecz biorąc, nasz szpital jest za mały, aby uznać go za sztuczną planetę, za duży natomiast na statek międzygwiezdny. Jednak puryści językowi upierają się, żeby nazywać go statkiem, a my stosujemy się do tego, chyba że sięgamy po inne jeszcze, mniej wytworne nazwy... Gdy tylko będzie to możliwe, chciałbym pokazać panu kwaterę i objaśnić z grubsza, jak co u nas działa. Będąc szefem działu utrzymania i eksploatacji, odpowiadam za wszelkie sprawy środowiskowe z wyjątkiem, rzecz jasna, środowiska społecznego. Tym zajmuje się major O’Mara, który pragnie widzieć pana jak najszybciej w swoim gabinecie. Biorąc pod uwagę natężenie ruchu na korytarzach i konieczność wkładania ubiorów ochronnych przy przechodzeniu przez strefy o innych warunkach naturalnych, do celu dotrzemy zapewne za jakieś dwadzieścia minut. Po drodze przekażę panu najważniejsze informacje, które powinni otrzymać wszyscy nowi w Szpitalu. Jeśli zatem można, poprowadzę.

Gdy wyszli z przedsionka śluzy i ruszyli rękawem ku pomieszczeniom Szpitala, porucznik zaczął od przeprosin — na wypadek gdyby w jego przemowie znalazło się coś, co gość już słyszał. Potem wyjaśnił, że Szpital Kosmiczny Sektora Dwunastego jest najnowocześniejszym, największym i, w zgodnej opinii środowiska medycznego, najlepszym szpitalem wielośrodowiskowym, jaki kiedykolwiek zbudowano. Do jego powstania przyczyniły się dziesiątki gatunków. Produkcja i transport kolejnych modułów wytwarzanych na rozmaitych planetach zajęły blisko dwa dziesięciolecia. Utrzymanie i zarządzanie całością powierzono Korpusowi Kontroli, zbrojnemu ramieniu Federacji, jednak nigdy nie stał się on bazą wojskową. Na trzystu osiemdziesięciu czterech poziomach można było odtworzyć środowiska wszystkich gatunków zrzeszonych w Federacji, co obejmowało bardzo szerokie spektrum, począwszy od kruchych metanodysznych, przez tleno — i chlorodysznych, po istoty żywiące się twardym promieniowaniem.

Gurronsevas nie słuchał zbyt uważnie. Pochłaniało go przede wszystkim unikanie zderzeń z innymi użytkownikami korytarza, zarówno większymi od niego, jak i mniejszymi. Wędrowali tłocznym i gwarnym labiryntem przejść o białych ścianach, labiryntem, w którym niebawem sam powinien umieć znaleźć drogę.

Dwaj krabopodobni Melfianie i jeden Illensańczyk zawarczeli i zasyczeli na niego, gdy niezgrabnie zatrzymał się na skrzyżowaniu, aby ich przepuścić. Naraził się w ten sposób również idącemu z tyłu drobnemu i rudawemu Nidiańczykowi, który wygłosił szczekliwą reprymendę. Otrzymany jeszcze na pokładzie statku prosty translator nastawiony był tylko na tłumaczenie mowy Ziemian, Gurronsevas nie wiedział więc, co dokładnie syczały, gulgotały i jęczały do niego spotkane istoty.

— Teoretycznie o pierwszeństwie przejścia decyduje ranga medyczna — powiedział Timmins. — Niebawem nauczy się pan rozpoznawać ją po kolorowych opaskach. Wszyscy je tu noszą. Jak długo pan sam nie ma opaski, pański status pozostaje nieokreślony... Uwaga, pod ścianę!

Prosto nas nich jechało urządzenie zajmujące niemal połowę szerokości korytarza. Był to ruchomy moduł ochronny stosowany przez lekarzy rasy SNLU, istoty oddychające przegrzaną parą. Ciśnienie i temperatura w ich środowisku były bez dwóch zdań zabójcze dla tlenodysznych. Przy takich spotkaniach, wyjaśnił Timmins z uśmiechem, lepiej zapomnieć o starszeństwie i posłuchać instynktu samozachowawczego nakazującego błyskawicznie usunąć się z drogi.

— Szybko pan do tego przywyknie — dodał. — Widywałem już gości, którzy podczas pierwszego kontaktu z przedstawicielami aż tylu różnych gatunków wpadali w panikę, uciekali i kryli się albo zastygali sparaliżowani strachem. Pan radzi sobie całkiem nieźle.

— Dziękuję — odparł Gurronsevas. Normalnie nie byłby skłonny dzielić się informacjami o sobie z kimś ledwie poznanym, ale komplement mile go połechtał. — Mam doświadczenie, jeśli chodzi o takie sytuacje, poruczniku. Podobne sceny można ujrzeć podczas wielogatunkowych konwentów i zjazdów. Tyle że ich uczestnicy są zwykle gorzej wychowani.

— Naprawdę? — spytał porucznik ze śmiechem. — Na pańskim miejscu poczekałbym z oceną manier napotkanych istot do chwili, gdy otrzyma pan wielokanałowy autotranslator. Nie wie pan, co niektóre z nich mówiły o panu. Za kilka minut dotrzemy do departamentu psychologii.

Gurronsevas zauważył, że na tym poziomie korytarze są znacznie mniej zatłoczone, a mimo to nie poruszają się szybciej. Wręcz przeciwnie — z jakiegoś powodu Ziemianin zwolnił.

— Zanim pan wejdzie — powiedział nagle, jakby po dłuższym wahaniu — chyba dobrze będzie, jeśli usłyszy pan coś o osobie, którą za chwilę pan pozna.

— To może się okazać pomocne — zgodził się Gurronsevas.

— Major O’Mara jest naczelnym psychologiem. Uzdrawiaczem umysłu, o ile pamiętam wasze nazewnictwo. Odpowiada za harmonijne współistnienie i współpracę ponad dziesięciu tysięcy istot, które wywodzą się niekiedy z bardzo zróżnicowanych kultur...

Jak wyjaśnił porucznik, mimo starannego doboru kandydatów, wzajemnej tolerancji i powszechnego poszanowania fachowości, zdarzały się w Szpitalu tarcia albo konflikty. Najczęściej wynikały one ze zwykłej niewiedzy albo niezrozumienia, czasem jednak wiązały się z głębszymi problemami, głównie o podłożu ksenofobicznym. Uprzedzony do pacjentów albo do kolegów znerwicowany lekarz nie mógł należycie wywiązywać się ze swoich obowiązków, niekiedy zaś cierpiał nawet na rozszczepienie osobowości. Zadaniem O’Mary i jego ludzi było wykrywanie i rozwiązywanie podobnych problemów. W ostateczności mogli nawet usunąć kłopotliwą istotę ze szpitala. Mało kto lubił pracowników tego działu, tym bardziej że naprawdę przykładali się do pracy.

— Ze względów formalnych O’Mara nosi stopień majora Korpusu Kontroli. Wprawdzie mamy tu wielu oficerów i lekarzy starszych od niego stopniem, jednak w związku ze specyficznymi zadaniami, które stoją przed jego działem, trudno uznać go za czyjegokolwiek podwładnego. Podobnie, jak trudno byłoby określić granice jego władzy.

— Już dawno pojąłem, na czym polega różnica między stopniem a zakresem władzy — powiedział Gurronsevas.

— To dobrze — odparł Timmins, wskazując na zbliżające się drzwi. — Tutaj. Proszę przodem.

Znaleźli się w sporym pomieszczeniu z czterema biurkami stojącymi po obu stronach przejścia wiodącego do wewnętrznych drzwi. Tylko trzy stanowiska były zajęte: przez Tarlanina, Sommaradvankę i Ziemianina w mundurze Korpusu. Oficer ów nosił ten sam stopień co Timmins. Tarlanin i Sommaradvanka nie unieśli głów znad ekranów, jednak zerknęli na gościa. Ziemianin spojrzał na niego otwarcie. Gurronsevas przesunął się w głąb pomieszczenia. Starał się stawiać swoje sześć nóg jak najostrożniej, aby nie wprawić wszystkiego w drżenie.

Uznał, że nie wypada się odzywać do podwładnych majora, zanim nie porozmawia z ich przełożonym.

— Gurronsevas, nowo przybyły na Tennochlanie. Do majora — przedstawił go krótko Timmins.

— Major czeka na pana — odparł drugi oficer. — Proszę tędy.

Wewnętrzne drzwi się uchyliły.

— Powodzenia — szepnął porucznik, zostając za progiem.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Gabinet naczelnego psychologa był znacznie większy niż zewnętrzne biuro i niepokojąco przypominał dobrze wyposażoną izbę tortur rodem z dawnych, barbarzyńskich czasów cywilizacji Gurronsevasa. Wkoło stały różnego kształtu meble służące za siedziska przedstawicielom rozmaitych ras. Dwie instalacje zwieszały się nawet z sufitu. Jako istota, która wszystko zwykła czynić na stojąco (chyba że trzeba było spojrzeć w oczy komuś znacznie mniejszemu), Tralthańczyk nie zwrócił większej uwagi na te urządzenia. Bez wahania przesunął się na wolne miejsce tuż przed obrotowym blatem, za którym siedział ten osobnik o nieokreślonym bliżej zakresie władzy — O’Mara.

Gurronsevas skierował wszystkie oczy na majora, ale nadal się nie odzywał. Gospodarz wiedział, z kim ma do czynienia, nie było więc sensu się przedstawiać. Tralthańczyk chciał ponadto pokazać, że jest istotą o silnej woli, której nie da się skłonić do niepotrzebnego gadulstwa. Wolałby też uniknąć złego wrażenia na samym początku, kiedy szczególnie łatwo o jakąś gafę.

Major wydawał się dość stary, przynajmniej według ludzkich standardów, chociaż rosnące nad oczami włosy miał raczej szarawe niż białe. Odwzajemniając spojrzenie przybysza, nie poruszył nawet spoczywającymi na blacie dłońmi, nie drgnął również żaden mięsień jego twarzy. Dopiero po dłuższej chwili lekko skinął głową. I też się nie przedstawił.

Gurronsevas nie był pewien, który z nich wygrał ten milczący pojedynek.

— Na początek muszę powitać pana w Szpitalu Kosmicznym Sektora Dwunastego — rzekł bez mrugnięcia okiem psycholog. — Obaj jednak wiemy, że to tylko grzecznościowa formułka, gdyż Szpital nie zapraszał pana, niezależnie od pańskich kwalifikacji. Pańskie przybycie to skutek decyzji ministerstwa Federacji. Komuś tam wpadło do głowy, aby pana przysłać, my zaś mamy dopiero ocenić, czy to dobry pomysł. Zgadza się pan z taką oceną sytuacji?

— Nie — odparł Gurronsevas. — Nie przysłano mnie. Zgłosiłem się na ochotnika.

— To szczegół techniczny i być może pański błąd — powiedział O’Mara. — Dlaczego chciał pan tu trafić? Tylko proszę nie powtarzać argumentów, które przedstawił pan we wniosku. Jest długi, szczegółowy, przekonujący i zapewne prawdziwy, ale podobne dokumenty zbyt często są interpretowane na korzyść wnioskodawcy. Nie sugeruję, że miało tu miejsce jakieś świadome zafałszowanie, możliwe jednak, że nie wszystko wygląda dokładnie tak, jak jest w rzeczywistości. Nie ma pan doświadczenia klinicznego?

— Wie pan, że nie — odparł Gurronsevas, opanowując irytację. — Nie sądzę jednak, aby to była istotna przeszkoda.

O’Mara przytaknął.

— Proszę powiedzieć, o ile to możliwe w kilku słowach, dlaczego chce pan tu pracować.

— Ja nie pracuję — wyrzucił z siebie Tralthańczyk i tupnął dwiema nogami na tyle silnie, że meble wkoło zadrżały. — Nie jestem rzemieślnikiem ani technikiem. Jestem artystą.

— Proszę o wybaczenie — powiedział O’Mara tonem, który w żadnym razie nie pasował do przeprosin. — Dlaczego postanowił pan wyróżnić ten konkretny szpital swą sztuką?

— Ponieważ jest dla mnie wyzwaniem. Być może największym, gdyż to największa i najlepsza ze wszystkich podobnych placówek. Nie próbuję nikomu pochlebiać, to powszechnie znany fakt.

O’Mara przechylił lekko głowę.

— To fakt znany wszystkim, którzy tu pracują. Cieszy mnie, że nie próbuje pan sięgać po pochlebstwa, zgrabne czy nie, te bowiem na mnie nie działają. Nie wyobrażam sobie też, abym sam mógł kogoś nimi uraczyć, chociaż w niektórych sytuacjach mimo wszystko jestem uprzejmy. Czy dobrze się rozumiemy? Tym razem prosiłbym więc o trochę obszerniejszą wypowiedź. Pod jakim względem nasz szpital wydał się panu na tyle atrakcyjny, że zdecydował się pan na podróż, i jakich wpływów pan użył, że panu na nią pozwolono? Był pan niezadowolony z poprzedniego zajęcia? Jak się układała panu współpraca z przełożonymi? A może to oni chcieli zrezygnować z pana?

— Oczywiście, że nie! — wykrzyknął Gurronsevas. — Pracowałem w Cromingan — Shesk w Retlinie na Nidii, a to największy i najlepszy w całej Federacji wielośrodowiskowy hotel. Z najlepszą z możliwych restauracją. Traktowano mnie tam bardzo dobrze, a gdyby nawet nie, cały czas miałem do wyboru wiele innych miejsc gotowych rywalizować o moje usługi. Byłem tam szczęśliwy, aż prawie rok temu zdarzyło mi się rozmawiać z komandorem Roonardthem, Kelgianinem, który dowodził bazą Korpusu na Nidii.

Gurronsevas przerwał, przypominając sobie krótką wymianę zdań, która sprawiła, że wszystko, co robił wcześniej, wydało mu się szalenie nudne.

— Słucham — powiedział cicho O’Mara.

— Roonardth chciał osobiście mnie skomplementować, a był kimś wystarczająco istotnym dla mnie, abym uszanował prośbę i podszedł do jego stolika. Jak pan wie, Kelgianie są na tyle prostolinijni, że nie potrafią kłamać i nie skrywają niczego za maską uprzejmości. Najpierw powiedział, że nie jadł jeszcze w życiu równie wspaniałych pędów winnych z Crelletu, a potem dodał, że radość jego jest tym większa, iż niedawno przebywał w Szpitalu Kosmicznym Sektora Dwunastego, gdzie leczono go po jakimś śmiertelnie groźnym wypadku, który nastąpił w przestrzeni. Nie miał najmniejszych powodów, by narzekać na opiekę medyczną, jednak gdy raz skrytykował otrzymywane posiłki, pochodząca z Ziemi pielęgniarka wyznała mu w tajemnicy, iż w Szpitalu realizowany jest tajny plan mający na celu otrucie zbyt długo przebywających na oddziałach pacjentów. I że i tak ma wielkie szczęście, że nie musi jadać w stołówce. Mówiąc o truciu, komandor oczywiście żartował, dodał jednak, że gdyby ktoś w moim rodzaju, o ile jest ktokolwiek taki, objął tam posadę szefa kuchni, morale personelu i zdrowie pacjentów wielce by na tym zyskały. Był to wielki komplement i tak go też potraktowałem, potem wszakże zacząłem się zastanawiać nad podsuniętym mi pomysłem. Wkrótce moje wcześniejsze dokonania, całkiem przecież satysfakcjonujące, wydały mi się mizerne, życie zaś nudne i pozbawione celu. Gdy Roonardth ponownie zjawił się na obiad, postarałem się o kolejne spotkanie i zapytałem, czy mówił poważnie. Okazało się, że tak. Komandor był wystarczająco ważną osobą i miał dość wpływów, aby skierować mnie do Szpitala i polecić działowi utrzymania. Ale czekać na to musiałem aż rok.

— Tak — rzekł O’Mara. — Roonardth zrobił, co tylko było w jego mocy. Zakładam, że spędził pan ten rok, zaznajamiając się z organizacją Szpitala. I że podobnie jak każdy przybysz, chciałby pan jak najszybciej pokazać się z dobrej strony? Ma pan już plan?

Gurronsevas chciał odruchowo odpowiedzieć, że nie jest zwykłym przybyszem, ale pojął, że major użył tego określenia celowo, aby nieco wytrącić go z równowagi.

— Tak.

Psycholog zmierzył go bez słowa wzrokiem, następnie zaś pokiwał głową i pokazał zęby.

— Skoro tak, od czego zamierza pan zacząć?

— Jak tylko będzie to możliwe, chciałbym się spotkać z technikami obsługującymi linie żywnościowe i personelem medycznym zajmującym się dietetyką, by przedstawić się tym, którzy ewentualnie jeszcze o mnie nie słyszeli...

O’Mara uniósł dłoń.

— Wszystkimi technikami? Nawet chlorodysznymi, metanodysznymi i im podobnymi?

— Oczywiście — odparł Tralthańczyk. — Jednak nie planuję rewolucji w diecie egzotycznych gatunków...

— Dzięki bogom i za to — mruknął O’Mara.

— ...dopóki nie zgłębię wszystkiego, co dotyczy ich żywienia, i nie otrzymam pomocy ekspertów tak w kwestiach technicznych, jak i medycznych. Z czasem zamierzam powiększyć moje doświadczenie kulinarne, nawet jeśli obecnie jest ono niemałe. Chcę wzbogacić je o znajomość kuchni innych ras niż ciepłokrwiste tlenodyszne. Ostatecznie od teraz jestem naczelnym dietetykiem Szpitala.

O’Mara pokręcił głową. Tralthańczyk wiedział, że gest ten oznacza negację. Z irytacją zastanowił się, co ta niemiła istota ma przeciwko objęciu przez niego nowych obowiązków.

— Powiem panu dokładnie, kim pan jest i co pan będzie robić — rzekł psycholog. — Obecnie jest pan potencjalnie niebezpieczny. Jako przybysz bez jakiegokolwiek szpitalnego doświadczenia powinien pan otrzymać status stażysty. Zamiast tego został pan mianowany na stanowisko kierownicze w dziale, którego działalność i specyfika są panu całkiem obce. Na pańską korzyść przemawia to, że zdaje pan sobie sprawę z własnej ignorancji i że, w odróżnieniu od większości stażystów, ma pan rozległe doświadczenie w nawiązywaniu kontaktu z przedstawicielami obcych ras. Niemniej niebawem stanie pan przed istotami, które nigdy nie gościły w ekskluzywnej restauracji hotelu Cromingan — Shesk. Ponieważ ma pan o sobie wysokie mniemanie, ja zaś skłonny jestem niekiedy okazać takt, będę unikał takich określeń, jak „musi pan” czy „trzeba”, chociaż w tym przypadku byłyby one całkiem na miejscu. Nie, proszę mi nie przerywać. Przede wszystkim proszę pamiętać o tym, że mimo wielkiego wpływu na smakoszy wśród wyższych oficerów Korpusu tutaj jest pan na okresie próbnym, który może zostać skrócony z co najmniej trzech powodów. Po pierwsze, sam może pan uznać, że to zbyt ciężka praca, i złożyć rezygnację. Po drugie, ja mogę uznać, że się pan nie sprawdza, i odesłać pana do domu. Po trzecie, i co najprawdopodobniejsze, okaże się pan na tyle kompetentny, że będziemy zmuszeni zatwierdzić pańskie mianowanie i prosić, by pozostał pan w Szpitalu. Zanim jednak zacznie pan cokolwiek planować, proszę możliwie najlepiej poznać to miejsce. Oczywiście w rozsądnym czasie. Nim zdecyduje się pan zmienić cokolwiek w menu, proszę uzgadniać każdą propozycję z dietetykami oddziałowymi dla uniknięcia potencjalnie szkodliwych skutków. Gdyby miał pan jakiekolwiek problemy z sobą, postaram się oczywiście pomóc. O ile, rzecz jasna, przekona mnie pan, że sam nie jest w stanie ich rozwiązać. Gdyby pojawiły się inne kłopoty albo gdyby chciał pan o coś spytać, proszę zwrócić się do porucznika Timminsa. Jeśli pan jeszcze tego nie odkrył, przekona się pan, iż jest on osobą uprzejmą i skłonną do pomocy, a przy tym, w odróżnieniu ode mnie i wielu innych osób w Szpitalu, znosi cierpliwie towarzystwo wszelkiej maści głupców. Gdy będę miał więcej czasu, porozmawiamy o sprawach administracyjnych, takich jak pańska pensja, uprawnienia do płatnych urlopów i zniżkowych przelotów do domu albo na wakacje, przydziałowe wyposażenie i ubranie ochronne. Niemniej, tak czy owak, na razie będzie pan nosił opaskę stażysty, aby...

— Dość! — krzyknął Gurronsevas, nie próbując nawet ukryć oburzenia. — Nie chcę pensji. Dzięki moim wyjątkowym talentom zgromadziłem już więcej, niż zdołam wydać przez resztę życia. Nawet gdybym był bardzo rozrzutny. Przypominam też panu, że jestem cenionym w całej Federacji specjalistą, a nie stażystą, nie będę więc nosił opaski...

— Jak pan chce — rzekł cicho O’Mara. — Czy chce mi pan powiedzieć coś jeszcze? Nie? Zatem mam nadzieję, że ma pan teraz pilniejsze zajęcia niż marnowanie swojego i mojego czasu. — Spojrzał znacząco na ręczny zegarek i stuknął w konsolę. — Braithwaite — powiedział do mikrofonu. — Chcę się zaraz widzieć ze starszym lekarzem Cresk — Sarem.

Gurronsevas wrócił do zewnętrznego biura. Nadal płonął gniewem i nie starał się już iść cicho. Nidiański lekarz, którzy czekał na rozmowę z O’Marą, błyskawicznie zszedł mu z drogi, reszta personelu zaś wpatrywała się pilnie w swoje ekrany, chociaż drobne przedmioty leżące na blatach drżały w takt kroków Tralthańczyka. Zatrzymał się dopiero obok konsoli Timminsa.

— To wybitnie irytująca osoba — wysapał. — Jak na uzdrawiacza umysłu jest szczególnie niesympatyczny i niewrażliwy. Wprawdzie nie jestem specjalistą, ale powiedziałbym, że zapewne bardziej szkodzi swoim pacjentom, niż im pomaga.

Timmins pokręcił powoli głową.

— Bardzo się pan myli — stwierdził. — Major zwykł mawiać, że jego praca polega na upuszczaniu powietrza tym, którzy są zbyt nadęci. Jeśli nie spotkał się pan dotąd z tym ziemskim powiedzeniem, później je panu wyjaśnię. Jest bardzo dobrym psychologiem, najlepszym, jakiego mógłby sobie życzyć ktoś w prawdziwych kłopotach, lecz zwykł traktować w podobnie sarkastyczny sposób również tych, którzy nie są jego pacjentami. Nawet jeśli nie ma powodów interesować się nimi zawodowo. Gdyby zaczął okazywać panu współczucie albo zrozumienie, traktować jak pacjenta, a nie jak kolegę, znaczyłoby to, że znalazł się pan w bardzo nieciekawej sytuacji.

— Chyba nie rozumiem... — rzekł Gurronsevas.

— W rzeczy samej wykazał się pan sporym opanowaniem — dodał porucznik z uśmiechem. — Ten gabinet jest dźwiękoszczelny. W zasadzie jest, bo i tak często coś słyszymy. Tymczasem pański podniesiony głos dobiegł nas tylko raz. Wielu próbuje trzaskać drzwiami, gdy wychodzi od szefa.

— Przecież to przesuwane drzwi...

— I tak próbują.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Kabina była o wiele mniejsza od jego mieszkania w Retlinie, ale piękny, zajmujący całą ścianę, niemal trójwymiarowy obraz przedstawiający tralthańskie góry przydawał jej przestronności. Kolory pozostałych ścian i sufitu odpowiadały jego przyzwyczajeniom. Niewielkie, ale wygodne zagłębienie sypialne z pochylnią wejściową wpuszczono w podłogę tuż pod obrazem. Pokój został wyposażony w moduł antygrawitacyjny, co pozwalało regulować siłę ciążenia na czas ćwiczeń albo wypoczynku. Było to bardzo przydatne, gdyż w większości pomieszczeń Szpitala utrzymywano przyciąganie o połowę mniejsze niż na Tralcie. W narożniku tkwił komunikator z wielkim ekranem, dwa kontenery (duży i mały), które przywiózł na Tennochlanie, czekały przy wejściu.

— Nie oczekiwałem czegoś aż tak miłego, poruczniku — powiedział Gurronsevas. — Bardzo dziękuję za starania.

Timmins uśmiechnął się i machnął ręką, jakby chodziło o drobiazgi. Potem wskazał konsolę komunikatora.

— To standardowy model — wyjaśnił. — Daje dostęp do wielu kanałów medycznych oraz informacyjnych. Jeden z nich pozwala zapoznać się z układem Szpitala i dokładniej studiować jego wybrane fragmenty. Dla zrozumienia wszystkiego będzie pan potrzebował wielofunkcyjnego autotranslatora, który leży na module. Niestety, kanały rozrywkowe... Na tych dla ludzi nadają ciągle same starocie, rzekomo z innymi jest podobnie. Chodzą słuchy, że odpowiedzialny za stażystów starszy lekarz Cresk — Sar specjalnie tak to urządził, aby zachęcać wszystkich do nauki. Co ciekawe, O’Mara nigdy oficjalnie temu nie zaprzeczył.

— Rozumiem i współczuję — mruknął Gurronsevas.

Timmins uśmiechnął się znowu.

— Tutaj i tutaj ma pan schowane w ścianie szafy, tam i tam są wysuwane bolce do wieszania obrazów. Widzi pan, jak to działa? Pomóc panu przy rozpakowywaniu i układaniu rzeczy?

— Nie mam ich tak wiele, pomoc nie będzie zatem potrzebna — odparł Tralthańczyk. — Prosiłbym jednak, aby ten większy kontener został jak najszybciej umieszczony w chłodni, najlepiej takiej, do której miałbym swobodny dostęp. Jego zawartość przyda mi się przy pracy.

Na twarzy Timminsa odmalowała się ciekawość, której jednak Gurronsevas nie zamierzał na razie zaspokajać.

— Na końcu korytarza jest chłodnia — rzekł oficer. — Chyba nie będę ściągał wózka antygrawitacyjnego. Skrzynia wygląda na dość lekką.

Kilka chwil później cenny kontener znalazł się w schowku, Timmins zaś spytał, czy Tralthanczyk pragnie teraz odpocząć.

— A może chce pan zacząć zwiedzanie Szpitala? — dodał. — Począwszy, na przykład, od stołówki ciepłokrwistych tlenodysznych?

— Ani jedno, ani drugie — odparł Gurronsevas. — Wrócę do siebie i przyjrzę się planowi Szpitala. Prędzej czy później i tak będę musiał się go nauczyć i... jak wy to mówicie?... stanąć na własnych nogach.

— Rozumiem. Ma pan numer mojego komunikatora. Proszę dzwonić, gdyby potrzebował pan pomocy — rzekł porucznik.

— Dziękuję. Zapewne pańska pomoc będzie mi potrzebna. Mam tylko nadzieję, że niezbyt często.

Timmins uniósł rękę i wyszedł bez słowa.

Następnego dnia Gurronsevas dotarł na właściwy poziom bez pytania o drogę, głównie jednak dzięki temu, że ruszył w ślad za dwiema melfiańskimi studentkami, które głośno wyrażały niepokój, czy zdążą coś zjeść przed wykładem. Był wszakże pewien, że teraz trafi już do stołówki samodzielnie.

Nad szerokim, pozbawionym drzwi wejściem widniały napisy w czterech podstawowych językach Federacji: tralthańskim, orligiańskim, ziemskim i illensańskim. Wszystkie obwieszczały to samo, dodatkowo nagrany głos powtarzał tę informację na użytek autotranslatorów przedstawicieli pozostałych ras:

STOŁÓWKA

dla klas

DBDG, DBLF, DBPK, DCNF, EGCL, ELNT, FGLI, FROB

Istoty klas GKNM i GLNO

wchodzą na własną odpowiedzialność

Gurronsevas przekroczył próg i zamarł porażony widokiem tylu obcych zgromadzonych w jednym miejscu i zgiełkiem ich rozmów. Wszyscy zdawali się szczekać, chrząkać, piszczeć, świergotać, gwizdać i pojękiwać równocześnie.

Sam nie wiedział, jak długo stał w wejściu, patrząc na lśniącą podłogę z szeregiem stołów i siedzisk przeznaczonych dla rozmaitych ras. Nigdy dotąd nie widział czegoś podobnego. Byli tam Kelgianie, lanie, Melfianie, Nidiańczycy, Orligianie, Dwerlanie, Etlanie, Ziemianie i oczywiście Tralthanczycy, ale dojrzał też sporo innych istot, których nie znał. Wielu konsumentów siedziało przy stołach dla zupełnie innych gatunków i posługiwało się całkiem egzotycznymi dla siebie sztućcami, zapewne tylko po to, aby móc porozmawiać podczas obiadu z przyjaciółmi.

Widział istoty, które mogły imponować swoją siłą, ale i takie, które wyglądały jak zrodzone z najmroczniejszych koszmarów. Dojrzał też osobnika o trzech parach przepięknie mieniących się skrzydeł. Owadopodobny wydawał się tak kruchy, że Tralthańczyk natychmiast zaniepokoił się o jego bezpieczeństwo w tej ciżbie. Przy mało którym stole można było dostrzec wolne miejsce.

Nie ulegało wątpliwości, że w Szpitalu nie zbywa na wolnej przestrzeni i że pracujący razem starają się też razem jadać. Gurronsevas miał tylko nadzieję, że wszyscy nie musieli zamawiać tego samego.

Zastanowił się, czy dałoby się przyrządzić danie, które każdy ciepłokrwisty tlenodyszny zjadłby ze smakiem, i doszedł do wniosku, że to prawdziwe wyzwanie dla wielkiego Gurronsevasa. Nagle ktoś wpadł na niego z tyłu.

— Nie stój w przejściu! — usłyszał od Kelgianki o srebrnym futrze, która przepchnęła się obok.

— Jak będziesz tak stał i patrzył, to zagłodzisz się na śmierć — dodała jej towarzyszka.

Gdy zrobił kilka kroków do środka, dotarło do niego, że jest głodny, ale ciekawość była silniejsza. Chciał bliżej przyjrzeć się temu pięknemu owadopodobnemu, który unosił się nad stołem dla Melfian. Poniżej było wolne miejsce.

Obcy rzeczywiście był owadem, co przy stole dawało się stwierdzić ponad wszelką wątpliwość. Wielkim, niezwykle kruchym owadem, który jednak w zestawieniu z pozostałymi istotami w jadalni wydawał się drobny. Miał podłużne, zewnętrznoszkieletowe ciało, z którego wyrastało sześć cienkich jak słomki nóg, cztery jeszcze delikatniejsze manipulatory oraz trzy pary uderzających powoli skrzydeł. Istota wisiała prawie nad blatem i zwijała na jednej z kończyn nitkowaną, ciągnącą się z lekka substancję, którą przenosiła następnie do otworu gębowego. Gurronsevas bez trudu rozpoznał ziemskie spaghetti.

Przede wszystkim jednak, z bliska owa istota była jeszcze piękniejsza. Jej głos przypominał melodyjne trele, niemalże sam w sobie był muzyką.

— Dziękuję, przyjacielu — powiedziała. — Jestem Prilicla. A ty musisz być Gurronsevas.

— Chyba jesteś telepatą — odparł zdumiony Tralthańczyk.

— Nie, przyjacielu Gurronsevas. Jestem Cinrussańczykiem. Nasza rasa jest wyczulona na emanacje emocjonalne, powiedziałbym więc, że to raczej empatia niż telepatia. W tobie wyczułem emocje typowe dla kogoś, kto doświadcza czegoś całkiem nowego, jednak bez obaw, które często temu towarzyszą. Najsilniejsza była ciekawość. Gdy połączyłem to z zasłyszanymi niedawno nowinami o Tralthańczyku, który ma przybyć do Szpitala i objąć stanowisko naczelnego dietetyka, nietrudno było się domyślić, kim jesteś.

— Tak czy owak, jestem pod wrażeniem — stwierdził Gurronsevas. Mały owadopodobny emanował wyraźnie wyczuwalną serdecznością. — Mogę się dosiąść?

— Jesteś nazbyt uprzejmy, przybyszu — powiedział rosły Orligianin siedzący po przeciwnej stronie stołu. Był to starszy osobnik o posiwiałej sierści, która niemal zakrywała pasy z wyposażeniem. Nie było mu zbyt wygodnie na skraju melfiańskiego fotela, co być może wyjaśniało niejakie braki w uprzejmości. — Nazywam się Yaroch — Kar. Siadaj po prostu, zanim ktoś zajmie ci miejsce. W Szpitalu jest regułą, że kto przesadza z dobrymi manierami, chodzi zwykle niedożywiony.

Siedzący nieco dalej Ziemianin wydał dźwięk oznaczający śmiech.

— Wybieranie menu jest całkiem typowe — podjął Orligianin znacznie już spokojniej. — Trzeba wystukać swój typ fizjologiczny, a na ekranie pojawi się lista dostępnych dań. Tralthańczyków mamy w Szpitalu całkiem sporo, więc i wybór jest nie najgorszy, chociaż o jakości tego żarcia i jego smaku można by dyskutować.

Gurronsevas nie odpowiedział, zmienił jednak zdanie o Orligianinie. Nie był wcale nieuprzejmy. Starał się nawet pomóc.

— Nowym zdarza się często, że widok dań spożywanych przez sąsiadów, a niekiedy widok samych sąsiadów, wpływa negatywnie na ich apetyt. W takim wypadku wystarczy zamknąć wszystkie oczy prócz tego, które patrzy na talerz. Nikt nie poczuje się urażony. Jeśli zaś naprawdę jesteś tym, kto będzie niebawem odpowiedzialny za jakość tego, co jemy, a raczej za brak owej jakości, ułatwisz sobie życie, jeśli możliwie najdłużej nie będziesz o tym nikomu wspominał.

— Dziękuję serdecznie za informacje i dobrą radę — odparł Gurronsevas. — Niestety, trudno mi będzie się do niej zastosować.

— Znowu przesadzasz z uprzejmością — mruknął Orligianin i zajął się jedzeniem.

Gurronsevas zbliżył się do stołu. Wolał nie zniszczyć melfiańskiego mebla i pozostał w pozycji stojącej.

— Wyczuwam, że jesteś głodny, ale i ciekaw, jak jem — odezwał się ponownie Prilicla. — Zajmij się może zatem zaspokajaniem pierwszej potrzeby, podczas gdy ja zadbam o zaspokojenie drugiej.

Prilicla mógł nie być telepatą, ale przy tak wielkiej wrażliwości na sygnały emocjonalne różnica była niezauważalna.

— Już jakiś czas temu stwierdziłem, że unoszenie się w powietrzu podczas jedzenia korzystnie wpływa na moje trawienie — wyjaśnił owadopodobny, odpowiadając na nie wypowiedziane pytanie. — Poza tym wzbudzany przez skrzydła prąd powietrza świetnie chłodzi zbyt gorącą zupę moich ziemskich kolegów. Nitki, które spożywam, to ziemski makaron, popularne pożywienie tutejszych techników klasy DBDG. Jest oczywiście sztuczny, co powoduje, że jadalny staje się dopiero po dodaniu znacznych ilości sosu, który jednak pryska łatwo na twarze co bliżej siedzących osób. Czy jest jeszcze coś, co chciałbyś wiedzieć, przyjacielu Gurronsevas?

— Bardzo interesuje mnie, czy jadasz jeszcze inne dania, które nie wywodzą się z cinrussańskiej kuchni? — rzekł Gurronsevas, zapominając w uniesieniu, by nie mówić ustami, które zajęte są jedzeniem. — Znasz może inne takie przypadki? A może jeszcze ktoś przy tym stole sięga czasem po potrawy obcych?

Yaroch — Kar odłożył sztućce.

— Zdarza się to Diagnostykom, zwłaszcza jeśli noszą akurat w głowie wybitnie silne obce osobowości i nie są do końca pewni swojej tożsamości. Czasem też ktoś sięgnie po coś dziwnego dla zakładu albo na samym początku pracy w Szpitalu. Wtedy zachodzi coś w rodzaju inicjacji. Niemniej cieszę się, że nie jest to zbyt powszechna praktyka, bo spróbuj sobie wyobrazić, jak uganiam się po całym stole za melfiańskimi pierzaczkami.

— Naprawdę podaje się tu żywe dania? — spytał z niedowierzaniem Gurronsevas.

— Trochę przesadziłem, ale tylko trochę — odparł Yaroch — Kar. — Tutejsze pierzaczki ruszają się wprawdzie, ale nie są żywe. Robi się je z tej samej gastronomicznej papki co wszystko inne. Tyle że po drodze dodaje się do niej kilka substancji, które pozwalają każdemu kawałkowi zachować własny ładunek elektryczny. Potem połowę ładuje się dodatnio, połowę zaś ujemnie i miesza je tuż przed podaniem na stół. W ten sposób, zanim ładunki się zneutralizują, talerz wygląda na pełen życia. To całkiem realistyczne i, jak dla mnie, mocno niesmaczne.

— Fascynujące — mruknął Gurronsevas, dochodząc do wniosku, że jego rozmówca wie zdumiewająco wiele o sekretach tutejszej kuchni. — W hotelu Cromingan — Shesk musieliśmy sprowadzać żywe pierzaczki, zwykle na mokro, co strasznie windowało ceny i czyniło z nich rarytas. Jednak czy nie byłoby możliwe przygotowanie dania, które nadawałoby się dla wszystkich ciepłokrwistych tlenodysznych i wszystkim im smakowało? Czegoś, co łączyłoby w sobie, powiedzmy, wygląd i smak kelgiańskich pędów winnych, melfiańskich orzechów bagiennych, oczywiście pierzaczków, orligiańskiego skarkshi, nallajimskiego siemienia, ziemskiego steku i spaghetti i jeszcze naszego... O co chodzi? Coś nie tak?

Wszyscy prócz Prilicli wydawali donośne, nieprzetłumaczalne odgłosy. W końcu Ziemianin odpowiedział.

— Nie tak? Sam ten pomysł przyprawia nas o mdłości.

Prilicla zaświergotał krótko i podjął wątek.

— Przyjacielu Gurronsevas, nie wyczuwam u nikogo negatywnych emocji ani obrzydzenia, więc to tylko żarty. Nie ma się czym przejmować.

— Rozumiem — rzekł Gurronsevas, spoglądając na owadopodobnego. — Czy zwijanie nitek makaronu też wpływa korzystnie na twoje trawienie?

— Nie, przyjacielu Gurronsevas. To robię tylko dla zabawy.

— Gdy byłem młody, co oznacza bardzo dawne czasy, często upominano mnie, abym się nie bawił jedzeniem — powiedział Yaroch — Kar.

— Też pamiętam takie uwagi — zaświergotał Prilicla. — Jednak teraz, gdy jestem duży i silny, mogę robić, co chcę.

Gurronsevas patrzył chwilę ze zdumieniem na kruchego obcego, ale zaraz przyłączył się do pozostałych i też się roześmiał.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Po obudzeniu Gurronsevas zamyślił się tak głęboko, że stracił poczucie czasu, i dopiero brzęczyk u drzwi, wraz z towarzyszącym mu sygnałem świetlnym przywróciły go do rzeczywistości. Za drzwiami stał porucznik Timmins.

— Przepraszam, jeśli przeszkadzam — powiedział. — Mam nadzieję, że dobrze pan spał. Czy chciałby pan odwiedzić dzisiaj jakieś konkretne miejsce? Może komputer cateringowy albo syntetyzer żywności, albo kuchnie oddziałowe? Możemy też zorganizować naradę z technikami odpowiedzialnymi za...

Gurronsevas uniósł dwie skrzyżowane górne kończyny, prosząc w ten sposób o ciszę. Timmins musiał znać ów gest, gdyż zaraz umilkł.

— Na razie nie — odparł Tralthańczyk. — Domyślam się, że ma pan wiele obowiązków, poruczniku, ale jak długo będzie można, chciałbym się spotykać wyłącznie z panem.

— Owszem, mam inne obowiązki, ale mam też asystenta, który bardzo stara się udowodnić, że w gruncie rzeczy nie jestem tutaj potrzebny. Przez najbliższe dwa dni będę do pańskiej dyspozycji. Potem oczywiście też, na ile czas pozwoli. Co proponuje pan zatem na początek?

Timmins wyraźnie się niecierpliwił, ale Gurronsevas nie myślał od razu wychodzić.

— Mam nadzieję, że nie zabrzmi to zbyt wyniośle, ale chciałbym przypomnieć, oby po raz ostatni, o mojej niedawnej pozycji na Nidii. Cromingan — Shesk to wielki hotel dla przedstawicieli rozmaitych ras. Kuchnie, nad którymi miałem tam pieczę, były z oczywistych powodów wyposażone w bardzo nowoczesny sprzęt, a ten oczywiście ulegał co pewien czas awariom. Zdołałem ograniczyć ich częstotliwość, zapoznając się z funkcjonowaniem urządzeń, ich dobrymi i słabymi stronami. W końcu wiedziałem, do czego służy i jak pracuje każdy procesor, panel zamówień, piec, każda najdrobniejsza nawet krajarka. Poznałem też od podszewki pracę kuchcików, kelnerów, dekoratorów, techników serwisowych i tak dalej, aż do szeregowej ekipy sprzątającej. Opanowałem cały system na tyle, aby wiedzieć zawsze, skąd się wzięła awaria i czy zdarzyła się rzeczywiście, czy ktoś próbował mnie oszukać. Zanim zacznę wydawać jakiekolwiek polecenia personelowi, muszę poznać dokładnie swój teren, zakres obowiązków i rzeczywiste problemy, które mogę napotkać. Chcę, aby moja niewiedza o poczynaniach podwładnych była jak najmniejsza. Naukę rozpoczynam z tą chwilą.

Timmins otworzył usta, ale nie wyglądało to na uśmiech.

— Wobec tego będziemy musieli zejść do tuneli inspekcyjnych — powiedział w końcu. — Tam bywa brudno, niemiło i niebezpiecznie. Jest pan pewien, że tam właśnie chce się udać?

— Całkowicie.

— Zatem chodźmy, porozmawiamy po drodze — rzekł porucznik. — Na początek proszę mnie wysłuchać, nie przerywając. Na końcu korytarza jest właz...

Timmins oświadczył, że mapy ukrytych tuneli i węzłów inspekcyjnych Szpitala, które Gurronsevas studiował jeszcze przed przybyciem, zostały przygotowane przede wszystkim na użytek osób z zewnątrz. Były mocno uproszczone i od lat ich nie aktualizowano. Jakby na dowód tego, zaraz po przejściu przez właz ujrzeli wiodące w dół schody, których według planu wcale nie powinno tam być.

— Są wystarczająco solidne, aby utrzymać pańską masę, ale proszę zachować ostrożność — powiedział porucznik. — A może wolałby pan przejść trochę dalej, do rampy? Wiem, że Tralthańczycy miewają kłopoty z pokonywaniem schodów...

— W hotelu korzystałem z nich codziennie — przerwał mu Gurronsevas. — Proszę tylko nie nakłaniać mnie do wchodzenia po drabinie.

— Nawet nie zamierzam. Ale proszę przodem. Nie chodzi o uprzejmość, w razie czego nie chciałbym się znaleźć na drodze spadającego Tralthańczyka, który waży ćwierć tony. Jak pan tutaj widzi?

— Całkiem dobrze.

— Ale czy dość dobrze, aby rozpoznać w tym świetle wszystkie kolory? Nie cierpi pan na klaustrofobię?

— Potrafię ocenić na oko, czy dany owoc jest świeży — odparł Gurronsevas, opanowując irytację. — Każdy niemal owoc. Z dokładnością do kilku godzin mogę powiedzieć, kiedy go zerwano. Na klaustrofobię nie cierpię.

— Świetnie — rzekł Timmins. — Ale proszę się rozejrzeć — dodał przepraszającym tonem. — Znajdujemy się w labiryncie tuneli, węzłów serwisowych i schowków. Ściany i sufit pokrywa plątanina kabli i rur. Każdy przewód oznaczony jest innym kolorem, dzięki czemu ludzie z obsługi widzą na pierwszy rzut oka, gdzie mają do czynienia z przewodem zasilającym, gdzie ze światłowodem, gdzie z rurą z tlenem, z chlorem czy metanem, a gdzie ze ściekami. Tak samo jak pan w wypadku owoców. Zawsze musimy się liczyć z ryzykiem skażenia jakiegoś oddziału przez opary obcych tam substancji, ale robimy co możemy, aby nie doszło do takiej katastrofy przez pomyłkę, bo ktoś niedowidzący pomylił przewody. Zwykle nie pytam nikogo o sprawność organów wzroku, gdyż O’Mara poddaje wszystkich właściwym testom jeszcze przed rozpoczęciem stażu, pan jednak nie jest stażystą, nie znamy więc pańskich predyspozycji... Proszę czym prędzej schować się w tej niszy po prawej!

Od kilku sekund Gurronsevas słyszał wysoki, piskliwy dźwięk, którego źródło wyraźnie się przybliżało. Poczuł, jak drobne dłonie Timminsa napierają na dolną część jego ciała w sposób, który inny Tralthańczyk uznałby za poufałość. Porucznik jednak popędzał go tylko w kierunku niszy. Sam też zaraz się tam wcisnął.

Obok przemknął ślizgacz z wielkim ładunkiem na pace. Skrzynie niemal ocierały się o ściany i sklepienie tunelu.

— Dzień dobry, poruczniku — krzyknął przez warkot silnika kierujący pojazdem człowiek.

Timmins tylko uniósł dłoń. Nie próbował nawet się odzywać, gdyż ślizgacz oddalał się ze sporą szybkością.

Gurronsevas wiedział już, czemu służyły rozmieszczone w regularnych odstępach nisze.

— Czy nie zaoszczędzilibyśmy sporo czasu, gdybyśmy również skorzystali ze ślizgacza? — spytał. — W Retlinie często jeździłem po centrum miasta, gdzie panował olbrzymi ruch. Wydaje mi się, że byłem dobrym kierowcą.

Timmins pokręcił głową.

— Na te warunki zapewne nie dość dobrym. Gdyby zamierzał pan tu pracować, skierowałbym pana na specjalny kurs urządzany w pustej ładowni o wyściełanych, miękkich ścianach. Pozwala on uniknąć zniszczeń i ran. Nie wzięliśmy pojazdu, gdyż poruszalibyśmy się zbyt szybko, aby zdołał pan cokolwiek zobaczyć.

— Rozumiem.

— Świetnie. Ale zrobimy mały test. Co może pan powiedzieć o tym odcinku tunelu, który dotąd pokonaliśmy?

Minęło wiele lat, odkąd Gurronsevas ukończył szkołę, ale nadal lubił robić dobre wrażenie na nauczycielach.

— Z początku wydawało mi się, że słyszę nad głową szuranie i tupanie oraz przytłumione głosy. Było ich zbyt wiele, aby nadawały się do przetłumaczenia. Pomyślałem, że widocznie przechodzimy pod jednym z głównych korytarzy. Wyczułem też słabą woń, która w większym stężeniu byłaby zapewne nieprzyjemna. Pod sufitem, oprócz standardowych przewodów zasilających, światłowodów i rur z mieszanką azotowo — tlenową, doszło kilka rur o większej średnicy. Sądząc po oznaczeniach, z wodą. Widziałem też parę mniejszych przewodów w kolorach, których znaczenia na razie mi pan nie wyjaśnił. Mam pytanie.

— Dobra odpowiedź zasługuje na nagrodę — rzekł z uśmiechem Timmins. — Słucham.

— Minęliśmy kilka urządzeń i szafek z wyposażeniem, na których nie było żadnych oznaczeń. Czy obsługa jest zobowiązana znać ich funkcje na pamięć?

— Ależ nie... — zaczął Timmins, lecz przerwał mu sygnał nadjeżdżającego pojazdu. Prowadzący go srebrzystofutry Kelgianin minął ich w całkowitym milczeniu. Gdy wyszli z kolejnej wnęki, porucznik podjął wątek: — Nawet Diagnostycy nie mają aż tak dobrej pamięci. Proszę spojrzeć, po pańskiej prawej mamy czerwono — niebiesko — białą szafkę z trzema dochodzącymi do niej sporymi rurami z wodą. Na drzwiach widać duży panel inspekcyjny i niewielką ruchomą pokrywkę. Proszę ją unieść i przycisnąć guzik pod spodem.

Gurronsevas zrobił, o co został poproszony, i nagle na korytarzu rozległ się nowy głos. Nie dało się rozpoznać języka, ale translator zadziałał bez zarzutu.

— Jestem awaryjną pompą utrzymania poziomu cieczy w głównym oddziale Chalderczyków. Przepływająca przeze mnie woda zawiera potrzebne skrzelodysznym AUGL mikroelementy, które chociaż nie są toksyczne, uczynią ją niezdatną do picia dla innych ciepłokrwistych gatunków. Włączam się automatycznie. Panel inspekcyjny otwiera się przez wsunięcie klucza uniwersalnego w szczelinę obwiedzioną czerwonym okręgiem i przekręcenie go o dziewięćdziesiąt stopni w kierunku wskazywanym przez strzałkę. W przypadku naprawy albo wymiany należy sięgnąć po instrukcję serwisową numer trzy, rozdział sto trzydziesty drugi. Nie zapomnij zamknąć panelu przed odejściem. Jestem awaryjną pompą...

Gurronsevas zamknął panel i głos ucichł.

— Dźwiękowy opis — rzekł z podziwem. — Każdy wyposażony w autotranslator zrozumie wszystko bez trudu. Powinienem się domyślić.

— Przechodzimy na poziomy illensańskie — powiedział z uśmiechem Timmins. — Unosząca się w powietrzu woń i zielony kolor przewodów świadczą o obecności chloru. Zanim pójdziemy dalej, musimy włożyć ubiory ochronne. Proszę skręcić w następną niszę po lewej. Przez chwilę nie będzie się pan musiał przejmować ruchem.

Nisza okazała się magazynem kombinezonów dla przedstawicieli różnych ras. Pod ścianami ciągnęły się szafki z przezroczystymi drzwiczkami, które pozwalały rozpoznać zawartość, a dźwiękowe opisy służyły na żądanie instrukcjami użycia. Timmins wybrał strój dla siebie i włożył go szybko, po czym pokazał Gurronsevasowi, gdzie są tralthańskie szafki.

— Przy sześciu nogach może pan mieć z początku niejakie kłopoty z wkładaniem tego, pomogę więc panu — rzekł. — Ten strój jest zarówno lekkim kombinezonem izolującym od wpływu odmiennego środowiska, jak i zwykłą odzieżą ochronną. Mój ma kaptur z osłoną na twarz. W razie potrzeby można go uszczelnić. Jest odporny na działanie chloru i wysokich temperatur. Pański ma nieduży zapas mieszanki oddechowej, instalację chroniącą przed przegrzaniem oraz mały nadajnik alarmowy, gdyby konieczne okazało się wezwanie pomocy. Tego ostatniego proszę używać wyłącznie w wielkiej potrzebie, gdy naprawdę nie ma szans na dotarcie do najbliższego komunikatora. Albo gdy będzie pan pewny, że sam nie da sobie rady. Gdyby zespół ratunkowy stwierdził, że tylko poczuł się pan samotny albo zgubił drogę, nasłuchałby się pan.

— I słusznie — stwierdził Gurronsevas.

Timmins uśmiechnął się.

— Kombinezony chronią również przed brudem oraz zadrapaniami i otarciami, które mogą powstać w kontakcie z metalowymi elementami instalacji i urządzeń. W odróżnieniu od oddziałów medycznych, a także od pańskich kuchni w Cromingan — Shesk tutaj nie ma potrzeby utrzymywania sterylnej czystości. Ładunki statyczne, które tworzą się na powierzchni różnych części wyposażenia, przyciągają kurz. W połączeniu ze stosowanymi powszechnie smarami daje on trudną do usunięcia mieszankę. Szczególnie kłopotliwe jest usuwanie jej z futra. Ubiory ochronne utrzymane są w tym samym odcieniu zieleni co mundury Kontrolerów. Wszystkie, z wyjątkiem strojów Kelgian. Te są przezroczyste, aby widać było falowanie sierści, które jest dla tych istot jednym ze sposobów komunikowania się. Przed włożeniem należy przenieść na kombinezon insygnia stopnia albo stażu danej istoty. Teraz proszę sprawdzić szczelność. Czy strój nigdzie nie uwiera?

— Jest całkiem wygodny, dziękuję. Chciałbym jednak zadać pytanie, które zrodziło się po wysłuchaniu tego, co miała do powiedzenia pompa oddziału AUGL. Chodzi o poprawę smaku potraw dla skrzelodysznych. Dotąd nie zastanawiałem się nad tym, chciałbym więc dowiedzieć się więcej o obiegu wodnym Szpitala i porozmawiać z chalderskimi pacjentami. Czy da się to zorganizować?

— To już sprawa medyczna — odparł powoli Timmins. — Chyba dobrze będzie, jeśli poprosi pan o pomoc siostrę Hredlichli, która odpowiada za oddział AUGL.

— Tak zatem zrobię — oświadczył Gurronsevas. — Jednak odniosłem wrażenie, że trochę się pan zawahał. Czy możliwe jest, że napotkam jakieś trudności?

— Siostra przełożona Hredlichli ma reputację osoby tylko trochę mniej nieprzystępnej niż O’Mara. Na razie jednak proszę nałożyć tę opaskę stażysty na jedną z górnych kończyn. Tak, aby opaska była dobrze widoczna. Zaraz dotrzemy do głównego syntetyzera żywności znajdującego się pod stołówką.

Już drugi raz chcą, żebym założył tę poniżającą opaskę, pomyślał Gurronsevas. Jednak trudno mu było odmówić równie obcesowo jak wcześniej, w rozmowie z O’Marą. Timmins był zbyt taktowny i przyjacielski. Tralthańczyk szukał w myślach jakiegoś innego powodu, może wymówki, aby odmówić.

— Niebawem już wszyscy w Szpitalu będą wiedzieli, że nie jest pan stażystą — odezwał się porucznik, nim Gurronsevas wpadł na jakikolwiek pomysł. — Niemniej w tunelach serwisowych zawsze panuje pośpiech i łatwo o wypadki. Sam pan widział, jak niektórzy tu jeżdżą. Nietrudno też o inne ryzykowne sytuacje. Z tego właśnie powodu sądzimy, że dla poprawy bezpieczeństwa dobrze jest uprzedzać tych, którzy mają doświadczenie w poruszaniu się na tych poziomach, że spotkana właśnie istota tego doświadczenia jeszcze nie ma. Koniec końców jako naczelny dietetyk będzie pan dla Szpitala o wiele przydatniejszy niż jako kolejny pacjent.

Gurronsevas zastanawiał się chwilę.

— Skoro chodzi o moje przetrwanie, to się zgadzam — powiedział ostatecznie.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Gurronsevas był z siebie bardzo dumny. Porozmawiał z osobna z każdym z pracowników działu, w razie potrzeby wdając się w dłuższą pogawędkę. Jego asystent, Nidiańczyk Sarnyagh — Sa, okazał się całkiem obiecującym fachowcem, chociaż to on miał pierwotnie przejąć stanowisko odchodzącego na emeryturę naczelnego dietetyka i mógł żywić pewną urazę. Mimo że odniósł się do pomysłów nowego szefa z umiarkowanym entuzjazmem, istniały szanse na udaną współpracę. Gurronsevas prosił wszystkich o pomoc. Był pewien, że zachowując się w ten sposób, nie umniejszy swego autorytetu, a wręcz przeciwnie — dowiedzie poczucia odpowiedzialności. Zamierzał być do dyspozycji swoich podwładnych, niezależnie od zajmowanych przez nich stanowisk, pod warunkiem wszakże, że nie będą marnować jego czasu. Miał nadzieję, że atmosfera w dziale cateringu obcych okaże się miła i pełna profesjonalizmu, chociaż stwierdził, że to pierwsze będzie w olbrzymiej mierze zależne od drugiego. Ogólny wydźwięk wizyty wydał mu się całkiem pozytywny, chociaż parę istot zdziwiło się, że naczelny dietetyk odwiedza ich w kombinezonie ochronnym.

Po pięciu dniach zwiedzania tuneli inspekcyjnych i trzech popołudniach spędzonych na nauce prowadzenia ślizgacza porucznik powiedział mu, że teraz może się już poruszać samodzielnie. Szóstego dnia wyjechał zatem sam pustym pojazdem z kompleksu syntetyzera na poziomie osiemnastym i skierował się do chłodni na poziomie trzydziestym pierwszym. Poruszając się wyłącznie tunelami i nie korzystając z czyjejkolwiek pomocy, dotarł do celu ledwie w dwadzieścia cztery minuty i nie uderzył przy tym w nic na tyle mocno, aby trzeba było sporządzać pisemny protokół.

Timmins uznał, że jak na początkującego Gurronsevas radzi sobie naprawdę dobrze. Wprawiło to Tralthańczyka w dobry nastrój, ten jednak został narażony na szwank przy pierwszym spotkaniu z pewną źle wychowaną i pyskatą Illensanką.

— Gdy wzywamy pilnie kogoś od was, robicie się niewidzialni — powiedziała siostra przełożona Hredlichli. — A gdy was nie potrzebujemy, plączecie się pod nogami. Czego pan chce?

W hotelu Cromingan — Shesk nie prowadzono kuchni dla chlorodysznych i Gurronsevas po raz pierwszy miał okazję ujrzeć z bliska istotę klasy PVSJ. Jej ciało, przypominające zlepek wszelkich, niezbyt estetycznych, roślin, skryte było za wypełniającą wnętrze skafandra żółtawą mgiełką chlorowej atmosfery. Tralthańczyk żałował przez chwilę, że opary są tak rzadkie. Hredlichli unosiła się bez ruchu w wypełnionej wodą dyżurce oddziału, tuż przed ekranem służącym do monitorowania pacjentów. Trudno było zlokalizować jej oczy skryte między odroślami na głowie, ale zapewne patrzyła właśnie na gościa.

— Nie jestem technikiem, tylko naczelnym dietetykiem. Nazywam się Gurronsevas — powiedział Tralthańczyk, ze wszystkich sił starając się zachować uprzejmie. — Chciałbym z pani pomocą porozmawiać z którymś z pacjentów, może nawet z kilkoma, o dostarczanej na oddział żywności. Myślę o pewnych usprawnieniach. Czy podałaby mi pani imię takiego, z którym mógłbym zamienić kilka słów, nie przerywając jego leczenia?

— Imienia podać nie dam rady — odparła Hredlichli. — Nasi pacjenci nie ujawniają swoich imion. Na Chalderescolu imię przekazywane jest tylko członkom najbliższej rodziny i partnerom życiowym. Tutaj identyfikujemy ich po numerach historii choroby. Proponuję pacjenta AUGL Jeden Trzynaście. Jest rekonwalescentem i zapewne nawet cała seria głupich pytań mu nie zaszkodzi. Może pan z nim porozmawiać. Siostro Towan!

— Tak, siostro przełożona? — rozległ się z komunikatora nieco stłumiony przez wodę głos.

— Gdy skończy pani zmieniać opatrunek pacjentowi Jeden Dwadzieścia Trzy, proszę wezwać do dyżurki pacjenta Jeden Trzynaście. Ma odwiedziny. — Spojrzała na Gurronsevasa. — Gdyby pan nie wiedział, żaden Chalderczyk nie zdoła tu wejść, nie demolując drzwi. Proszę poczekać na zewnątrz.

Oddział był mniejszy, niż się wydawało, jednak zielonkawa woda nie pozwalała dojrzeć wyraźnie ani przeciwległego krańca pomieszczenia, ani pacjentów, ani bogatej roślinnej dekoracji. Timmins wspomniał, że niektóre z tych roślin nie były wcale sztuczne i nadawały wodzie ceniony przez skrzelodysznych aromat. Dział utrzymania miał obowiązek dbać o te uprawy niezależnie od stanu pacjentów. Czasem trudno było ocenić, kiedy porucznik żartował. Dodał też, że nieśmiali mieszkańcy pokrytego oceanami Chalderescolu zaliczają się do najstraszniejszych z wyglądu stworzeń, jakie kiedykolwiek spotkał.

Patrząc na olbrzymi, wyposażony w macki kształt, który niczym torpeda mknął cicho przez toń w jego kierunku, Gurronsevas uwierzył mu bez zastrzeżeń.

Istota przypominała potężną pancerną rybę z ciężkim i ostrym na brzegach ogonem, nieco przykrótkimi płetwami i szerokim pierścieniem macek wyrastających w połowie ciała, gdzie widać było jedyne otwory w grubym pancerzu. Podczas pływania macki układały się wzdłuż ciała, jednak były wystarczająco długie, aby sięgnąć przed klinowatą głowę. Stworzenie zbliżyło się i okrążyło gościa, mierząc go spojrzeniem jednego z wielkich, pozbawionych powiek oczu. Nagle zatrzymało się i macki utworzyły wkoło niego rozległy, falujący wachlarz. Potem otworzyło paszczę, ukazując różowe podniebienie i komplet największych, najbielszych i najostrzejszych zębów, jakie Gurronsevasowi zdarzyło się oglądać.

— Czy to ty przybyłeś do mnie w odwiedziny? — spytał nieśmiało potwór.

Tralthańczyk zawahał się. Nie wiedział, czy powinien się przedstawić. Reprezentant kultury uznającej wyjawianie imion tylko wobec najbliższych mógł przecież uznać to za zbytnią poufałość. Szkoda, że nie spytałem o to siostry, pomyślał.

— Tak — odparł w końcu. — Jeśli nie masz akurat nic ważnego do roboty i zgodzisz się ze mną porozmawiać, chciałbym zadać ci kilka pytań w sprawie waszego jedzenia.

— Chętnie odpowiem — rzekł AUGL. — To ciekawy temat, który zawsze budzi sporo emocji, ale rzadko prowadzi do aktów przemocy.

— Mam na myśli jedzenie szpitalne.

— Aha — odezwał się Chalderczyk. Gurronsevas nie musiał być empatą z Cinrussa, aby zrozumieć, że było to ciężkie westchnienie.

— Zamierzam poprawić jego jakość — dodał szybko. — Uznałem to za osobiste wyzwanie zawodowe. Chcę, aby tutejsza syntetyczna żywność miała smak. Moim zdaniem obecnie jest tylko mdłym organicznym materiałem pędnym. Zanim jednak wezmę się do pracy, muszę wiedzieć, co nie odpowiada w jedzeniu przedstawicielom różnych gatunków. Zacząłem dopiero pracę i jesteś pierwszym pacjentem, z którym rozmawiam.

Paszcza mięsożercy zamknęła się powoli i znowu rozchyliła.

— Ambitny to zamiar, ale chyba nie do zrealizowania? — spytał. — Podawaną nam żywność nazwałeś mdłym organicznym materiałem pędnym. Gdybyś powiedział coś takiego na Chalderescolu, byłaby to dla gospodarza ciężka obraza, gdyż zwykliśmy traktować sprawy podniebienia poważnie, czasem wręcz z przesadą. Co mogę ci powiedzieć?

— W zasadzie wszystko — stwierdził z radością Gurronsevas — ponieważ nie wiem nic o waszych potrawach. Jakie zwierzęta i rośliny w nich wykorzystujecie? Jak zwykliście je przygotowywać i podawać? Na większości światów podaje się potrawy tak, aby ich wygląd wzmagał doznania estetyczne. Chyba tak samo jest u was? Z jakich przypraw, sosów i dodatków korzystacie? Kuchnia oparta tylko na zimnych daniach jest dla mnie czymś nowym...

— Spędzając całe życie pod wodą, dość późno odkryliśmy ogień — przerwał mu łagodnie Jeden Trzynaście.

— Oczywiście. Że też o tym nie pomyślałem... — zaczął Gurronsevas, lecz obaj drgnęli na głos Hredlichli.

— Nie mnie oceniać skalę pańskiej bezmyślności — powiedziała. — W każdym razie nie zamierzam czynić tego głośno. Niemniej nadeszła pora południowego posiłku i pacjenci są już głodni. Wszyscy, jeśli nie liczyć tego, z którym pan rozmawia, są na specjalnej diecie i potrzebują pomocy w trakcie posiłku. Niech pan więc przyda się do czegoś i weźmie porcję Jeden Trzynaście. On będzie jadł, a pan dalej gadał.

Podążył za Hredlichli do dyżurki. Zbiegiem okoliczności antypatyczna siostra oddziałowa kazała mu zrobić dokładnie to, o co sam chciał poprosić. Zanim jednak zdążył dojść do wniosku, że Hredlichli nie jest w sumie aż tak paskudna, jak mogłoby się wydawać, dyspenser żywności zaczął wypluwać duże, nakrapianie brązem i szarością kule, które wpadały do przygotowanej sieci. Gdy była pełna, poholował ją w stronę pacjenta.

— Proszę się trzymać na dystans i posyłać mu po jednej naraz — zawołała za nim siostra. — Chyba nie chce pan się stać przekąską?

Dwie kelgiańskie pielęgniarki z falującą pod przezroczystymi kombinezonami sierścią i jeden skrzelodyszny creppeliański ośmiornicowaty, który nie potrzebował tu skafandra, minęli go, udając się do innych pacjentów.

— To są jaja? — spytał Gurronsevas, posyłając jeden z obiektów w rozwartą w oczekiwaniu paszczę Jeden Trzynaście. Tamten zatrzasnął szczęki zbyt szybko, aby dało się zaobserwować, czy chodzi o coś miękkiego z twardą skorupą czy całkiem jednolite danie. Ciekawość naczelnego dietetyka pozostała niezaspokojona do chwili, gdy pacjent zakończył posiłek.

— Czy na pewno się najadasz? — spytał Gurronsevas. — W proporcji do masy twojego ciała to chyba nie było wiele.

— Zwłoka w odpowiedzi nie powinna być traktowana jako nieuprzejmość — odezwał się Chalderczyk. — Uważamy jedzenie za czynność na tyle ważną i przyjemną, że rozmowa podczas posiłku zostałaby uznana za krytykę gospodarza, który nie dość się postarał, skoro któryś z gości nudzi się przy obiedzie. Tutaj wolno krytykować jakość potraw, ale dobre maniery pozostają dobrymi manierami.

— Rozumiem — rzekł Tralthańczyk.

— Co zaś się tyczy odpowiedzi na twoje pytania, te przedmioty przypominają jaja, ale nimi nie są. Mają jadalną, twardą skorupę otaczającą włóknisty koncentrat odżywczy, oczywiście sztuczny, który po uwolnieniu zwiększa wielokrotnie swoją objętość w kontakcie z naszymi sokami trawiennymi i tym samym daje nam poczucie sytości. Wprawdzie mamy złożony smak i pamiętamy, że głód to najlepszy kucharz, nic jednak nie potrafi ukryć faktu, iż te sztuczne produkty są... Aby w pełni opisać moje doznania, musiałbym być nieuprzejmy.

— I to rozumiem — stwierdził Gurronsevas. — Ale czy mógłbyś opisać mi zasadnicze różnice w smaku i konsystencji? Różnice między tym sztucznym pożywieniem a naturalnymi daniami, które zwykliście przyrządzać? Nie urazisz mnie nieuprzejmymi słowami, gdyż wiele razy rozmawiałem w ten sposób z obsadą mojej kuchni.

Pacjent zaczął od tego, że nie chciałby zostać uznany za niewdzięcznika, gdyż koniec końców Szpital uratował mu życie. Sam się przekonał, jakich cudów potrafią dokonywać lekarze na tym zatłoczonym i klaustrofobicznym oddziale, więc narzekanie na marne jedzenie byłoby objawem małostkowości. Jednak na rodzinnej planecie mieli osobne miejsca do jedzenia, do ćwiczeń i do łowów, które wyostrzały apetyt przez brak pewności, jaką zdobycz uda się doścignąć.

Chociaż cywilizowani, Chalderczycy nadal odczuwali tak estetyczną, jak i fizjologiczną potrzebę polowania na obiad, co było ich zdaniem właściwsze niż podawanie zdobyczy już martwej i przyrządzonej. Dla utrzymania kondycji musieli regularnie ćwiczyć szczęki i całe okryte pancerzem ciała. Towarzyszący jedzeniu wysiłek sprawiał im wielką przyjemność i praktykowali go jak rok długi, jeśli nie liczyć krótkiego okresu godów.

Szpitalne jedzenie było wystarczająco twarde i niewątpliwie pożywne, ale zawartość skorup przypominała na wpół przetrawioną, odstręczającą papkę, którą zwykle podawano bezzębnym niemowlakom. Każdy dorosły Chalderczyk, który nie był na tyle chory, by w ogóle nie zwracać uwagi na to, co je, musiał się mocno starać, chcąc opanować mdłości towarzyszące przyjmowaniu takich produktów.

Gurronsevas wysłuchał uważnie wszystkiego, czasem tylko prosząc o wyjaśnienie jakiegoś szczegółu, pamiętał jednak, że powinien przyjmować słowa pacjenta z pewną ostrożnością. Jeden Trzynaście niewątpliwie przesadzał. Był zadowolony, że wreszcie ma okazję przed kimś ponarzekać. W końcu jednak dietetyk przypomniał sobie, że minęły już cztery godziny, odkąd sam coś jadł.

— Jeśli można, chciałbym podsumować — powiedział, gdy AUGL zaczął się powtarzać. — Po pierwsze, kształt i konsystencja pokarmu zapewniają tylko ćwiczenia szczęk i zębów. Po drugie, smak nie jest satysfakcjonujący, gdyż Chalderczyk zawsze rozpozna sztuczne danie. Po trzecie, brak naturalnych woni wydzielanych przez ściganą zdobycz. Odkryłem już, że na każdym oddziale menu jest kontrolowane przez dietetyka klinicystę, który działa zgodnie z zaleceniami odpowiadającego za oddział lekarza. Tymczasem powinien się tym zajmować technik żywienia. Lekarz zapisuje pożywienie właściwe dla stanu zdrowia pacjenta, a smak czy zapach potraw nie muszą go obchodzić. Osobiście jednak uważam, że dobrze byłoby brać je pod uwagę, chociażby ze względu na pozytywny wpływ zadowolenia kulinarnego na rekonwalescencję tych istot, dla których posilanie się to ważny element życia codziennego. Niestety, niewiele mogę zdziałać, dopóki nie pozyskam do współpracy twojego lekarza i paru zdolnych techników — dodał, coraz bardziej czując, jak kiszki mu marsza grają. — Jestem jednak przekonany, że każde niemal jedzenie można uczynić strawniejszym, zmieniając tylko sposób podania, w tym barwę i kształt potrawy, lub jej ułożenia na talerzu...

Gurronsevas zamilkł, przypomniawszy sobie, że Jeden Trzynaście nie używa talerzy i że najciekawszy będzie dlań obiad uciekający żwawo po całej jadalni. Zakłopotanie nie trwało jednak długo. Kątem oka dojrzał płynącą w ich stronę Hredlichli.

— Muszę przerwać tę przydługą i, jak dla mnie, nader nudną rozmowę — powiedziała siostra, zatrzymując się w połowie drogi między pacjentem a dietetykiem. — Zbliża się czas wieczornego obchodu starszego lekarza Edanelta. Jeden Trzynaście, proszę wrócić do swojej ramy noclegowej. Pan zaś, jeśli pragnie kontynuować rozmowę, będzie musiał poczekać, aż Edanelt skończy obchód. Czy mam pana potem zawołać?

— Dziękuję, nie trzeba — odparł Gurronsevas. — Pacjent Jeden Trzynaście przekazał mi sporo wartościowych informacji. Dziękuję wam obojgu i mam nadzieję, że nie będę musiał tu wracać, aż uda mi się poprawić dietę AUGL.

— Uwierzę, gdy zobaczę — mruknęła siostra Hredlichli.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Gdy Gurronsevas poprosił o udostępnienie mu zbiornika wodnego na tyle płytkiego, aby żadnemu z jego tlenodysznych pomocników nie groziło utopienie się w nim, i jednocześnie wystarczająco obszernego, aby pozwalał przeprowadzić eksperyment bez ryzyka nieustannych zderzeń ze ścianami, nie oczekiwał czegoś tak dużego. Z zaskoczenia na chwilę zaniemówił.

Mocne, ale dobrze zakamuflowane źródła światła, w połączeniu z inspirującym krajobrazem, nadawały pokładowi rekreacyjnemu pozory wielkiej przestronności. Odtworzono na nim małą tropikalną plażę obramowaną dwoma klifami z rozmieszczonymi na różnych wysokościach wylotami jaskiń, kryjącymi korytarze prowadzące do kilku wciąż zatłoczonych kafejek. Morze rozciągało się aż po horyzont skryty za lekką mgiełką. Niebo było błękitne i bezchmurne, woda w zatoce granatowa, przy plaży zaś turkusowa. Na czas trwania eksperymentu wyłączono maszynerię wywołującą sztuczne fale, tak więc woda łagodnie muskała złocisty, grzejący mile stopy piasek.

Tylko lekko pomarańczowe, a przez to dość obce sztuczne słońce i dziwna roślinność porastająca szczyty klifów sprawiały, że Gurronsevas nie czuł się tam jak na rodzinnej planecie.

— Na nowych zawsze robi to wrażenie — powiedział z dumą porucznik Timmins. — W dowolnej chwili przynajmniej jedna trzecia personelu medycznego nie ma dyżuru i wielu jego członków chętnie spędza tu kilka godzin. Czasem tłok jest taki, że ledwie widać plażę czy ocean pod dywanem ciał. Niemniej przestrzeń jest w Szpitalu Kosmicznym na wagę złota, zatem oczekujemy, że ci, którzy razem pracują, będą też umieli razem się bawić. Psychologicznie rzecz biorąc, najciekawsze jest to, czego nie widać — dodał Timmins takim głosem, jakim rodzic chwali się zdolnym dzieckiem. Dla jego działu plaża musiała być rzeczywiście powodem do dumy. — W całym tym pomieszczeniu panuje ciążenie równe połowie standardowego, dzięki czemu wszyscy zmęczeni pracą czują się tutaj swobodniej, a wypoczęci jeszcze zyskują na siłach. Niestety w tłoku trudno o prywatność, ale goście należą do tylu gatunków i zażywają wypoczynku na tyle sposobów, że pański eksperyment przejdzie najpewniej niezauważony. Zaczynamy czy czekamy na Thornnastora?

— Zaczynamy — powiedział Gurronsevas i ruszył pomóc porucznikowi oraz parze jego melfiańskich asystentów przenieść wyposażenie na sporą, jasno pomalowaną tratwę, która czekała na płyciźnie.

Przerwał pracę tylko raz, gdy jego komunikator pisnął, informując o nadejściu wiadomości od Diagnostyka Thornnastora. Spóźniony już potężnie patolog przepraszał, że nie zdoła przybyć, i oznajmiał, że posyła w zastępstwie patolog Murchison. Sądząc po nagłej zmianie wyrazu twarzy Timminsa, musiało to bardzo ucieszyć oficera.

Zbyt zajęci poprawkami systemu napędowego w jednym z obiektów testowych — jedynym, który nie rozpadł się dotąd na kawałki czy nie uległ awarii — zauważyli przybycie Murchison dopiero wtedy, gdy podpłynęła do tratwy i wciągnęła się na pokład.

— Thornnastor nie miał kiedy wprowadzić mnie w temat — oświadczyła. — Co to jest? I co mam tu robić, naturalnie poza patrzeniem, jak dorosłe i podobno rozsądne istoty bawią się okręcikami?

Gurronsevas stwierdził, że Murchison jest kobietą typu ziemskiego, o wydatnych atrybutach swojej płci. Długie, pociemniałe nieco od wody jasne włosy spływały jej na ramiona. Jako przedstawicielka jednej z nielicznych ras, które nie wyzbyły się jeszcze tabu nagości, nosiła dwa śmiesznie skąpe paski materii opasujące jej pierś i biodra. Wprawdzie od razu oceniła ich krytycznie, jednak nie była niemiła. Wręcz przeciwnie. Zastanawiając się nad odpowiedzią, Gurronsevas przypomniał sobie, że Murchison jest pierwszą asystentką Thornnastora i partnerką innego Diagnostyka — Conwaya. Stwierdził, że nie powinien zbyt szybko się obrażać, szczególnie że nikt nie zamierzał go dotknąć.

— Może to trochę dziwnie wygląda, ale muszę nadmienić, że nie jest to najgorszy program, przy którym zdarzyło mi się pracować — rzekł porucznik, zanim dietetyk zdołał się odezwać. — Niemniej chodzi o poważne zagadnienie, które ma swoje uzasadnienie medyczne.

— Uzasadnienie dla zabawy łódką? — spytała Murchison.

— Ściśle rzecz biorąc, to nie jest łódka — odparł Timmins z uśmiechem. Wyjął na chwilę testowany obiekt z wody, aby pokazać go Murchison. — To prototyp podwodnego pojazdu o kształcie spłaszczonego owoidu. Został tak zaprojektowany, aby utrzymywał równowagę na każdej głębokości i mógł dowolnie zmieniać kurs, zanurzenie oraz prędkość. System napędowy składa się z cylindra o cienkich ściankach, który napełniony został sprężonym gazem. Montuje się go w zagłębieniu z tyłu pojazdu. Mniejsze wgłębienia na obwodzie oraz na górze i na dole mieszczą kapsułki z gazem służące do zmiany kierunku. Ścianki tych kapsułek są różnej grubości i rozpuszczają się w wodzie, tyle że w różnym czasie, od pięciu do siedemdziesięciu pięciu sekund. Wtedy też pojemniczki uwalniają swoją zawartość. W ten sposób zmiany kursu następować będą przypadkowo, a całość będzie bardzo trudna do złapania, przynajmniej do chwili, gdy wyczerpie się zasadnicze źródło napędu, co w tym egzemplarzu wynosi dwie minuty. Właśnie mamy przeprowadzić kolejne próbne wystrzelenie. Zobaczy pani, że to ciekawe.

— Nie mogę się doczekać — powiedziała Murchison.

Timmins i technicy wyciągnęli pojazd na górę i wspięli się na pokład. Obciążona tratwa zakołysała się niebezpiecznie. Murchison odsunęła się, aby dać im miejsce do pracy. Rozłożyła też szeroko ramiona dla utrzymania równowagi. Gurronsevas został w wodzie. Był wystarczająco wysoki, aby stojąc na dnie, trzymać głowę i otwory oddechowe nad powierzchnią. Jedną parą oczu śledził wszystko, co się działo pod tratwą, i pilnował, aby żaden pływak nie wszedł im w paradę. Druga para śledziła montowanie napędu pojazdu.

— Tym razem umieścimy go na głębokości pół metra, bo chcę widzieć dokładnie moment rozpuszczenia się uszczelki głównego zbiornika gazu i odpalenie pierwszego silniczka manewrowego — powiedział. — Trzymajcie go równo, ustawcie i wycofajcie się powoli, aby nie wywołać turbulencji, które mogłyby zmienić zanurzenie. Czy wszyscy rozumieją, co mają robić?

— Tak jest — odparł jeden z Melfian na tyle cicho, że chyba nie chciał być słyszany. — Wyjaśniłeś to już za pierwszym razem.

Gurronsevas uznał, że taktowniej będzie udać głuchego.

Jak dotąd Murchison nie zwróciła się do niego wprost, skoro zaś Timmins chętnie wszystko wyjaśniał, nie było powodu, aby zagadywać panią patolog. Chyba że z czystej uprzejmości. Dietetyk zaczynał już powątpiewać w sensowność całego projektu i wolał za wiele nie mówić, aby w razie niepowodzenia mieć mniej powodów do przeprosin za marnowanie czyjegoś czasu. Murchison położyła się na tratwie i uważnie śledziła przygotowania.

Gurronsevas zauważył z rosnącą niecierpliwością, że przyciągnęła za bardzo uwagę Timminsa. Wcale mu się to nie spodobało. Przypomniał sobie, że w odróżnieniu od większości gatunków Federacji, ludzie są zdolni do pobudzenia seksualnego i aktywności prokreacyjnej przez całe swe dorosłe życie, nie zaś jedynie w okresach godowych. Niektórzy im tego zazdrościli, Gurronsevas uważał jednak, że to feler ewolucji, który znacznie ogranicza ich możliwości umysłowe. Wolał wszakże nie zabierać głosu w tej kwestii.

Następny test zaczął się pomyślnie. Wąski strumień gazu pchnął wehikuł naprzód. Ciągnąc za sobą smugę bąbelków, obiekt popłynął. Nie całkiem prosto, ale coraz szybciej i na stałej głębokości. Potencjalne zdobycze Chalderczyków były amfibiotyczne, zwykle więc zostawiały podobny ślad. Gdy pękła pierwsza burtowa kapsuła, pojazd skręcił z powrotem ku tratwie. Kolejny wybuch gazu nastąpił po tej samej stronie, zacieśniając jeszcze promień skrętu, i nagle urządzenie wyskoczyło na powierzchnię. Zaczęło się kręcić bezwładnie. Kolejne dwa wybuchy gazu dodały mu jeszcze energii, pozostałe kapsuły eksplodowały jednak bez widocznego efektu i chwilę później całość znieruchomiała z grzbietem wystającym ponad drobne fale.

Jeden z techników wciągnął wehikuł na tratwę i zaraz rozgorzała dysputa nad brakiem stabilności owoidalnego obiektu. Gurronsevas był zbyt zirytowany i rozczarowany, aby się do niej przyłączyć. Murchison miała jednak sporo do powiedzenia.

— To nie moja specjalność, ale pamiętam, jak bawiłam się kiedyś okrętami ze starszym bratem — odezwała się. — Wszystkie miały kile, które pozwalały utrzymać kurs nawet po zmianie wiatru. Gdy podrośliśmy i zaczęliśmy budować ścigacze i okręty podwodne, wyposażaliśmy je też w uruchamiane radiem stery, tak kierunku, jak głębokości. Czy nie dałoby się czegoś podobnego zamontować i tutaj?

Timmins i Melfianie zamilkli, ale nie odpowiedzieli. Spojrzeli tylko na Gurronsevasa, który w tej sytuacji nie mógł dłużej milczeć.

— Nie — powiedział. — Chyba że udałoby się nam zmontować odbiornik i urządzenia sterujące bez użycia metalu, z materiałów nietoksycznych i jadalnych.

— Jadalnych? — spytała Murchison. — To dlatego mnie tu wysłano. Do tej pory nie wiedziałam, że Thorny ma poczucie humoru. Proszę mówić dalej.

— W ostatecznej postaci to urządzenie musi być w całości jadalne albo przynajmniej nietoksyczne dla Chalderczyków. Dodanie kilu stwarza niejaki problem, bo musiałby być nie tylko jadalny, ale i na tyle miękki, aby nie zranić ust pacjenta. Poza tym zmieniałby on kształt urządzenia, które ma przypominać naturalną zdobycz tych stworzeń i zarazem ich ulubione pożywienie, wodne zwierzę o opływowych liniach, twardej skorupie i rozmiarach naszego obiektu testowego. Słaby rekonwalescent mógłby uznać, że nie warto gonić za czymś o nazbyt obcej postaci. Sama pani rozumie, że ograniczona przestrzeń oddziału Chalderczyków nie sprzyja szybkiej rekonwalescencji. W gruncie rzeczy nawet ją wydłuża, gdyż skazani na małą aktywność pacjenci stają się leniwi i apatyczni. Winienem przy tym wyjaśnić, że fizjologia AUGL...

— Znam ich fizjologię — przerwała mu Murchison. Gurronsevas poczuł się bardzo niezręcznie. Zrobiło mu się gorąco i aż się zdziwił, że woda wokół niego nie paruje.

— Przepraszam — powiedział. — Wszystko, co wiem o Chalderczykach, jest dla mnie nowe i mimowolnie zakładam, że nowe jest też dla innych. Nie chciałem pani urazić...

— Nie poczułam się urażona. Chciałabym tylko uniknąć marnowania czasu na niepotrzebne wyjaśnienia. Nie wiem jednak nic o zwierzęcych formach życia na Chalderescolu, bo i skąd. Nie znam stworzenia, którego wygląd próbujecie odtworzyć. Jak się ono porusza i jak radzi sobie z gwałtownymi zmianami kierunku podczas ucieczki?

Gurronsevasowi ulżyło i czym prędzej odpowiedział.

— Po obu stronach tułowia ma po osiem płetw. Szybkość ich poruszania się i kąt natarcia zmieniają się zależnie od tego, czy zwierzę płynie ku powierzchni, zanurza się czy skręca. W tym ostatnim przypadku płetwy z jednej strony zaczynają poruszać się do tyłu. Zbudowane są z ledwie widocznych chrząstek pokrytych przezroczystą błoną, której w ruchu praktycznie nie widać. Podczas nagłej zmiany kierunku silnie burzą wodę, a powstające przy tym bąbelki powietrza podobne są do tych, które wytwarza napęd naszego wehikułu. Niestety, chociaż nasz model wygląda całkiem realistycznie, nie zachowuje się jak prawdziwe zwierzę. Jest ciągle niestabilny.

— W tym problem — mruknęła Murchison. Kilka minut milczała, wpatrując się w zamyśleniu w prototyp. Timmins z kolei wpatrywał się w nią, Melfianie zaś rozmawiali półgłosem.

— Musimy dodać kil — powiedziała nagle Murchison spokojnie, ale z przekonaniem. — Taki, który nie zmieni wyglądu rybki. Prawdziwe zwierzę używa płetw, które poruszają się zbyt szybko, aby można było je zobaczyć. A jeśli kil też będzie niewidoczny? — Nie czekając na reakcję pozostałych, kontynuowała: — Powinno nam się udać stworzyć odpowiedni materiał o cechach żelu, który będzie miał ten sam kąt załamania światła co woda. Oczywiście będzie też jadalny i na tyle elastyczny, aby nie uszkodził paszczy ani przewodu pokarmowego pacjenta. Kilka związków już teraz przychodzi mi do głowy, chociaż ich smak waha się od neutralnego po przykry. Ale nad tym można popracować...

— Dacie radę zrobić jadalny stabilizator? — wtrącił się Gurronsevas, zapominając o dobrych manierach. — Robiliście już takie rzeczy?

— Nie, dotąd nikt nas o to nie prosił — odparła Murchison. — Będzie to trudne, ale z pewnością możliwe. Kształt kilu oraz miejsce jego przymocowania da się potem zaprogramować w syntetyzerze żywności.

— Tymczasem możemy zacząć testy z niejadalnym kilem, aby ustalić, jaki rozmiar i kształt będzie najlepszy — odezwał się Timmins. — Kledath, Dremon, wyciągnijcie rybkę na tratwę. Mamy robotę.

Murchison stoczyła się do wody, aby zrobić im więcej miejsca. Rozluźniona położyła się na wznak i zamknęła oczy. Tylko twarz wystawała jej nad powierzchnię.

— Chyba udało się pani rozwiązać nasz problem — powiedział Gurronsevas. — Jestem nad wyraz wdzięczny.

— Jesteśmy tu, aby pomagać — mruknęła patolog, rozchylając lekko usta w uśmiechu. — Macie jeszcze jakieś kłopoty?

— W zasadzie nie — stwierdził Gurronsevas. — Mam trochę pytań i pomysłów, chociaż pewnie nie dojrzały jeszcze do wyjawienia. Ale różnie może się zdarzyć, bo na razie ciągle nie wiem prawie nic o mojej przyszłej pracy. Przyjmę zatem wszystkie sugestie.

Murchison otworzyła na moment jedno oko i spojrzała na Tralthańczyka.

— Chętnie posłucham. Chyba mamy akurat chwilę na słuchanie i podsuwanie sugestii.

Technicy na tratwie skupili uwagę na wehikule i nawet Timmins był zajęty na tyle, że przestał rzucać ukradkowe spojrzenia na Murchison. Przymocowali do kadłuba długi, wąski kil, porucznik zaś zaproponował, aby dla wyrównania oporu dodać jeszcze płetwę grzbietową. Uznano też, że przy poprawionej stateczności wzdłużnej trzeba zwiększyć moc silniczków służących do zmiany kierunku.

Całkiem, jakby chodziło o projektowanie statku kosmicznego, pomyślał Gurronsevas. Spojrzał wszystkimi oczami na Murchison.

— Dzięki pani podpowiedzi — rzekł — nasz pojazd będzie wyglądał i zachowywał się dokładnie jak prawdziwe zwierzę. To ważne, gdyż potrawa to nie tylko wygląd, ale i smak, zapach, konsystencja i przyprawy. W przypadku jedzenia naszego Chalderczyka możemy łatwo odtworzyć jedynie twardą skorupę ofiary i jej zawartość, jednak to nie wszystko.

— Tak? — spytała Murchison, otwierając oczy.

— Istotniejsza wydaje się właśnie owa przyprawa, lecz trudno coś wymyślić, jeśli półmisek pływa w wodzie. W tej chwili sztuczne jaja podawane na oddziale AUGL są wybitnie nieapetyczne. Gdyby szukać ziemskiej analogii, przypominałoby to karmienie kogoś wyłącznie tłuczonymi ziemniakami...

— Wydawaliśmy opinie o wszystkich dodatkach smakowych stosowanych w menu pacjentów — przerwała mu patolog. — Zawsze możemy zwiększyć ich stężenie.

— Nie w tym przypadku. Tutaj konsument jest nazbyt świadomy faktu, iż otrzymuje sztuczne pożywienie. Myślałem raczej, aby zmniejszyć dawkę dodatków smakowych i sięgnąć po całkiem inną przyprawę, która nie wymaga stosowania chemii. Chodzi o to, by pacjent zapomniał na chwilę, że ma do czynienia z produktem syntetyzera. Chcę, żeby poczuł głód oraz ekscytację towarzyszące pogoni za zdobyczą i niepewności, czy uda się ją złapać. Oczywiście każdy z nich będzie wiedział, że jest zwodzony, ale podświadomość nie pozna różnicy.

— Zgrabny plan — powiedziała Murchison z aprobatą. — Jestem pewna, że zadziała. Coś jednak ciągle tu panu umyka.

— Umyka? Chyba jednak da się złapać...

— Przepraszam, to taki ludzki zwrot. Chodzi o to, że ścigane zwierzę wydziela zwykle charakterystyczny zapach, oznakę strachu, napięcia i wysiłku. Możliwe, że z tymi rybkami jest tak samo. Może dobrze byłoby zbadać sprawę i zsyntetyzować feromony strachu, które dodałoby się następnie do substancji napędowej, oczywiście w śladowych ilościach, aby ukryć ich sztuczne pochodzenie.

— Pani patolog, jestem nad wyraz wdzięczny — zawołał Gurronsevas. — Czy pani wydział może dostarczyć mi taką substancję? Wówczas problem z Chalderczykami byłby rozwiązany. Da się to zrobić? I jak szybko?

— Nie da się, w każdym razie nie od razu. — Murchison pokręciła głową. — Będziemy musieli poznać fizjologię i endokrynologię tych zwierząt. W bibliotece zapewne brakuje materiałów na ich temat. Jeśli feromon, którego istnienie podejrzewam, da się odnaleźć, analiza i odtworzenie jego struktury molekularnej zajmą nam parę dni. Potem trzeba będzie sprawdzić jeszcze, czyjego syntetyczny odpowiednik nie wywoła skutków ubocznych. Proszę zatem na razie wstrzymać się z podziękowaniami.

Przez chwilę Gurronsevas przyglądał się Murchison nie mniej intensywnie niż wcześniej Timmins, chociaż z całkiem innych powodów. Patolog wyglądała dość osobliwie z tymi wybrzuszeniami w górnej części tułowia i nieproporcjonalnie małą głową, która kryła jednak wcale niepośledni umysł. Już chciał ponownie wyrazić swą wdzięczność, gdy dobiegł go głos Timminsa.

— Gotowe do zwodowania. Ta sama głębokość co ostatnio?

— Dziękuję, tak — odparł dietetyk.

Raz jeszcze pojazd został ostrożnie umieszczony pod wodą.

— Zamontowałem silniczki tylko na lewej burcie, aby po oddaleniu się rybka sama do nas wróciła. W seryjnych egzemplarzach zmiany kursu i głębokości będą przypadkowe i... niech to!

Na tratwie wylądowała z głuchym odgłosem mocno nadmuchana wielka, kolorowa piłka. Odbiła się dwa razy i wpadła do wody między rozmówców. Jeden z Melfian odruchowo uniósł szczypce, aby ją odepchnąć.

— Zostaw ją i nie ruszaj się! — zawołał Timmins. — Nie burzyć wody. Silniczki za chwilę odpalą... Ruszyła.

Pojazd zaczął się przesuwać, z początku wolno, potem coraz szybciej. Tym razem płynął idealnie po prostej. Gdy pierwsza boczna kapsuła uwolniła ładunek gazu, zmienił gwałtownie kurs, ale nie stracił szybkości. Tak samo było przy kolejnym zwrocie i następnym, który wyprowadził pojazd na kurs powrotny. Kilkanaście sekund później rybka zatrzymała się obok tratwy.

— Potrzebuje jeszcze regulacji, ale jest wyraźnie lepiej — powiedział Timmins, układając, usta w najszerszy ludzki uśmiech, jaki kiedykolwiek widział Gurronsevas.

— Zaiste — stwierdził dietetyk, pożałowawszy, że nie umie się uśmiechać. — Patolog Murchison, pan i technicy Kledath i Dremon zasłużyliście na najwyższą...

Przerwał nagle, gdy tuż obok niego wynurzyła się głowa innego Tralthańczyka. W ślad za nią pojawiła się macka z opaską stażysty.

— Przepraszam, ale czy możemy odzyskać naszą piłkę?

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Podczas pierwszego serwowania nowego pokarmu obecni byli, w kolejności rang: starszy lekarz Edanelt, który odpowiadał za oddział AUGL, patolog Murchison, Gurronsevas, porucznik Timmins, siostra oddziałowa Hredlichli oraz cała miejscowa obsada pielęgniarska. W dyżurce panował taki tłok, że ledwie starczyło miejsca najedzenie. Każdy z pięciu kąsków zapakowano starannie w chroniący przed wodą plastikowy pokrowiec, by uniknąć przedwczesnego odpalenia silników. Pacjent Jeden Trzynaście pływał jakieś trzydzieści metrów od drzwi dyżurki i powiewał niecierpliwie wyrostkami.

Najpierw podano zwykłe jaja w twardych skorupach, po czym uprzątnięto resztki i Chalderczyk usłyszał, że czeka go jeszcze niespodzianka, być może miła.

Na znak Gurronsevasa Timmins przysunął się, aby pomóc odpakować pierwszą rybkę. Stabilizatory były prawie niewidoczne, oczekiwano też, że okażą się w miarę smaczne. Górne i dolne powierzchnie obiektów odpowiednio pomalowano, całość przypominała więc do złudzenia pokryte szaro — brązowymi plamami młode, ale w pełni wyrośnięte zwierzę z oceanów Chalderescola. Murchison przeprowadziła zapowiedziane badania na temat zachowań, wyglądu i feromonów zdobyczy. Były z konieczności krótkie, niemniej wnikliwe.

Po kilku sekundach główny zbiornik gazu odpalił strumykiem bąbelków. Gurronsevas i Timmins potrzymali obiekt jeszcze chwilę, a potem pchnęli go w stronę pacjenta.

Chalderczyk otworzył szeroko paszczę — trudno orzec, czy z zaskoczenia, czy w oczekiwaniu na kąsek — po czym zamknął ją. Zdobycz skręciła nagle i ominęła głowę Jeden Trzynaście, aby odpłynąć w zielonkawą głębię oddziału. Pacjent odwrócił się raptownie i ruszył w pościg. Po chwili rozległ się zniekształcony przez wodę zgrzyt zatrzaskujących się na darmo szczęk i łomot, kiedy łowca wpadł na ramę stanowiska jednego z unieruchomionych towarzyszy. Kilka sekund później schwytał wreszcie obiad.

Ledwie umilkł chrzęst miażdżonej zębiskami skorupy, porucznik i dietetyk wypuścili kolejny obiekt.

Tym razem pogoń była krótka, gdyż pierwszy przypadkowy zwrot posłał rybkę prosto w paszczę Jeden Trzynaście. Trzecia umykała tak długo, że aż wyczerpał się gaz. Wehikuł znieruchomiał, pacjent był jednak zbyt podniecony, aby to zauważyć. Numer czwarty przeszedł mu koło nosa.

Powód był prosty. Przy kolejnym zwodzie rybka zbliżyła się do unieruchomionego pacjenta Jeden Dwadzieścia Sześć, ten zaś wysunął łeb, złapał przepływający tuż obok obiekt i pożarł go w mgnieniu oka. Wybuchła zaraz gorąca i pełna oskarżeń o samolubność dyskusja, którą zakończyło wypuszczenie ostatniego pozoranta.

Jeden Trzynaście musiał być już zmęczony, pogoń bowiem trwała długo, a jego ruchom zaczynało brakować koordynacji. Kilka razy wpadł z hukiem na wsporniki, zdzierał też ze ścian i sufitu całe płaty sztucznej roślinności. Jednak pozostali pacjenci nie przejmowali się tym, chóralnie zagrzewając go do walki i próbując szczęścia, gdy rybka przemykała w pobliżu.

— Demoluje mi oddział! — krzyknęła Hredlichli ze złością. — Natychmiast przestańcie!

— Wszystko da się łatwo naprawić — rzekł Timmins, lecz wyraźnie nie był tego pewien. — Jutro rano przyślę ekipę.

Jeden Trzynaście uporał się w końcu ze zdobyczą i zawrócił w kierunku dyżurki. Powoli przepłynął obok dwóch zdeformowanych ram, ominął dryfujące szczątki sztucznych roślin. Gdy był już blisko, otworzył szeroko wielką jak jaskinia paszczę.

— Repetę poproszę — powiedział.

— Przykro nam, ale więcej nie ma — odparł Edanelt, odzywając się po raz pierwszy od przybycia na oddział. — Wziąłeś udział w eksperymencie naczelnego dietetyka Gurronsevasa. Chyba nie było źle, ale moim zdaniem trzeba tu wprowadzić kilka modyfikacji. Ciąg dalszy jutro albo niedługo później.

Gdy Jeden Trzynaście odwrócił się, by odpłynąć, Hredlichli zaczęła zaprowadzać porządek.

— Proszę sprawdzić stan pacjentów i meldować natychmiast, gdyby ten eksperyment spowodował jakiekolwiek komplikacje kliniczne — powiedziała do swojego personelu. — Potem uprzątnijcie ten bałagan. — Obróciła się do starszego lekarza. — Nie sądzę, aby należało tu cokolwiek modyfikować, doktorze. Należy raczej zapomnieć o tym koszmarze. Mój oddział nie zniesie drugiej takiej...

Przerwała, gdy Edanelt uniósł przednią kończynę i zastukał niespiesznie szczypcami, co w melfiańskiej mowie ciała oznaczało prośbę o ciszę.

— Demonstracja była bardzo ciekawa i udana — powiedział. — Nawet jeśli zniszczenia mogą sugerować coś innego. Dobrze wiemy, że niezwykle powolna rekonwalescencja pacjentów na tym oddziale ma podłoże psychologiczne. Po zabiegach stają się rozleniwieni, apatyczni i przestają myśleć o przyszłości. Nowy rodzaj pożywienia, który podawać będziemy tylko mobilnym pacjentom, daje nadzieję na zmianę tego stanu rzeczy. Sądząc po reakcji Jeden Trzynaście, znaleźliśmy chyba sposób na ich nudę. Będą mogli ścigać coś przypominającego prawdziwą zdobycz, zamiast czekać bezczynnie na powrót do domu. A pacjenci w gorszym stanie, którym przyjdzie obserwować poczynania zdrowszych, zyskają dodatkową motywację do jak najszybszego zdrowienia. Wszystkich was pragnę pochwalić — rzekł, spoglądając na czwórkę sprawców zamieszania. — Najbardziej wdzięczny jestem naczelnemu dietetykowi za jego wyobraźnię, która pozwoliła znaleźć rozwiązanie od dawna trapiącego nas problemu. Chciałbym jednak zasugerować dwie modyfikacje.

Edanelt przerwał na chwilę. Wszyscy czekali w milczeniu na ciąg dalszy. Melfianin był naprawdę uprzejmy, niemniej gdy wzięło się pod uwagę jego pozycję, dla wszystkich sugestie starszego lekarza miały wagę rozkazu. Szczególnie że po Szpitalu chodziły słuchy o jego rychłym awansie na Diagnostyka.

— Gurronsevas, chciałbym, abyś razem z Timminsem przeprojektował nieco zdobycz. Powinna być wolniejsza i mniej zwrotna. Wysiłek towarzyszący jej schwytaniu, jakkolwiek miły konsumentowi i interesujący dla widzów, może narazić pacjenta na niebezpieczeństwo. Poza tym mniejsza zwrotność obiektu ograniczy też ryzyko poważnych zniszczeń wyposażenia oddziału. — Spojrzał z kolei na Hredlichli. — Wspomniane ryzyko da się jeszcze bardziej zmniejszyć dzięki zmianie nastawienia pani personelu do pacjentów. Nie należy traktować ich zbyt ostro. Mimo imponującej postury są dość wrażliwi. Wystarczy łagodne przypomnienie, że jesteśmy przyjaciółmi, którzy starają się ich wyleczyć, by jak najprędzej mogli wrócić do domu. I sugestia, że na swojej planecie, goszcząc u przyjaciół, nie zachowywaliby się tak podczas jedzenia. Jestem pewien, że to pomoże i uszczęśliwi ich.

— Tak, doktorze — odparła Hredlichli niewesoło.

— Służby utrzymania też będą szczęśliwsze — powiedział Timmins. — Zaraz zajmiemy się koniecznymi modyfikacjami.

— Dziękuję — rzekł Edanelt i zwrócił się do Gurronsevasa. — Zastanawiam się tylko ciągle, czym nasz nieprzewidywalny dietetyk zajmie się w następnej kolejności.

Gurronsevas milczał chwilę. Wysłany w głąb oddziału personel meldował, że pacjenci są wprawdzie pobudzeni, ale stan żadnego z nich się nie pogorszył. Dietetyk pojął, że słowa Edanelta nie były zwykłą uprzejmością. Naprawdę ciekawiło go to i oczekiwał odpowiedzi.

— Nie zdecydowałem jeszcze — odparł. — Brak mi wciąż wiedzy na temat diet wielu gatunków. Dlatego właśnie postanowiłem najpierw skupić się na odosobnionym problemie stosunkowo nielicznej grupy Chalderczyków. Próba modyfikacji diety większej zbiorowości, która może głośno zaprotestować, jeśli zmiany będą jej nie w smak, to co innego. Z początku zamierzam się więc zająć jednostkami. Pierwsze testy przeprowadzę na ochotnikach, potem jednak może się pojawić konieczność utajnienia eksperymentów, aby konsumenci nie byli świadomi, w czym uczestniczą. Nie chciałbym też wprowadzać dalej idących zmian bez stosownej wiedzy medycznej i technicznej.

— Ghu — Burbi będzie wdzięczny — powiedziała Hredlichli.

— To całkiem rozsądny plan — stwierdził Edanelt. — Kim zajmie się pan w następnej kolejności?

— Tym razem kimś spośród personelu — odparł Gurronsevas. — Zastanawiałem się nad paroma kandydaturami, ale w tych okolicznościach i dla wyrażenia wdzięczności za współpracę przy dzisiejszym teście, a także by zadośćuczynić za zdenerwowanie zniszczeniami na oddziale, wybór siostry Hredlichli wydaje się oczywisty.

— Ale... nie jest pan chlorodyszny! — wybuchnęła siostra oddziałowa. — Otruje mnie pan!

Krabowate ciało Edanelta zadrżało z lekka. Lekarz wydał kilka dźwięków, których autotranslator nie przełożył.

— To prawda, że nie jestem chlorodyszny — rzekł Tralthańczyk — ale odpowiadam za żywienie wszystkich przebywających w Szpitalu niezależnie od tego, do jakiej rasy należą. Nie zamierzam się ograniczać wyłącznie do ciepłokrwistych tlenodysznych. Poza tym patolog Murchison ma rozległe doświadczenie w sprawach PVS J, a w jej wydziale pracuje Illensańczyk. Obiecali mi służyć radą i pomocą. Nie pozwolą, abym podał komukolwiek coś zagrażającego zdrowiu. Jeśli weźmie pani udział w naszym eksperymencie na ochotnika, obiecuję, że nie będzie się to wiązało z najmniejszym nawet ryzykiem.

— Siostra oddziałowa z chęcią się zgłosi — powiedział Edanelt, nadal lekko się trzęsąc. — Hredlichli, Gurronsevas jest znany w całej Federacji. Przy jego reputacji kulinarnej powinnaś uznać tę propozycję za zaszczyt.

— Uznaję — odparła z rezygnacją Hredlichli. — Chociaż czuję się, jakbym miała testować szczepionkę przeciwko śmiertelnie groźnej chorobie.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Podczas drugiej wizyty u naczelnego psychologa Gurronsevas trafił na te same trzy istoty pracujące przy swoich konsolach. Wcześniej dowiedział się jednak, z kim ma do czynienia. Ziemianin w mundurze Kontrolera był porucznikiem i nazywał się Braithwaite. Pełnił funkcję pierwszego asystenta O’Mary. Sommaradvanka Cha Thrat była stażystką, a Tarlanin Lioren specjalistą od spraw z pogranicza psychologii i religii. Tym razem Gurronsevas nie zwrócił się do najstarszego rangą, tylko do całej trójki, gdyż wszyscy mogli się okazać pomocni.

— Jestem naczelnym dietetykiem — powiedział cicho. — Jeśli to możliwe, chciałbym otrzymać informacje w pewnej poufnej sprawie.

— Pamiętamy pana, Gurronsevas — odparł porucznik, unosząc głowę. — Zjawił się pan jednak w złej chwili. Major jest na comiesięcznym zebraniu Diagnostyków. Mogę panu jakoś pomóc czy mam wyznaczyć termin spotkania?

— Zatem to chyba dobry moment, gdyż właśnie o naczelnego psychologa chcę was spytać. Rzecz jasna w zaufaniu.

Cała trójka przerwała pracę i jęknęła z cicha.

— Słuchamy — powiedział Braithwaite.

— Dziękuję. — Gurronsevas przysunął się bliżej i ściszył głos. — Odkąd jestem w Szpitalu, nigdy nie widziałem, aby naczelny psycholog odwiedził stołówkę. Czy O’Mara zwykł jadać sam?

— Tak — odparł z uśmiechem Braithwaite. — Major rzadko dzieli z kimkolwiek stół. Twierdzi, że mógłby w ten sposób zasugerować innym, że koniec końców jest tylko człowiekiem, ze wszystkimi ludzkimi wadami i słabostkami, a to miałoby destruktywny wpływ na dyscyplinę.

— Nie rozumiem — stwierdził dietetyk po chwili namysłu. — Czy chodzi o jakiś problem emocjonalny? A może to kryzys tożsamości? Jeśli naczelny psycholog nie chce, aby uważano go za człowieka, to z jakim gatunkiem się identyfikuje? Taka informacja, o ile możecie i zechcecie się nią ze mną podzielić, bardzo pomogłaby mi w przygotowywaniu stosownych posiłków. Zakładam, że samotne posiłki mają ukryć fakt, że nie spożywa ludzkiego jedzenia.

Cha Thrat i Lioren znowu wydali kilka nieprzetłumaczalnych dźwięków, Braithwaite zaś uśmiechnął się jeszcze szerzej.

— Naczelny psycholog nie ma zaburzeń. Obawiam się, że moja wypowiedź o jego podejściu do swego człowieczeństwa została zniekształcona w przekładzie i niechcący wprowadziłem pana w błąd. Chciałbym jednak wiedzieć, jak właściwie moglibyśmy pomóc? Mam wrażenie, że interesuje się pan sposobem odżywiania majora.

— Owszem. Szczególnie zależy mi na informacjach na temat jego preferencji kulinarnych, tego, jak często zamawia ulubione dania oraz co i jak w nich krytykuje albo będzie krytykował. — Wbrew pozorom ich zdobycie jest bardzo trudne — kontynuował. — Nie uda mi się tego zrobić bez zwracania na siebie uwagi, a chodzi o poufne działanie. Wiele istot w Szpitalu jada samotnie, czy to z osobistych upodobań, czy z konieczności, gdy obowiązki zawodowe nie pozwalają im tracić czasu na wędrówkę do stołówki i z powrotem. Wszystkie zamówienia są wymazywane natychmiast po ich zrealizowaniu, bo nikt nie widział potrzeby przechowywania takich danych. Jedynym sposobem byłoby przechwycenie zlecenia albo skontrolowanie samej dostawy. Ani jednego, ani drugiego nie da się zrobić w tajemnicy. Znacznie prościej byłoby, gdybyście zechcieli przekazać mi niezbędne dane.

— O ile gusta kulinarne nie są powiązane z jakimiś aberracjami psychicznymi, cokolwiek może to znaczyć w naszym domu wariatów, trudno zakwalifikować takie informacje jako tajne — odezwał się po raz pierwszy Lioren. — Dlaczego nie spyta pan samego O’Mary? Skąd to pragnienie trzymania wszystkiego w tajemnicy?

To pragnienie ma sens, pomyślał Gurronsevas. Głośno zaś powiedział:

— Jak wiecie, jestem odpowiedzialny za reformę szpitalnej kuchni. Jednak wprowadzanie zmian w smaku i sposobie podawania potraw to zadanie dość delikatne, szczególnie gdy dotyczy większej liczby istot. Najpewniej skończyłoby się to powszechną dyskusją na temat osobistych gustów i smaków, a ja otrzymałbym niewiele szczegółowych danych, które mają dla mnie największą wartość. Oczywiście praca z konkretnymi osobnikami, jak to było w przypadku pacjenta AUGL Jeden Trzynaście i siostry oddziałowej Hredlichli, daje wymierne efekty, jednak nadal jest to marnowanie czasu, nawet jeśli całkiem przyjemnie dyskutuje się o kulinarnych niuansach. Postanowiłem zatem, że przy następnej okazji obiekt nie będzie świadom tego, że jest przedmiotem eksperymentu.

Porucznik patrzył na niego przez chwilę z otwartymi ustami i już się nie uśmiechał. Cha Thrat też milczała. Tylko Lioren zdecydował się odezwać.

— Chyba nikt nie uwielbia naczelnego psychologa, ale z pewnością jest on przez wszystkich bardzo szanowany. Nie chcielibyśmy brać udziału w spisku mającym na celu otrucie go.

— A może nasz naczelny dietetyk do tego stopnia ugiął się pod brzemieniem odpowiedzialności, że nie znajduje innego wyjścia jak morderstwo? — spytał Braithwaite, odzyskawszy głos.

— To moja sprawa — odciął się Gurronsevas.

— Przepraszam — mruknął porucznik. — To był oczywiście żart. Jednak ryzykuje pan zrażenie do siebie osoby o wielkiej władzy i sporej porywczości. Jeśli coś się nie powiedzie, O’Mara nie będzie pana krył. Może lepiej proszę przemyśleć tę sprawę.

— Już wszystko przemyślałem. Jeśli tajemnica zostanie zachowana, ryzyko nie przekroczy akceptowalnego poziomu.

— Zatem pomożemy panu, na ile będziemy mogli — odparł Braithwaite. — Chociaż zapewne nie będzie to wiele...

Codziennie ktoś z personelu naczelnego psychologa widział jego zamówienia. Ponieważ dania pakowano w przezroczystą folię izolacyjną, można je było rozpoznać. Widać było też, jakie resztki zostawały na talerzach. Czasem słyszeli również przez drzwi dosadne krytyczne uwagi O’Mary na temat tego, co akurat otrzymał z kuchni.

— Jak sam więc pan widzi, pewne dane są do zdobycia, ale nie będą one kompletne — zakończył przepraszająco Braithwaite.

— Jednak powinny się okazać pomocne — rzekł Gurronsevas. — Szczególnie jeśli będziecie mi też przekazywać konkretne uwagi padające w trakcie jedzenia i zaraz po posiłkach. Z powodów, które już wyjaśniłem, zależy mi, aby obserwacje były prowadzone dyskretnie. Chciałbym dowiadywać się niezwłocznie o wszystkich, nawet bardzo drobnych zmianach zachowania majora związanych z jedzeniem.

— Jak długo miałoby to potrwać? — spytał porucznik. — Miesiąc? Bez końca?

— Och, nie. W Szpitalu jest ponad sześćdziesiąt gatunków konsumentów, którymi muszę się zająć. Dziesięć, góra piętnaście dni.

— Dobrze — mruknął Braithwaite, kiwając głową. — Jesteśmy wyszkoleni w obserwacji drobnych nawet zmian ekspresji czy zachowania, jako że mogą one świadczyć o ukrytych problemach osobowościowych. Czy możemy zrobić dla pana coś jeszcze?

— Dziękuję, nie.

Gdy wychodził, usłyszał głos Liorena.

— Skoro mowa o zmianach, słyszeliśmy pogłoski o siostrze oddziałowej Hredlichli. Od kilku dni zachowuje się podobno dość dziwnie, zaczęła nawet okazywać życzliwość podwładnym i niektórzy twierdzą, że z czasem zapewne da się lubić. Czy to skutek pańskiej pracy nad jadłospisem PVSJ?

Wszyscy wydali przytłumione, nieprzetłumaczalne dźwięki sugerujące, że nie było to całkiem poważne pytanie. Gurronsevas też roześmiał się cicho.

— Mam nadzieję, że tak. Ale nie gwarantuję podobnych skutków, jeśli chodzi o O’Marę.

Skupiając uwagę na wymijaniu istot podążających korytarzami między gabinetem naczelnego psychologa a centrum kontroli syntez żywności, Gurronsevas rozmyślał o Hredlichli. Prace nad menu PVSJ zajęły mu więcej czasu, niż przewidywał, ale też chlorodyszna okazała się bardziej skłonna do rozmów niż do jedzenia. Choć w sumie bezproduktywny, był to miły sposób spędzania czasu. Za kilka godzin jego współpraca z Hredlicłili miała dobiec końca i Gurronsevas niemal tego żałował.

Nie był zdumiony, gdy zobaczył, że Murchison i Timmins już na niego czekają. Patolog pomachała mu ręką i powiedziała, że urwała się z wydziału na resztę dnia. Najciekawszych zdarzeń oczekiwała właśnie tutaj. Mogłoby się wydawać, że Murchison przyznaje się głośno do mało poważnego traktowania obowiązków, dietetyk wiedział już jednak, że nie powinien brać wszystkich jej wypowiedzi całkiem serio.

Timmins zajęty był dostrajaniem syntetyzera w jadalni chlorodysznych i tak go to pochłaniało, że nie zauważał nawet Murchison. Technicy Dremon i Kledath jasno dawali mu do zrozumienia falowaniem sierści, że nie potrzebują żadnych pouczeń, on wszakże cały czas patrzył im na ręce. Dobrze pamiętał obawy Gurronsevasa.

— Zakończyliśmy analizę osłon na jednym z urządzeń w przylegającej do jadalni chlorodysznych sali ćwiczeń — powiedziała Murchison, przysuwając się. — Materiał, z którego je wykonano, przeszedł w swoim czasie testy bezpieczeństwa, oczywiście z pozytywnym wynikiem, lecz odkryliśmy w nim pewien obcy składnik. Musiał zostać dodany przypadkiem, już podczas produkcji. Wystawiony na długotrwałe działanie chloru, uwalnia śladowe ilości gazów, które normalnie nie wystąpiłyby w tym środowisku. Choć nieszkodliwe nawet w dużym stężeniu, mają specyficzny zapach. Illensańczyk z naszego laboratorium określił ich woń jako apetyczną. Świetnie, że udało ci się na to trafić.

— Dziękuję, ale największą zasługę ma Hredlichli. To ona zauważyła, że po skorzystaniu z tego urządzenia większość ćwiczących idzie jeść, twierdząc, że apetyt im się poprawił. Po jedzeniu zaś nie ćwiczą w ogóle. Gdy wiedziało się już, gdzie szukać, prościej było znaleźć.

— Jesteś zbyt skromny — stwierdziła Murchison. — Ale co teraz planujesz? I z czyim udziałem?

Gurronsevas pomyślał, że chyba po raz pierwszy w życiu uznano go za skromnego.

— Też chciałbym to wiedzieć — rzekł pochylony nad konsolą Timmins.

Wszyscy spojrzeli na Tralthańczyka, nawet Kelgia — nie umilkli, a ich futra znieruchomiały w oznace zaciekawienia. Gurronsevas musiał jednak zastanowić się nad doborem słów, aby nie wyjawić, o kogo chodzi.

— Praca z PVSJ była wyzwaniem, ale w sumie to raczej ćwiczenia teoretyczne, skoro sam nie mogę spróbować ich potraw. Następny projekt będzie trudniejszy, lecz mniej niebezpieczny dla wszystkich zainteresowanych, bo chociaż trudno przewidzieć ostateczne efekty, na pewno nikomu nie zagrozi zatruciem. Obiektem eksperymentu jest człowiek typu ziemskiego, przedstawiciel grupy stanowiącej ponad jedną piątą personelu Szpitala. Z doświadczeń zdobytych podczas pracy w hotelu Cromingan — Shnesk wiem, jak trudno zaspokoić oczekiwania kulinarne tej rasy. Potem chciałbym się zająć Kelgianami, Melfianami i Nallaimami. Niekoniecznie w tej właśnie kolejności.

Futra Kelgian zafalowały zbyt nieregularnie, aby Gurronsevas mógł odczytać, o jakie emocje chodzi. Murchison uśmiechnęła się, a Timmins powiedział czym prędzej:

— Chętnie zgłoszę się na ochotnika.

— Proszę się ustawić na końcu kolejki, poruczniku — rzuciła patolog.

Już chciał oznajmić, że nie potrzebuje więcej ochotników, gdy na ekranie komunikatora pojawiła się twarz Hredlichli. Od razu poznał, że dzwoni ze swojej kwatery, gdyż nie miała na sobie ubioru ochronnego.

— Chciałabym się dowiedzieć, jak postępy w syntezowaniu następnej próbki żuczków w galaretce z yursilu. Czekam na nią z wielką niecierpliwością, a nic jeszcze do mnie nie dotarło. Coś się stało?

Nie co, ale kto, pomyślał Gurronsevas. Technik dietetyk Liresschi zdarzył się był po drodze.

— Osiągnęliśmy od wczoraj spory postęp — rzekł. — Udało nam się zsyntetyzować pięć dodatków do menu PVSJ: dwa główne dania i trzy podkreślające smak albo kontrastujące z nim sosy, które można też dodawać do istniejących już dań. Pani illensańscy przyjaciele będą mogli ocenić rezultaty podczas jutrzejszego głównego posiłku. Proszę przypomnieć im, że dostaną to samo pozbawione smaku sztuczne jedzenie co zwykle. Tyle że z nowymi dodatkami. Jeden ze składników sosu fryelli — ciągnął — nie występuje na waszym świecie, ale patologia zapewnia mnie, że będzie niegroźny dla waszego metabolizmu. Ma poprawiać apetyt przez bodźce zapachowe i wizualne. Sam w sobie pozbawiony jest smaku, lecz aż trudno w to uwierzyć, jeśli wziąć pod uwagę jego wygląd i zapach. Co do sztucznych żuczków, zmiana będzie dotyczyć głównie ich wyglądu. Do galaretki dodaliśmy małe, nieregularne zwitki elastycznej materii, przez co z bliska będzie się wydawało, że to naprawdę zielone żuczki, które nadal się ruszają. Jest szansa, że wrażenia wizualne w znaczącym stopniu wpłyną na doznania smakowe...

— Bez wątpienia zapowiada się to wspaniale — przerwała mu Hredlichli. — Ale gdzie jest próbka?

— Ponieważ spieszyliśmy się z wdrożeniem produkcji, przekazałem ją dla pani przez technika Liresschi. Miał on też dodatkowo ocenić walory smakowe. W pełni zaaprobował produkt, stwierdził jednak, że dla pełnej oceny dania o równie subtelnym smaku musiał spróbować go więcej niż raz. Niestety, po teście próbka skurczyła się za bardzo, aby wysyłać ją dokądkolwiek. Ale chętnie przygotuję jeszcze jedną...

— Ale sam pan mówił, że wystarczy dla wszystkich!

— Tak.

— Technik Liresschi to kulinarny barbarzyńca — powiedziała ze złością Hredlichli. — I chciwy żarłok!

— Tak — rzekł raz jeszcze Tralthańczyk. Siostra oddziałowa warknęła coś niezrozumiałego, ale zanim zdążyła podjąć wątek, Gurronsevas przejął inicjatywę.

— Chcę podziękować za pomoc okazaną podczas naszych długich rozmów. Dzięki nim udało się poprawić znacznie menu Illensańczyków. Przyjdzie pora na dalsze zmiany, niemniej zasadniczy cel został osiągnięty i teraz muszę zająć się pożywieniem innych gatunków. Raz jeszcze gorąco dziękuję.

Hredlichli dłuższą chwilę nie odpowiadała i Gurronsevas zaczął się już zastanawiać, czy w jakiś sposób jej nie uraził. Przez długie lata współpracy w ramach Federacji Illensańczycy zyskali opinię najwyższej klasy profesjonalistów, nie uznawano ich jednak za istoty szczególnie towarzyskie. Niełatwo nawiązywali bliższe kontakty i ciągle na coś narzekali. Zgodnie z prawdą czy nie, postrzegali siebie zwykle jako mało szanowaną i gorzej traktowaną chlorodyszną mniejszość. Wprawdzie podczas wspólnej pracy nad illensańskim menu Hredlichli zaczęła odnosić się do niego zdecydowanie lepiej niż dotąd, jednak nie potrafił określić, czy trafił jej przez żołądek do serca, czy może został tylko doceniony jako fachowiec.

Chętnie zobaczyłby w tej chwili kogoś z psychologii, najlepiej Ojczulka Liorena, który może wyjaśniłby mu, co nie tak powiedział. Nagle wszakże Hredlichli się odezwała.

— Może uzna pan to za komplement, może za narzekanie, ale cóż... Dotąd naprawdę niewiele wiedzieliśmy o zwyczajach kulinarnych ciepłokrwistych tlenodysznych.

Gurronsevas taktownie się nie odzywał.

— Rozmawiałam z przyjaciółmi o naszej pracy nad menu i oni są równie zadowoleni ze zmian jak ja. Przeczytaliśmy zasoby ogólnego komputera i dowiedzieliśmy się, że na Ziemi, gdzie przygotowywanie i spożywanie posiłków rozwinęło się w całą gałąź sztuki, istnieje zwyczaj właściwy jednej z grup tubylców, zwanej Francuzami. Otóż pod koniec szczególnie udanego posiłku zaprasza się tam na salę kucharza, zwanego Chef du Cuisine, aby osobiście mu podziękować. Mamy nadzieję, że zechce pan jutro odwiedzić naszą jadalnię, abyśmy mogli uczynić to samo.

Przez chwilę Gurronsevas nie wiedział, co powiedzieć.

— Znam ten ziemski obyczaj i zaszczyt to dla mnie, ale...

— Nic panu nie grozi — dodała Hredlichli. — Proszę tylko włożyć jakiś kombinezon ochronny. Zależy nam jedynie na pańskiej obecności. Nie oczekujemy, że będzie pan cokolwiek jeść.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Gurronsevas uznał ostatecznie, że skupienie się na jednej istocie, która miałaby reprezentować ponad dziesięć tysięcy członków personelu medycznego i technicznego oraz kilka tysięcy pacjentów, nie jest sensownym ani sprawiedliwym rozwiązaniem. Nawet jeśli uznać, że O’Mara jest najbardziej wpływowy spośród nich wszystkich. Dietetyk postanowił zatem poszukać jeszcze kogoś, w miarę możliwości mniej kłopotliwego.

Wpływ na to miały doniesienia jego informatorów z psychologii. Po pięciu dniach śledzenia reakcji O’Mary na zmodyfikowane posiłki nie udało się wychwycić żadnych zauważalnych zmian w zachowaniu, temperamencie czy stosunku konsumenta do podwładnych.

Podczas jednego z codziennych spotkań w jadalni Cha Thrat zasugerowała, że major może być jednym z tych nielicznych ludzi, którzy pochłonięci całkowicie sprawami zawodowymi, ignorują doznania smakowe. Braithwaite przyznał jej rację i dodał, iż wyczuł, że obiady naczelnego psychologa pachną ostatnio jakoś inaczej. Gurronsevas odparł, że tak czy owak, dane uzyskane od nieświadomego, choćby wrogo nastawionego uczestnika eksperymentu mają znacznie większą wartość niż opinie ochotnika.

— Niemniej, skoro ocena posiłków się nie pogorszyła, zakładam, że ogólnie zmiany są do przyjęcia. Wprowadziłem je zatem do programów głównego syntetyzera. Zapewne powie mi pan, poruczniku, z jakim skutkiem.

— Owszem — odparł Braithwaite, wywołując menu. — O jakie dania chodzi?

— Ja też zjadłabym coś dobrego. Potrzebuję tego tak samo jak ludzie — zauważyła Cha Thrat.

— Jestem tego świadom — stwierdził Gurronsevas. — Nie zapomniałem o jedynej w Szpitalu Sommaradvance. Jednak twój gatunek dołączył do Federacji stosunkowo niedawno, a podczas pracy w hotelu nie zetknąłem się z twoimi pobratymcami, niewiele zatem o was wiem. Gdybyś zechciała przekazać mi jakieś informacje, chętnie nadstawię ucha. Chociażby po to, aby przestać myśleć o smaku tej nieapetycznie wyglądającej atrapy grzyba w fałszywym syropie uxt. Ale moim ulubionym daniem pozostaje nallaimski robak strill, z pięknymi zielonymi i czarnymi włosami, które są prawie tak długie jak jego ciało. Podawany oczywiście żywy, w jadalnej klateczce z cruulańskiego makaronu.

— Proszę — jęknął Braithwaite. — Chciałbym coś zjeść.

— Ja też — dodała Cha Thrat. — Jeszcze trochę o jedzeniu, które trzeba zamykać w klatkach, a się wynicuję.

— Cierpienie uszlachetnia duszę — wtrącił się Ojczulek Lioren. — Jeśli zaś się wynicujesz, będziemy się mogli przekonać, czy takową posiadasz.

Gurronsevas próbował znaleźć jakąś ripostę z pogranicza teologii i kulinariów, gdy nagle przy stole pojawił się Hudlarianin z opaską młodszego internisty.

— Naczelny dietetyk Gurronsevas? — spytał nieśmiało i zamilkł.

Tralthańczyk wiedział, że Hudlarianie mają wyjątkowo grubą skórę, ale są istotami wielkiej wrażliwości.

— Mogę panu w czymś pomóc, doktorze?

— I mnie, i moim kolegom klasy FROB, ale czy na pewno nie przeszkadzam? Sprawa jest poważna, jednak nie pilna.

— Mam kilka minut. Potem muszę się udać do doku dwunastego. Jeśli trzeba więcej czasu, możemy porozmawiać po drodze. O co chodzi, doktorze?

Cały czas Gurronsevas spoglądał uważnie wszystkimi oczami na istotę, która, chociaż niewiele od niego roślejsza, miała aż czterokrotnie większą masę. Poruszała się na sześciu mackowatych kończynach zaopatrzonych w chwytne wyrostki. Jak wszyscy, którzy zrządzeniem losu musieli przebywać pośród słabszych i bardziej kruchych od siebie, poruszała się bardzo uważnie i powoli.

Istoty klasy FROB wyewoluowały na świecie o wysokiej grawitacji i tak gęstej atmosferze, że przypominała pełną składników odżywczych zupę. Hudlarianie pokryci byli grubym pancerzem, który jedynie przed oczami stawał się przezroczysty. Na rodzinnej planecie chronił ich przed ciśnieniem, w kosmosie zaś pozwalał na pracę bez skafandra nawet w próżni. W ich ciele nie było żadnych naturalnych otworów. Narząd mowy i słuchu stanowiła elastyczna membrana, nie oddychali, pożywienie wchłaniali przez skórę i w podobny sposób wydalali odchody. Poza swą planetą musieli regularnie spryskiwać się specjalną substancją odżywczą, potrzebowali bowiem mnóstwo energii.

Z tego powodu każda dłuższa przerwa w przyjmowaniu pokarmu mogła się okazać dla nich groźna. Zajęci rozmyślaniami, obowiązkami czy interesującą rozmową, potrafili zapomnieć o pożywieniu i zemdleć potem z osłabienia w drodze do stołówki. Nie odzyskiwali przytomności, dopóki nie pokryło się ich kolejną porcją odżywki. Jeśli nastąpiło to w miarę szybko, obywało się bez komplikacji i pomoc lekarska nie była konieczna. Niemniej dla uniknięcia podobnych wypadków na każdym oddziale tlenodysznych umieszczono awaryjny spryskiwacz ze zbiornikiem. Jak zauważył Gurronsevas, ten Hudlarianin był świeżo po posiłku, nie chodziło zatem o pokarm.

Nazbyt się spieszę z wyciąganiem wniosków, pomyślał dietetyk.

— Wszyscy mówią ostatnio o wprowadzanych przez pana zmianach dietetycznych. Chalderczycy, Illensańczycy i ludzie już coś dostali. Nie chcę wywołać wrażenia, że prawię komplementy w nadziei, że i my coś zyskamy. Na komplementy zasłużył pan tak czy owak... Już pan wychodzi? Mam sprawę w pobliżu doku dwunastego. Mogę iść przed panem? Tak będzie wygodniej, bo każdy stara się uniknąć zderzenia z Hudlarianinem, niezależnie od jego rangi medycznej.

— Dziękuję, doktorze — odparł Gurronsevas. — Jednak nie jestem pewien, czy mogę cokolwiek dla was zrobić. Hudlarianie to, no cóż, Hudlarianie. W moim hotelu żywienie Hudlarian przebiegało tak samo jak tutaj, tyle że ustawiało się wokół nich parawan, aby nie ochlapali niechcący innych konsumentów. Pojemniki z substancją odżywczą przynoszono z magazynów i obowiązki obsługi ograniczały się do pilnowania, aby zraszacz był zawsze na miejscu. Jakie zmiany miałby pan na myśli, doktorze?

Pięć minut później szli już korytarzem prowadzącym do studni, najkrótszej drogi do doku dwunastego. Hudlarianin milczał, a Gurronsevas zachodził w głowę, czy wynikało to z jego nieśmiałości czy może z rozczarowania.

— Nie wiem — powiedział w końcu. — Zapewne marnuję pański czas i nadużywam pańskiej cierpliwości. Żywność, którą otrzymujemy, idealnie pasuje do naszych potrzeb, ale jest całkiem bez smaku i nie dostarcza podczas wchłaniania miłych wrażeń. Nie krytykuję Szpitala ani pana, bo dostawy pochodzą z naszej planety i zawsze są takie same. Nie mogą zresztą być inne, skoro, jak pan bez wątpienia wie, składniki są suszone, a następnie przesiewane, aby uniknąć grudek, które utrudniłyby spryskiwanie. Próby syntetyzowania hudlariańskiej żywności nie dały zadowalających rezultatów.

Teraz z kolei Gurronsevas zamilkł. Współczuł Hudlarianom, zadał już jednak pytanie i nie zamierzał go powtarzać.

— Nie wiem, czy można coś zmienić — kontynuował FROB. — Wszyscy Hudlarianie pracujący poza swoją planetą używają tej samej odżywki, są na nią skazani. Jednak gdyby jedzenie sprawiało nam przyjemność, zapewne nie padalibyśmy tak często w różnych dziwnych miejscach.

Ma sporo racji, pomyślał Gurronsevas.

Byli już w wejściu do centrali doku. Przez szybę widzieli otwarte wrota i ładownię niedawno przybyłego frachtowca. Operatorzy wiązek ściągających przenosili pierwsze oznaczone jaskrawymi kolorami kontenery. Dla ułatwienia operacji w doku i w ładowni panowała zerowa grawitacja. Ustawieniem kontenerów na właściwych miejscach zajmował się tłumek robotników różnych ras w żółto — pomarańczowych kombinezonach ochronnych. Gurronsevasowi przypominali grupkę dzieci bawiących się za dużymi klockami.

— Doktorze, na ile i jak substancja odżywcza różni się od tego, co jadacie na swojej planecie? — spytał w pewnej chwili.

Hudlarianin próbował jak najszczegółowiej odmalować swoje naturalne środowisko. Obraz był intrygujący, prawie niewiarygodny. W szkole Gurronsevas uczył się o Hudlarianach na lekcjach geografii planet Federacji. Dopiero teraz jednak zaczynał ich rozumieć. W opowieści było sporo luk, gdyż lekarz milkł od czasu do czasu, niekiedy w połowie zdania, jakby coś pochłaniało jego uwagę. Gdy dietetyk podążył za jego spojrzeniem, pojął, o co chodziło.

— Ten statek ma hudlariańską załogę — powiedział, wskazując na otwartą ładownię i pracujące tam istoty. — Zna pan kogoś na pokładzie?

— Tak — odparł internista. — Przyjaciela, który obecnie jest w fazie żeńskiej. Razem dorastaliśmy. Ma zostać moją partnerką.

— Rozumiem — mruknął Gurronsevas. Nie chciał poznawać mechanizmu reprodukcji olbrzymich obcych, podobnie jak spraw sercowych jego rozmówcy. Należało zmienić temat. — Jeśli dobrze zrozumiałem, gęsta atmosfera waszej planety zawiera drobne stworzenia oraz sporo tkanki roślinnej, która to mieszanina na skutek nieustannych wiatrów nigdy nie opada na powierzchnię. Obecne w niej toksyczne drobiny są rozpoznawane przez wasze receptory smaku, a następnie odrzucane albo neutralizowane. Niemniej odczuwacie je na skórze jako pieczenie lub ukłucia. Te doznania decydują o smaku pobieranego pokarmu. Zatem to brak wspomnianych toksycznych składników jest głównym powodem niezadowolenia z obecnego sposobu odżywiania?

— Dokładnie. Jeśli w mieszaninie trafi się czasem coś gorszego, przypomina nam to dom.

Gurronsevas zastanawiał się przez moment.

— Wiem, na czym polega łączenie słodkiego i kwaśnego albo goryczki z czymś mdłym. Jednak nie sądzę, by Szpital pozwolił na wprowadzenie do menu toksycznych składników, szczególnie że szybko jako resztki trafiłyby one do systemu odzysku.

Hudlarianin nie miał twarzy, która odzwierciedlałaby jego emocje, jednak co nieco można było wyczytać z napięcia mięśni otaczających membranę. Wyraźnie zaczęła się ona zapadać.

— Niemniej chciałbym się temu przyjrzeć. Skąd mógłbym zdobyć próbki tych szkodliwych substancji? Czy trzeba będzie posyłać po nie na Hudlar?

— Nie — odparł szybko internista i jego membrana ponownie się napięła. — Całkiem sporo naszej atmosfery dostało się do wnętrza statku podczas załadunku. Została przepompowana na pokład rekreacyjny. W tej chwili jest całkiem spokojna, ale zawiera wszystkie składniki, w tym niejadalne cząstki. Gdyby przy okazji zbierania próbek chciał pan zwiedzić też sam statek, chętnie to zorganizuję.

Pewnie, że chętnie, pomyślał Gurronsevas, przypominając sobie o pracującej gdzieś tam przyszłej partnerce lekarza.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Hudlarianin nałożył magnetyczne przylgi na nadgarstki i hermetyczną osłonę na membranę głosową, poza tym jednak żadna inna ochrona nie była mu potrzebna. Musiał czekać na Gurronsevasa, chociaż na pewno bardzo mu zależało, aby jak najprędzej dostać się na frachtowiec.

Gurronsevas już wcześniej, gdy tylko usłyszał o przybyciu hudlariańskiego statku, zapragnął przyjrzeć się rozładunkowi. Była to kwestia zawodowej ciekawości. Chciał prześledzić cały proces dostarczania, składowania i przetwarzania żywności w Szpitalu, nawet jeśli jako główny dietetyk, zarządzający armią fachowców, nie musiał tego wszystkiego znać. Zawsze jednak starał się dowiedzieć jak najwięcej o tym, co choćby pośrednio dotyczyło jego pracy.

Kilka minut później wpłynęli w przestwór ładowni. Cały czas powtarzano głośno ostrzeżenia, aby unikali wiązek ściągających i napływających nieustannie z wielką szybkością kontenerów. Trzymali się blisko podłogi. Hudlarianin prowadził. Gdy byli blisko śluzy, usłyszeli polecenie wstrzymania na trzy minuty prac, aby dwaj członkowie z personelu Szpitala, zdążający w niewłaściwym kierunku, mogli się dostać na statek. Gurronsevas nie wiedział, kto tak się o nich zatroszczył. Głos brzmiał zdecydowanie, chociaż dało też się w nim wyczuć zniecierpliwienie.

Po chwili dołączył do nich Hudlarianin z ekipy pracującej w doku. Okazał się bardzo życzliwy i przyjacielsko nastawiony, a jego serdeczność jeszcze wzrosła, gdy internista wyjaśnił mu, jakie stanowisko zajmuje Gurronsevas i że zamierza zająć się poprawieniem jakości substancji odżywczej. Nie było żadnych przeciwwskazań, aby weszli na statek, byle tylko towarzyszył im ktoś z załogi. Nowy Hudlarianin zgłosił się na ochotnika i poprowadził ich ku najbliższej śluzie pasażerskiej.

Podobnie jak Chalderczycy, Hudlarianie używali imion tylko w kontaktach z rodziną i najbliższymi przyjaciółmi, ten zaś nie wyjawił nawet swojego stopnia, przydziału czy numeru identyfikacyjnego. Gurronsevas nie miał więc pojęcia, za kim idzie. Sądząc po pewności siebie i znajomości zagadnień żywieniowych, mógł to być pokładowy lekarz.

Nic nie zdradzało też, czy chodzi o Hudlarianina w fazie żeńskiej, który był tak drogi interniście. Olbrzymi obcy unikali ostentacji, szczególnie w miejscach publicznych.

— Czy ciążenie i ciśnienie są odpowiednie? — spytał drugi Hudlarianin, gdy dotarli do kwater załogi. Spojrzał na skafander Gurronsevasa, którego elastyczne elementy przylegały ciasno do ciała. Hudlarianie mogli długo pracować w próżni, jednak woleli przebywać w naturalnym dla nich środowisku o wysokiej grawitacji i potężnym ciśnieniu.

— Całkiem dobre — odparł dietetyk. — Prawdę mówiąc, te warunki są znacznie bliższe panującym na mojej planecie, niż ziemska grawitacja utrzymywana w Szpitalu. Jeśli jednak nie macie nic przeciwko temu, wolałbym nie zdejmować skafandra. Wasza atmosfera jest wystarczająco bogata w tlen, ale zawiera domieszki, w części chyba ciągle żywe, które mogłyby się dostać do moich dróg oddechowych.

— Nam to zupełnie nie przeszkadza. Więcej tych drobin znajdziesz na pokładzie rekreacyjnym i tam najlepiej będzie zbierać próbki. Chciałbyś zajrzeć jeszcze gdzieś?

— Wszędzie — stwierdził Gurronsevas. — Najbardziej jednak do kuchni i mesy.

— Nie zaskakujesz mnie — powiedział Hudlarianin. — Znasz rozkład statku?

— Leciałem kiedyś podobnym jako pasażer.

— Jako pasażer wiesz zatem, że większość statków Federacji to dzieła Nidiańczyków, Ziemian oraz twoich rodaków z Tralthy. Te trzy kultury są najbardziej zaawansowane w inżynierii kosmicznej. Wprawdzie systemy kontrolne, systemy podtrzymywania życia i wyposażenie kabin buduje się, uwzględniając potrzeby odbiorców, jednak najwyżej cenione są statki tralthańskie. Używają ich handlowcy, a nawet sam Korpus Kontroli...

— Którzy powiadają, że nawet tralthańskie koparki składane są z zegarmistrzowską precyzją — wtrącił z nieskrywaną dumą Gurronsevas.

— Zgadza się — rzekł po chwili milczenia Hudlarianin. — Mam nadzieję, że nie uraziłem cię, wyjaśniając coś, co było dla ciebie oczywiste. Chciałem tylko powiedzieć, że to tralthański statek zbudowany według hudlariańskich specyfikacji, możesz więc czuć się bezpiecznie i nie obawiać, że uszkodzisz cokolwiek swoją znaczącą masą.

— Nie poczułem się urażony — odparł Gurronsevas i tupnął swymi sześcioma kończynami z siłą, która niewątpliwie wygięłaby panele podłogowe Szpitala. — Dziękuję.

W drodze do centrali zauważył, że oświetlenie korytarzy jest bardziej stonowane niż na jego świecie. Na dodatek w powietrzu unosiły się różne drobiny, które tworzyły szarawy nalot na wizjerze hełmu, tak że musiał co kilka chwil przecierać szybkę. Hudlarianom najwyraźniej to nie przeszkadzało.

Okazał uprzejme zainteresowanie wyposażeniem centrali, najdłużej jednak zatrzymał się przy ekranie pokazującym rozładunek z perspektywy statku. Hudlarianin z załogi wyjaśnił, że dostarczyli właśnie surowce do syntetyzowania żywności ciepłokrwistych tlenodysznych. Pierwsze rozładowywano te kontenery, które nie wymagały specjalnego traktowania. Materiały dla Illensańczyków oraz pojemniki z substancją odżywczą Hudlarian należało ładować ręcznie i przewozić na specjalnych platformach. Tym zajmowali się już wykwalifikowani dokerzy, nie zwykli operatorzy wiązek. Należało też w tym celu napełnić ładownię i dok powietrzem, ale wziąwszy pod uwagę ich łączną kubaturę, musiało to potrwać i tym samym dawało czas na przerzucenie kontenerów z mniej wrażliwą zawartością.

— Statek przywozi wszystkie surowce potrzebne istotom tych trzech klas w Szpitalu przez czwartą część standardowego roku — ciągnął Hudlarianin. — Dostawy żywności dla rzadszych ras, jak oddychający przegrzaną parą Diagnostyk TLTU, który spożywa Stwórca jeden wie co, czy radioaktywni Telfi VTXM, to nie nasze zadanie. I twoje też nie, mam nadzieję.

— Zaiste nie — rzekł, po czym dodał cicho: — Przynajmniej na razie.

Mesa statku przypominała najbardziej łaźnię. Mogła pomieścić naraz do dwudziestu osobników, chociaż teraz czekało przy niej tylko pięciu załogantów. Gurronsevasowi doradzono, by pozostał na zewnątrz i obserwował wszystko przez szybę w drzwiach. Nawet w skafandrze kontakt z pożywieniem Hudlarian mógłby być dla niego kłopotliwy. Jego przewodnicy, których skóra nosiła wyraźne ślady niedawnego posiłku, stanęli obok. Reszta weszła czym prędzej, a ostatni włączył maszynerię.

Zamontowane w regularnych odstępach na ścianach i suficie zraszacze zaczęły podawać mieszankę odżywczą pod takim ciśnieniem, że gęsta mgła szybko wypełniła pomieszczenie. Potem ożyły zawieszone na ścianach wentylatory, które wprawiły w ruch zawiesinę z mocą wichury.

— Stosujemy ten sam pokarm, co w szpitalu czy na innych statkach i placówkach Hudlarian. Tyle że podawanie go przy gwałtownym ruchu powietrza lepiej odtwarza naturalne warunki odżywiania, nawet jeśli smak pozostaje niezmieniony. Jak za chwilę pan zobaczy, pokład rekreacyjny jeszcze bardziej przypomina nasz dom, chociaż najeść się tam nie można. Dla kogoś z zewnątrz panuje też na nim mniejszy bałagan.

Wspomniane pomieszczenie było akurat puste, gdyż wszyscy albo jedli, albo zajmowali się jeszcze rozładunkiem. Światło okazało się jeszcze bardziej przyćmione niż na korytarzach i ledwo pozwalało dojrzeć urządzenia do ćwiczeń, martwe ekrany oraz rozrzucone wkoło nieregularne bryły, które przypominały rzeźby. Brakowało siedzisk czy leżanek, ponieważ mający twardą skórę Hudlarianie niczego takiego nie potrzebowali. Mocno napięta membrana na suficie emitowała pogwizdywania i jęki, które — jak powiedziano Gurronsevasowi — były relaksującą hudlariańską muzyką. Przegrywała ona jednak z wyciem sztucznej wichury, która nieustannie omiatała całą salę.

Porywy były tak silne, że chwilami groziły przewróceniem masywnego, sześcionogiego Tralthańczyka.

— Jakieś drobiny uderzają w mój skafander i wizjer — powiedział. — Niektóre wydają się żywe.

— To niesione przez wiatr owady z naszego świata — odparł medyk. — Ich żądła zawierają truciznę, która nim zostanie zneutralizowana, podrażnia nasze narządy absorpcyjne. Dla istot twojego rodzaju, które mają dobrze rozwinięty węch, odpowiednikiem tego wrażenia byłaby woń świeżych warzyw. Ile próbek pan potrzebuje?

— Po kilka z każdego rodzaju, jeśli jest ich więcej. Wolałbym żywe okazy z nietkniętymi żądłami i torebkami jadowymi. Da się to zrobić?

— Oczywiście. Proszę tylko otworzyć pojemnik i zamknąć go, gdy dość owadów wleci do środka.

Gurronsevas zastanawiał się nad wydzieleniem części jadalni dla Hudlarian i zamontowaniem tam podobnej maszynerii oraz podajnika żywych owadów, ale doszedł do wniosku, że pomysł ten nie zyskałby akceptacji. Uderzające w niego owady próbowały z uporem wbić żądła w materię skafandra. Gdyby wydostały się z zamkniętego obszaru w Szpitalu, spowodowałyby wśród reszty stołowników olbrzymie zamieszanie. Wolał nawet o tym nie myśleć. Jednak tradycyjne zraszacze były prostszym i, co ważniejsze, sprawdzonym rozwiązaniem, nawet jeśli nie dawały satysfakcji kulinarnej.

Słuchając opisu wrażeń towarzyszących atakowi owadów na narządy absorpcyjne, Gurronsevas dostrzegł u Hudlarian delikatne, ale narastające drżenie kończyn. Wiedział, że nie są głodni, zatem nie chodziło o osłabienie. Gdyby zaś problem był natury medycznej, internista na pewno by o tym wspomniał. Czy były jeszcze jakieś możliwości?

Przebywali na pokładzie rekreacyjnym od dwóch godzin, za jedyne towarzystwo mając istotę obcej rasy, czyli stworzenie seksualnie obojętne. Gurronsevas nie wiedział, jak dokładnie wyglądają u Hudlarian zachowania prokreacyjne ani na ile wymagają prywatności. I wolał tego nie sprawdzać.

— Jestem wam bardzo wdzięczny — powiedział czym prędzej. — Dostarczyliście mi wielu ciekawych i zapewne przydatnych informacji, chociaż na razie nie wiem jeszcze, jak je wykorzystać. Nie chciałbym wszakże nadużywać waszej uprzejmości i, jeśli można, opuściłbym już statek. Nie musicie mnie odprowadzać — rzekł, gdy internista ruszył ku wejściu. — Dobrze rozpoznaję kierunki i sam trafię do wyjścia.

Na chwilę zapadła cisza.

— Dziękuję — powiedział lekarz, gdy dietetyk był już przy drzwiach.

— Jest pan bardzo taktowny — dodał jego towarzysz.

Dla każdego, kto pracował w Szpitalu, obsługiwanie śluz było czynnością rutynową, podobnie jak sprawdzanie skafandra przed wejściem do nowego środowiska. Gdy wyszedł na zewnątrz, wyświetlacz hełmu pokazał, że w zbiornikach zostało mu powietrza na pół godziny. Zapasy paliwa do silniczków skafandra też były na wyczerpaniu, ale to akurat nie stanowiło problemu. Przy zerowej grawitacji mógł przelecieć przez ładownię, korzystając z odrzutu tylko dla drobnych korekt kursu.

W trakcie jego wizyty na pokładzie olbrzymia ładownia została prawie całkiem opróżniona, jednak w słuchawkach nadal słychać było polecenia wydawane robotnikom i operatorom wiązek. Do doku płynęły teraz podwójne palety z pożywieniem Hudlarian, po dwieście pojemników na każdej. Między nimi widział pomalowane ostrzegawczo na żółto i zielono zbiorniki ze sprężoną trującą illensańską mieszanką dla chlorodysznych. Gurronsevas zamknął za sobą śluzę i stanął pewnie sześcioma nogami na burcie statku. Zaczekał na przerwę w potoku ładunków, odbił się i poszybował do wnętrza doku.

Niemal natychmiast zrozumiał, że popełnił dwa bardzo poważne błędy.

Przez ostatnie dwie godziny przebywał w ciążeniu trzech g, przywykł zatem do znacznie większego wysiłku. Odbił się za mocno i poruszał za szybko, na dodatek zaś zaczął się obracać wokół własnej osi i schodzić z kursu.

— Co u licha? — rozległ się gniewny głos. — Wracaj na pokład!

Na domiar złego zapomniał uprzedzić operatorów wiązek o skoku, a ci nie mogli go widzieć ze swoich stanowisk. Czym prędzej włączył silniczki, ale znowu źle coś obliczył, bo pchnęło go w kierunku illensańskich zbiorników.

— Operator numer trzy — rozległo się znowu w słuchawkach. — Ściągnij tego cholernego Tralthańczyka!

Gurronsevas poczuł nagłe szarpnięcie. Wiązka nie została dobrze wycelowana i objęła jedynie przednią część jego ciała, co tylko zwiększyło prędkość wirowania.

— Nie mogę. Wciąż leci na silniczkach — powiedział inny głos. — Wyłącz to, do jasnej... Wtedy będę mógł cię objąć.

Gurronsevas nie miał wszakże zamiaru się zatrzymywać. Jeden z muśniętych wiązką kolorowych illensańskich pojemników wysunął się z mocowań i leciał prosto na niego. Dietetyk włączył silniczki na pełną moc, nie dbając wcale o kurs, byle tylko oddalić się od chlorowej bomby. Chwilę później wpadł na paletę z hudlariańską odżywką.

Mimo stanu nieważkości sama masa rozpędzonego Tralthańczyka sprawiła, że kilka zbiorników pękło, uwalniając w bezgłośnych eksplozjach swą zawartość, kilka dalszych zaś poszybowało w kierunku illensańskiego pojemnika. Ostre krawędzie musiały uszkodzić go przy zderzeniu, wkrótce bowiem doszło do kolejnej, tym razem większej eksplozji. Zawartość obu zbiorników zaczęła reagować ze sobą, wytwarzając rozszerzającą się gwałtownie żółto — brązową chmurę, która dryfowała z wolna ku otwartym wrotom doku.

— Wyłączyć wszystkie wiązki! — krzyknął ktoś. — Nic nie widać w tym świństwie!

Potok płynących ze statku ładunków już się jednak lekko wykrzywił, co wystarczyło, aby kilka z nich zaczepiło o krawędź włazu. Pękając, wyrzucały kolejne chmury oparów, które spychały z kursu następne pojemniki. Po paru chwilach pojedyncze eksplozje przeszły w ciągłą kanonadę. Toksyczne opary w kilka minut mogły ogarnąć całą ładownię.

Hudlarianie potrafili przetrwać w wielu wrogich środowiskach, ale kontakt z chlorem był dla nich śmiertelnie groźny.

Gdzieś w górze zawyła ostro syrena, a nowy donośny głos zaczął powtarzać:

— Alarm! Skażenie! W doku numer dwanaście doszło do uwolnienia znacznych ilości związków chloru. Drużyny dekontaminacyjne numer dwa, trzy, cztery i pięć mają stawić się natychmiast w doku numer dwanaście...

— Do wszystkich Hudlarian w doku — rozległo się w słuchawkach. — Natychmiast ewakuować się i poszukać schronienia...

— Tu oficer wachtowy z Trivennletha — powiedział ktoś. — Nie zdążę wziąć ich wszystkich do środka. Dopiero jedna czwarta jest bezpieczna. Proponuję odejście z otwartymi włazami, ciągiem bocznym zamiast głównego, by ograniczyć zniszczenia Szpitala...

— Zrób to, Trivennleth! Wszyscy w doku, uszczelnić skafandry i złapać się czegoś. Zaraz nastąpi dekompresja.

Przez wycie syreny przedarł się potworny zgrzyt i jęk torturowanego metalu. Frachtowiec odsuwał się od doku. Zaraz potem zasyczało uciekające powietrze i trująca chmura została momentalnie wyssana w próżnię. Gurronsevas poczuł, jak coś ciągnie go w stronę poszerzającej się szczeliny.

Przez chwilę miał wrażenie, że wszystko, co tylko jest w ładowni, leci wprost na niego. Potem, cały spryskany substancją odżywczą, znalazł się w próżni pośród rozlatującej się powoli mgławicy różnych obiektów.

Gdyby miał na sobie ciężki skafander, pewnie by nie przeżył. Lekki i elastyczny strój nie został uszkodzony, czego jednak nie można było powiedzieć o jego właścicielu. Lewą stronę ciała i tylne kończyny Gurronsevas miał całe w sińcach i obawiał się, że prawdziwy ból dopiero nadejdzie.

Aby zająć czymś myśli, poszukał na wizjerze miejsca, które nie zostało oblepione odżywką, i zaczął wypatrywać pomocy.

Wystająca część doku została tylko lekko zdeformowana podczas nagłego odejścia frachtowca, lecz nadal uciekało z niej powietrze, a wylatujące ze środka pojemniki eksplodowały w próżni. Trivennleth obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni i znieruchomiał przy kadłubie Szpitala. Z jego ładowni nic już nie wylatywało, ale też była o wiele mniejsza od doku.

Gurronsevas pomyślał z uznaniem o szybkiej reakcji oficera wachtowego i zastanowił się, dlaczego kapitan nie przejął dowodzenia statkiem. Przyszło mu na myśl, że może to właśnie on pozostał na pokładzie rekreacyjnym z internistą ze Szpitala.

Nagle dotarło do niego, że w słuchawkach rozmawiają właśnie o nim.

— ...I gdzie jest ten głupi Tralthańczyk? — rzucił ktoś ze złością. — Załoga Trivennletha jest już bezpieczna w próżni, nie ma ofiar. To samo z naszymi tlenodysznymi pracownikami. Starszy dietetyku Gurronsevas, proszę się zgłosić. Jeśli pan żyje, niech pan odpowie, do jasnej...!

Chwilę później Gurronsevas odkrył, że jego skafander jednak ucierpiał. Nie działał nadajnik.

Nie dość, że kończyło mu się powietrze, to jeszcze nie miał szansy wezwać pomocy.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Gurronsevas nie mógł uwierzyć w to, co go spotkało. Żeby czołowy przedstawiciel sztuki kulinarnej całej Federacji miał zakończyć życie w kombinezonie upapranym od stóp do głów hudlariańską mieszanką odżywczą... Bardzo go to złościło. Był pewien, że ilekroć ktoś wspomni o nim, zawsze prędzej czy później wyjdzie, iż zginął w sposób niegodny, niesprawiedliwy, wręcz hańbiący. Mógł się tylko domyślać, jaką inskrypcję wyryją na jego cześć co mniej poważni koledzy na Obelisku Pamięci. Wzburzenie wyparło nawet strach.

Po chwili pomyślał, że przecież musi być inny niż radio sposób zwrócenia na siebie uwagi. Jednak głosy w słuchawkach twierdziły co innego. Odbiornik, przez kolejną złośliwość losu, działał jak należy.

— Odezwij się, Gurronsevas — rzekł ktoś. — Jeśli mnie słyszysz, a nie możesz odpowiedzieć, zapal flarę... Nadal nic, sir.

— Zapomina pan, że to szpitalny kombinezon — powiedział ktoś inny. — Tylko do użytku wewnętrznego. Nie ma flar na wyposażeniu. Gurronsevas nie wziął żadnej, bo nie miał opuszczać Szpitala. Posiada tylko mały silnik rakietowy na plecach. Ale przecież wie pan, jak wygląda Tralthańczyk! Proszę zacząć szukać postaci w skafandrze z plecakiem, dryfującej niezależnie od chmury śmieci. Może też próbować wrócić do doku. O ile jest przytomny i cały, oczywiście.

— I o ile żyje.

— Zgadza się.

Gurronsevas starał się nie zwracać uwagi na pesymistyczny ton. Szukał sposobu, by sobie pomóc. Obok ciągnęła się bezkresna metalowa ściana zewnętrznego poszycia Szpitala, niedaleko wisiał podobny do torpedy frachtowiec Hudlarian, tu i ówdzie zaś krążyły odpływające coraz dalej śmieci. Niektóre pojemniki ciągle wyrzucały smugi gazu albo odżywki. Dietetyk uznał, że rzeczywiście trzeba się wydostać spomiędzy nich. Najpierw jednak musiał wykorzystać napęd, by powstrzymać ruch obrotowy.

Nie mając prawie żadnego doświadczenia w używaniu silniczków korekcyjnych, zmarnował kilka minut i sporo paliwa, zanim Szpital przestał wirować mu w oczach. Materiału napędowego zostało zapewne tylko na jeden impuls. Raczej nie miał szans na kontrolowany lot poza chmurę szczątków, o powrocie do ładowni nie wspominając.

Głosy w słuchawkach były podobnego zdania.

— Sprawdziliśmy rejestr kombinezonów — powiedział ktoś. — Mamy informację o pobraniu jednego tralthańskiego ubioru z trzygodzinnym zapasem powietrza i standardowym zestawem odrzutowym na plecy. Został wypożyczony niecałe dwie godziny i trzy kwadranse temu. Jeśli Gurronsevas używał silniczków podczas odwiedzin na frachtowcu i nie rozszczelniał w tym czasie skafandra, może nie wystarczyć mu na długo mieszanki i powietrza. Zespół poszukiwawczo — ratunkowy już się ubiera, tylko gdzie kazać im szukać?

— Przypuszczam, że reszta paliwa mogła pójść na próby, które wprawiły go w gwałtowny ruch wirowy — powiedział ktoś po drugiej stronie. — Musimy szukać obracającego się szybko obiektu o masie równej ciału Tralthańczyka...

— Nie wiem, sir. Niektóre z tych szczątków są równie wielkie i też szybko się obracają. Jeśli Gurronsevas nie miał dość szczęścia, by przemknąć się między nimi, może już nie przypominać Tralthańczyka...

— Przenieść generator wiązki na zewnętrzny kadłub — rozkazał pospiesznie pierwszy głos. — Utrzymywać łączność z zespołem ratunkowym, który ma się rozproszyć i przeszukać dokładnie chmurę szczątków. Jeśli spostrzegą cokolwiek, będziecie to zaraz ściągać.

— To nie są przenośne generatory, sir. Potrzebujemy czasu, aby zamocować je i zakotwiczyć...

— Wiem, wiem. Działajcie tak szybko, jak to tylko możliwe.

Patrząc przez czyste fragmenty wizjera, Gurronsevas odnotował, że udało mu się całkowicie ustabilizować, bo widoczny w oddali jasny kwadracik doku nie przesuwał się w żadną stronę. Widział też drobne figurki ludzi przepychających przez śluzę jakiś sprzęt, zapewne generator wiązki. Kilka chwil później pierwsi ratownicy wystrzelili w próżnię.

Żaden z nich jednak nie kierował się bezpośrednio w jego stronę. Tymczasem Gurronsevas znowu znalazł się w opałach.

Chmura śmieci i szczątków ciągle się rozpraszała, opary zaś stawały się coraz rzadsze — poza jednym miejscem, gdzie wirował jeszcze hudlariański kontener. Wcześniej widocznie zderzył się z czymś, co utrąciło mu zawór. Pożywka wydostawała się nieprzerwanie cienkim, lecz mocnym strumieniem, który rozchodził się wkoło, tworząc coraz szerszą spiralę. Gurronsevas poruszał się zbyt szybko i był zbyt blisko, aby uniknąć wejścia w miniaturową mgławicę. Zdołał tylko przesłonić rękawicami wizjer, by pożywka nie oblepiła go do końca.

Przez moment miał wrażenie, że trafił na wielki pyłowy pierścień jakiejś planety i za chwilę jego życie w spektakularny sposób dobiegnie końca. Przeleciał jednak bez problemu przez opary, nie tracąc przy tym widoczności.

Zaraz za spiralą ujrzał odległą o jakieś pięćdziesiąt jardów wielką, nienaruszoną paletę z hudlariańskimi zbiornikami. Dryfowała dostojnie, nie obracając się, i nie stanowiła żadnego zagrożenia.

Zespół ratunkowy przeczesywał przestrzeń, ale nikt nie meldował, że spostrzegł poszukiwanego. Gurronsevas rozejrzał się. W oddali, za oparem, majaczyła postać jednego z Ziemian. Tralthańczyk zastanawiał się właśnie, czy może machanie kończynami by coś dało, gdy spojrzał ponownie na obracający się otwarty pojemnik.

Może jednak będę miał jeszcze czas na kolejne eksperymenty, pomyślał z nadzieją.

Nieuszkodzona paleta była coraz bliżej. Małym impulsem silniczków podleciał do niej. Mimo skromnych zapasów powietrza i rozgorączkowania wylądował delikatnie, aby nie wprawić obiektu w ruch obrotowy i nie uszkodzić ciasno upakowanych, jajowatych pojemników.

Ponieważ ich załadunek przebiegał na orbicie, a podczas skoku nadprzestrzennego do Szpitala w ładowni też utrzymywano zerową grawitację obie warstwy pojemników spinała tylko mocno napięta sieć. Ostrożnie uczepił się jej blisko środka palety.

Spoglądając między kontenerami na widoczny z drugiej strony Szpital, poczekał, aż w polu widzenia ukaże się wylot doku. Wtedy włączył silniczki, aby ustabilizować obiekt, i dał sobie chwilę na zastanowienie.

Na palecie było około stu pojemników w każdej warstwie, wszystkie zaś miały zawory skierowane do tyłu. Dwadzieścia znajdujących się dokładnie pod nim nie nadawało się do wykorzystania, pozostałe jednak jak najbardziej. Ostrożnie wyciągnął kończyny i otworzył maksymalnie zawory czterech zbiorników leżących w równej odległości od niego. Wyrzuciły nie tyle mgiełkę, ile zwarty strumień odżywki.

Od razu poczuł lekkie przyspieszenie, lecz masa palety i jego ciała była zbyt duża, aby opróżnienie czterech pojemników zmniejszyło wyraźnie prędkość ucieczki. Zaczął otwierać wszystkie zawory, do których mógł sięgnąć, i niebawem już zostawiał za sobą szereg smug uwalniającej się odżywki. Musiał pilnować, aby ciąg był możliwie równy, co kilka sekund zerkał więc między pojemniki i upewniał się, że nadal ma przed sobą rosnącą z wolna jasną plamę doku. Ilekroć paleta zbaczała z kursu, korygował go silniczkami manewrowymi.

Wskaźniki w hełmie pokazywały, że paliwo wyczerpało się już chwilę temu, ale nie było to zgodne z prawdą. Uznał, że projektanci skafandra specjalnie zafałszowali odczyt. Niewykluczone, że zapas powietrza też obejmował podobną rezerwę na czarną godzinę.

Miał wprawdzie trudności z oddychaniem i czuł narastający ból w piersi, ale powtarzał sobie, że to tylko objawy psychosomatyczne. Nie bardzo jednak w to wierzył.

Oddalał się wyraźnie od chmury śmieci, wylot doku rósł w oczach. Tymczasem członkowie ekipy ratunkowej nadal meldowali o bezskuteczności poszukiwań, chociaż ktoś powinien go już zauważyć... Nagle spostrzegli go wszyscy.

— Tu czwórka. Zdaje się, że jedna z palet się nie rozpadła i teraz dopiero puściły jej zawory. Porusza się w kierunku przeciwnym niż wszystkie śmieci. Może stanowić zagrożenie...

— Mówi piątka. Mniejsza o zagrożenie. Nasz zaginiony Tralthanczyk jedzie na niej wierzchem. Sprytna sztuczka. Tylko leci trochę za szybko.

— Czy ktoś może go przechwycić?

— Mówi jedynka. Nie zdążymy, zanim doleci do celu. Jesteśmy daleko i poruszamy się w niewłaściwym kierunku. Operator wiązki, pomożesz mu miękko wylądować?

— Nie mogę, jedynka. Będziemy mieli moc dopiero za dziesięć minut.

— No to zmykaj, żeby na tobie nie usiadł.

— Raczej nie wyląduje na mnie, jedynka. Wyliczyliśmy jego trajektorię i mamy wrażenie, że trafi akurat do śluzy. Wie, jak...

— Tu jedynka. Wszyscy operatorzy w doku włączyć wiązki na łagodne odpychanie. Przechwycicie go, gdy wleci. Zespoły dekontaminacyjny i medyczny w pogotowiu.

Serce łomotało Gurronsevasowi w piersi i prawie nie słyszał już rozmowy, jednak mimo kłopotów z wizjerem rozpoznał zbliżającą się szybko śluzę doku. Większość zbiorników była pusta, ale nie wyczerpywały się równocześnie i paleta zaczęła zbaczać ku krawędzi otworu.

Przez chwilę miał jeszcze nadzieję, że przeleci bezpiecznie, lecz narożnik zahaczył o metalową framugę i wehikuł rozpadł się na elementy składowe. Gurronsevas cudem uniknął zranienia, nagle jednak znalazł się pośród dwustu koziołkujących pełnych i pustych zbiorników, które za chwilę miały się rozbić o tylną ścianę doku. Nagle coś nim szarpnęło. Promień ściągający objął całe jego ciało i zatrzymał, podczas gdy pojemniki runęły na stalową grodź i roztrzaskały się na drobne kawałki. Te, w których coś jeszcze zostało, trysnęły resztkami odżywki.

Jakiś odłamek uderzył Gurronsevasa w pierś, niezbyt mocno, ale boleśnie, i nagle zapaliła się lampka nadajnika. Widać trzeba mu było tylko solidnego wstrząsu.

— Nie zostawiajcie go tam — rozkazał ktoś nie znoszącym sprzeciwu tonem. — Dajcie go do śluzy osobowej. Gdzie lekarz?

— Tu Gurronsevas — odezwał się z wysiłkiem dietetyk. — Potrzebuję powietrza, nie lekarza. Szybko.

— Mówisz! To dobrze. Wytrzymaj. Za chwilę podczepimy nowy zbiornik.

Gurronsevasowi zdawało się, że minęła cała wieczność, nim oczyszczono jego kombinezon z resztek odżywki i związków chloru, jednak znowu mógł swobodnie oddychać. No i myśleć. Lekarz dyżurny, bardzo oficjalnie podchodzący do swych obowiązków Nidiańczyk, nie mógł uwierzyć, że dietetyk wyszedł z całej przygody tylko z lekkimi obrażeniami, i mimo wszystko chciał zabrać go na oddział. Gurronsevas stanowczo się sprzeciwił. Zgodził się tylko na dokładne badanie ręcznym skanerem.

Tymczasem słuchał napływających kolejno meldunków o tym wszystkim, czego nie mógł widzieć. Uruchomiono małe ciągniki, które miały odzyskać rozrzucony ładunek i zebrać wszystkie śmieci. Potem dopiero zamierzano sprawdzić, co z tego będzie trzeba zniszczyć, a co jeszcze się przyda. Trivennleth przycumował ponownie i dok został prowizorycznie uszczelniony szybko tężejącą pianką. Zaczęto przygotowania do rozładunku reszty towarów.

Gurronsevas był rozczarowany, że nikt nie wspomniał o jego brawurowym powrocie. Ale może wszyscy byli zbyt zajęci.

Gdy doktor z Nidii w końcu go puścił, dietetyk spytał o drogę do centrali doku dwunastego. Chciał powiedzieć kilka słów pracującym tam istotom. Zmiana składała się głównie z Ziemian. Wszyscy spojrzeli na niego, gdy wszedł do środka, ale nikt się nie odezwał ani nie uśmiechnął. Okazując skruchę, dietetyk zbliżył się cicho do postaci siedzącej na centralnym miejscu.

— Chcę wyrazić panu i pańskim podwładnym najszczerszą wdzięczność za pomoc w akcji ratunkowej — powiedział. — I na ile mogę, przeprosić za ten wypadek w ładowni.

— Na ile pan może...! — sapnął dyżurny oficer, ale pokręcił głową i zaczął od nowa. — Sam pan się uratował. Pomysł, aby wykorzystać zbiorniki jako rakiety, był, hmm, całkiem oryginalny.

Gdy stało się jasne, że Ziemianin nie zamierza powiedzieć nic więcej, Gurronsevas znowu zabrał głos.

— Wkrótce po przybyciu do Szpitala usłyszałem od kogoś, że jedzenie to tylko paliwo dla ciała. Uważałem tę istotę za kulinarnego barbarzyńcę, ale owszem, jedzenie jest paliwem. Aż do teraz nie wiedziałem, do jakiego stopnia.

Oficer uśmiechnął się, ale tylko przelotnie. Twarze pozostałych ani drgnęły. Gurronsevas nie musiał być empatą z Cinrusa, aby pojąć, co myślą o nim w tej chwili ci ludzie. Ale nawet jeśli nie zareagowali na przeprosiny, nie odmówią chyba uprzejmej prośbie.

— Myślałem ostatnio o pewnych zasadniczych zmianach w sposobie żywienia Hudlarian. Aby je wprowadzić, musiałbym uzyskać zgodę naczelnego administratora Szpitala. Chciałbym się z nim skontaktować. Czy mogę skorzystać z waszego komunikatora? Chodzi o rozmowę z pułkownikiem Skemptonem.

Dyżurny oficer obrócił fotel, by spojrzeć przez zajmujące całą ścianę okno zachlapane częściowo szarawą pastą. Ekipy pracowały już nad oczyszczeniem doku i naprawą uszkodzeń. Długo trwało, nim człowiek spojrzał ponownie na dietetyka.

— Jestem pewien, że pułkownik Skempton będzie chciał z panem porozmawiać.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Szybko okazało się jednak, że dyżurny był w błędzie. Gurronsevas trzy razy próbował skontaktować się z pułkownikiem, ale bez skutku. Kiedy spróbował po raz czwarty, od asystenta Skemptona dowiedział się, że cały problem, wraz z propozycją rozwiązania, został przekazany naczelnemu psychologowi i to z nim dietetyk powinien niezwłocznie porozmawiać.

Atmosfera w sekretariacie O’Mary przypominała nastrój z domu pogrzebowego w dniu pożegnania drogiego przyjaciela. Ani Braithwaite, ani Lioren, ani Cha Thrat nie mieli nawet szansy zamienić słowa z przybyszem, gdyż major od razu poprosił go do siebie.

— Naczelny dietetyku Gurronsevas — zaczął bez wstępów — wydaje się, że nie rozumie pan powagi swej sytuacji. A może zamierza mi pan powiedzieć, że jest niewinny i że wszystko sprzysięgło się przeciwko panu?

— Oczywiście, że nie — odparł Tralthańczyk. — Przyznaję, że ponoszę pewną odpowiedzialność za zdarzenie, ale tylko o tyle, o ile znalazłem się w niewłaściwej chwili w niewłaściwym miejscu. W tamtych okolicznościach wypadek po prostu musiał się zdarzyć. Nie mogę wziąć na siebie pełnej odpowiedzialności za to, co się stało. Chyba zgodzi się pan, że do tego musiałbym być w stanie kontrolować całość sytuacji, a nie tylko drobny jej wycinek. Tak więc do tego właśnie wycinka ogranicza się moja odpowiedzialność.

O’Mara patrzył na niego dłuższą chwilę w milczeniu. Jego brwi jeszcze się obniżyły, usta zacisnęły w wąską linię. Oddychał głośno przez nos.

— Skoro mowa o odpowiedzialności — powiedział w końcu — oczekuję wyjaśnień. Krótko po wypadku skontaktował się ze mną pewien hudlariański lekarz i oświadczył, że jest współodpowiedzialny za zdarzenie. Co ma pan na ten temat do powiedzenia?

Gurronsevas się zawahał. Gdyby internista został uznany za współwinnego, straciłby zapewne pracę w Szpitalu. Sankcje mogłyby też dotknąć jego bliskiego z załogi statku. W trakcie spotkania lekarz był bardzo życzliwy i pomocny. Bez wątpienia też był dobrze przygotowany do swojej pracy, inaczej bowiem w ogóle by się tutaj nie znalazł.

— Hudlarianin jest w błędzie — odparł pewnym głosem. — Miał coś do załatwienia na pokładzie i towarzyszył mi w drodze na frachtowiec, gdzie był moim przewodnikiem i doradcą, gdy starałem się rozwiązać pewne problemy żywieniowe. Chciał mnie potem odprowadzić, ale zdecydowałem, że wrócę o własnych siłach. Ponieważ jestem naczelnym dietetykiem, on zaś tylko młodszym internistą, musiał posłuchać. Hudlarianin jest zatem bez winy.

— Rozumiem — powiedział O’Mara i chrząknął. — Mam nadzieję, że i pan rozumie, że ta demonstracja wielkoduszności nie zrobiła na mnie większego wrażenia. Ale niech będzie. Deklaracja Hudlarianina nie trafi do żadnych akt, lecz tylko dlatego, że w tym przypadku nawet podzielenie winy na dwóch nic by nie dało. Czy ma pan jeszcze coś do powiedzenia w swojej obronie?

— Nie. Niczym więcej nie zawiniłem.

— Naprawdę pan tak uważa? — spytał O’Mara.

Gurronsevas zignorował pytanie, na które przecież chwilę wcześniej odpowiedział, i zmienił temat.

— W tym momencie interesuje mnie co innego. Potrzebuję czegoś, co obecnie nie jest dostępne w Szpitalu, a będzie niezbędne w dalszej pracy. Nie jestem jednak pewien, czy do sprowadzenia tych surowców wystarczy zwykłe zamówienie, czy też konieczna jest specjalna zgoda władz Szpitala. Chodzi o produkty z wielu światów, co może znacząco podnieść koszty. Próbowałem już kilka razy skontaktować się w tej sprawie z pułkownikiem Skemptonem, ale on odmawia rozmowy ze mną i nawet...

O’Mara uniósł rękę.

— Postąpił tak między innymi dlatego, że odradziłem mu spotkanie z panem, przynajmniej do czasu, gdy emocje nieco opadną. Jednak to nie wszystko. Spowodował pan zniszczenia w doku numer dwanaście. Nie rozmyślnie, rzecz jasna, ale usunięcie skutków silnego skażenia, dehermetyzacji i uszkodzeń strukturalnych pochłonie wiele czasu i środków grupy utrzymania. Nie wspominam już o uszkodzeniach ładowni Trivennletha...

— To jakieś nieporozumienie! — wybuchnął Gurronsevas. — Jeśli na skutek pokrętnej interpretacji prawa i przepisów Korpusu Kontroli mam ponosić odpowiedzialność za to wszystko, zapłacę. Nie jestem biedny, ale gdyby zabrakło mi środków, resztę będzie można ściągnąć z mojej pensji.

— Gdyby żył pan tyle ile Groalterri, pewnie byłoby to możliwe. Jednak nie jest, zatem nikt nie będzie oczekiwał od pana zapłaty za zniszczenia. Uznano, że operatorzy wiązek popadli w rutynę, i zaostrzono procedury bezpieczeństwa ich pracy. Kwestie finansowe Korpus załatwi z ubezpieczycielem frachtowca, pan zatem nie musi się o nie martwić. Jest jednak inna cena, którą płaci pan już w tej chwili, i nie wiem, czy pan to zniesie. Traci pan kredyt zaufania. W tym samym czasie — kontynuował, nie dając Tralthańczykowi dojść do głosu — gdy przebywał pan na pokładzie Trivennletha, a następnie brał udział w całym zamieszaniu, na oddziale AUGL doszło do kolejnej, szczęśliwie znacznie mniejszej katastrofy. Rekonwalescenci tak się zapomnieli w pogoni za samobieżnym posiłkiem, że według słów siostry Hredlichli, całkiem zdemolowali oddział. Dokładnie rzecz biorąc, zdeformowanych zostało jedenaście sekcji wewnętrznego poszycia, cztery ramy pacjentów zaś uległy uszkodzeniom tak wielkim, że nie nadają się do naprawy. Na szczęście żaden z przebywających w nich chorych nie ucierpiał — rzekł. — Wiem, że Hredlichli była panu zobowiązana za poprawienie illensańskiego menu, obawiam się jednak, że obecnie nie uważa już pana za przyjaciela. Podobnie wygląda sprawa z porucznikiem Timminsem, który jest odpowiedzialny za naprawy na oddziale Chalderczyków oraz w doku numer dwanaście. Najbardziej jednak powinien się pan obawiać spotkania z pułkownikiem Skemptonem. Domaga się on zwolnienia pana z pracy i odesłania na rodzinną planetę. Natychmiast.

Gurronsevas zaniemówił na chwilę. Był wściekły, że los pozwolił na tak okrutną niesprawiedliwość, mogącą odebrać mu szansę zrealizowania największego zawodowego marzenia. Przede wszystkim jednak było mu wstyd. Wykrztusił więc jedyne słowa, które wypadało powiedzieć w tej sytuacji.

— Niezwłocznie złożę rezygnację.

Odwrócił się i, stąpając ciężko, ruszył do drzwi.

— Mam wrażenie, że słowa w rodzaju „natychmiast” czy „niezwłocznie” są naprawdę nadużywane — stwierdził nagle O’Mara, powodując, że Gurronsevas zatrzymał się w pół kroku. — Statek lecący na Tralthę, Nidię czy dokądkolwiek by się pan wybrał, może nie pojawić się u nas jeszcze przez wiele tygodni. A gdyby chciał pan polecieć na jakąś daleką kolonię tralthańską, gdzie Korpus pojawia się od wielkiego dzwonu, to pewnie jeszcze dłużej. Tak czy owak, ma pan dość czasu, aby dokończyć wszystko, co pan już zaczął. Szpital tylko na tym zyska, zakładając oczywiście, że nie spowoduje pan następnej katastrofy. Pan też skorzysta, bo im dłużej pan u nas zabawi, tym mniej podstaw będą mieli pańscy koledzy z innych hoteli, by podejrzewać, że nie opuścił pan Szpitala dobrowolnie. Tym samym pańska reputacja nie poniesie większego uszczerbku. Sugerowałbym jednak, żeby starał się pan przesadnie nie wychylać. Na ile pan potrafi, rzecz jasna. Przede wszystkim proszę nie zwracać na siebie uwagi pułkownika Skemptona i nie narażać się nikomu z władz. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, może się okazać, że nikt pana stąd natychmiast nie wygania.

— Ale ostatecznie będę musiał odejść — zauważył Gurronsevas.

— Pułkownik nalegał, aby opuścił pan Szpital jak najszybciej, a ja obiecałem mu, że tak się stanie. Gdybym tego nie powiedział, znalazłby się pan w areszcie domowym.

Naczelny psycholog usiadł prosto, co było wyraźnym sygnałem, że uważa rozmowę za zakończoną. Gurronsevas pozostał jednak na miejscu.

— Rozumiem — rzekł. — Okazał pan zrozumienie dla moich uczuć w tej sytuacji. Pańska reakcja zaskoczyła mnie i onieśmieliła, nie podejrzewałem bowiem, że osoba o takiej reputacji skłonna będzie okazać współczucie...

Urwał zakłopotany, mając świadomość, że zbyt jednoznaczne podziękowanie musiałoby graniczyć w tej rozmowie z obelgą. O’Mara znowu pochylił się nad blatem.

— Może zmniejszę nieco pańskie zakłopotanie. Oczywiście jestem świadom, że mieszał pan ostatnio w moim menu. Wiedziałem o tym od początku. Nie, moi pracownicy nie zdradzili pana. Zapomniał pan, że jestem psychologiem i że potrafię odczytywać powtarzalne niewerbalne sygnały, których nie da się ukryć. Poza tym sam pan się zdradził. Na tyle poprawił pan smak moich dań, które wcześniej niczego nie przypominały, że podczas jedzenia miałem więcej czasu na rozważanie istotnych spraw. Ale tylko tyle. Zastanawianie się, jak osiągnął pan konkretny efekt, byłoby marnowaniem cennych chwil. Nie wszystkie zresztą zmiany były zmianami na lepsze. Wysłałem już panu całą listę ocen poszczególnych dań wraz z sugestiami, co można by w nich jeszcze zmodyfikować.

— To bardzo, bardzo uprzejme z pańskiej strony...

— Nie jestem uprzejmy — uciął O’Mara. — Ani skłonny do współczucia. W ogóle nie mam żadnej z tych cech, które stara mi się pan przypisać. Nie mam powodu okazywać wdzięczności za coś, co jest zwyczajnie pańską pracą. Chce pan powiedzieć mi jeszcze coś przed wyjściem?

— Nie.

Wyszedł z takim impetem, że aż zadrżały drobiazgi na biurku O’Mary.

— Co się stało? — spytała Cha Thrat, gdy zamknął za sobą drzwi. Z tego, jak na niego patrzyła, wywnioskował, że mówi też w imieniu Liorena i porucznika.

Złość i zakłopotanie utrudniały Gurronsevasowi dobór słów.

— Mam opuścić Szpital. Nie od razu, ale niebawem. Do tego czasu pozwolono mi wypełniać obowiązki, lecz bez zwracania na siebie uwagi, jak to określił O’Mara. Obawiam się, że major wie o naszej współpracy w sprawie menu. Zmiany mu się podobały, ale nie czuje wdzięczności z ich powodu. Czy którekolwiek z was może ucierpieć przez naszą konspirację?

Braithwaite pokręcił głową.

— Gdyby major chciał wyciągnąć wobec nas konsekwencje, już by to zrobił. Ale proszę spróbować spojrzeć na to optymistycznie i zrobić tak, jak szef zasugerował. Ostatecznie major akceptuje większość z tego, co pan robi, i chce, aby robił pan to dalej. Gdyby był niezadowolony, zamiast wkrótce, odleciałby pan pierwszym statkiem, i to bez względu na jego port docelowy. Nie wie pan, co jeszcze się stanie.

— Wiem, że pułkownik Skempton chce się mnie pozbyć — rzekł ze smutkiem dietetyk.

— Może mógłby pan potajemnie dodać mu coś do jedzenia i problem sam by zniknął... — zasugerował Lioren.

— Ojczulku! — krzyknął Braithwaite.

— Nie myślałem o niczym śmiertelnie toksycznym — usprawiedliwił się Lioren. — Raczej o czymś w rodzaju środków stosowanych w terapiach przez majora. Wśród Ziemian jest powiedzenie, że droga do serca wiedzie przez żołądek.

— Chirurgicznie dość ryzykowna procedura — zauważyła Cha Thrat.

— Potem ci to wyjaśnię — powiedział z uśmiechem porucznik. — Lioren, pomysł ma sens, obawiam się jednak, że Skempton nie ulegnie tak łatwo kulinarnemu urokowi Gurronsevasa. Jego profil zawiera informację, że to wegetarianin, co oznacza...

— Teraz już nic nie rozumiem — przerwała mu Sommaradvanka. — Dlaczego ktoś rasy DBDG, czyli istota wszystkożerna, miałby wybierać roślinożerność? Szczególnie gdy wszystko, co jada, i tak jest syntetyczne. Może jego decyzja ma podłoże religijne?

— Może ma podobne przekonania jak Ullanie, którzy twierdzą, że zjedzenie innej istoty, rozumnej czy nie, oznacza przejęcie jej duszy — mruknął Lioren. — Jednak pułkownik nigdy nie konsultował się ze mną w sprawach religijnych, więc trudno mi coś orzec.

— Gotowanie dla roślinożernych nigdy nie było dla mnie problemem — powiedział Gurronsevas.

Braithwaite pokiwał głową, Cha Thrat się nie odezwała. Oboje patrzyli na Ojczulka, który z kolei wpatrywał się w dietetyka.

— Niech mi wolno będzie przypomnieć, że w Szpitalu jest wiele tysięcy istot, które z rozmaitych powodów skłonne są niejedno zapomnieć i wybaczyć, szczególnie jeśli chodzi o zdarzające się od czasu do czasu konflikty. Gdyby postępowały inaczej, rychło by oszalały. Zresztą, istota z natury skłonna do nadmiernej pamiętliwości zostałaby wyeliminowana już na etapie odsiewu kandydatów. Możliwe, że zdarzy się jeszcze coś, co nie będzie tak destruktywne jak ostatnie przygody i co zmieni opinię pułkownika na pański temat. Powiedział pan, że ma wkrótce opuścić Szpital, niemniej to wkrótce może oznaczać bardzo długi czas. A decyzja o odesłaniu pana może mieć żywot krótszy, niż pan sądzi. Bóg czy los potrafi naprawdę dziwnie kierować wydarzeniami. Czasem aż trudno uwierzyć, jak dziwnie. — Lioren przerwał na chwilę i dodał jeszcze: — Doradzałbym postąpić zgodnie z sugestią O’Mary i skupić się na pracy, w której jest pan tak dobry. I nie tracić nadziei.

Gurronsevas pomyślał, że to nazbyt optymistyczna wizja, ale wyszedł cicho i sam nie wiedział, dlaczego jakoś lżej zrobiło mu się na duszy.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Optymistyczny nastrój utrzymał się tylko kilka godzin i następne trzy dni „nierzucania się w oczy” były dla Gurronsevasa dość przykre. Czuł się przybity, samotny, niepewny. Rzadko odwiedzał ekipy syntetyzujące żywność czy patologię i krótko tam przebywał, bo wszyscy dziwnie mu się przyglądali, on zaś nie potrafił orzec, czy chodziło o współczucie czy o niezdrową ciekawość. Poza tymi wizytami przesiadywał w swojej kabinie, nie odbierał telefonów i jadł tylko to, co zdołał uzyskać z podajnika. Taka dieta też nie poprawiała mu, rzecz jasna, nastroju.

Czwartego dnia ktoś zastukał uprzejmie, ale energicznie do jego drzwi. Był to Ojczulek Lioren.

— Nie widzieliśmy cię ostatnio w stołówce — powiedział, nie czekając na gospodarza. — Chyba przesadziłeś nieco z tym nierzucaniem się w oczy, Gurronsevas. Całkowitą nieobecność czasem łatwiej jest zauważyć niż nadmierną. Zresztą wszyscy, włącznie ze mną, mają kłopoty z odróżnieniem jednego Tralthanczyka od drugiego, jeśli nie noszą oni plakietek. Wybieram się właśnie na obiad. Dołączysz do mnie?

— Moja kabina nie leży po drodze z psychologii do stołówki — zauważył z irytacją dietetyk. Nie lubił takich dwuznacznych sytuacji.

— Zgadza się. Ale może dostałem inne wezwanie, akurat na ten poziom? A może nie i tylko okłamuję cię w celach terapeutycznych? Nigdy się nie dowiesz.

— Dobrze, pójdę — odparł Gurronsevas, chociaż sam nie wiedział, co właściwie kazało mu się zgodzić.

Jeśli nawet przyglądało mu się więcej istot niż zwykle, to nic o tym wiedział, wpatrywał się bowiem tylko w Liorena, porucznika, Cha Thrat i swój talerz, przy pobliskich stołach zaś nie rozmawiano o nim. Siadając do obiadu, wyraził głośno zdziwienie, że wszyscy podwładni majora uzyskali zgodę na równoczesne opuszczenie sekretariatu. Usłyszał, iż w Szpitalu istnieje niepisane prawo, że gdy psychologia je, nikt nie wariuje. Podejrzewał, że to kolejne kłamstwo terapeutyczne, wymyślone tylko po to, aby poprawić mu humor.

— Słyszeliśmy, że nie pracowałeś wiele w ostatnich dniach — powiedział nagle Braithwaite. — Nie ma też żadnych nowych zmian w menu. Sam zmieniłeś tempo czy coś utrudnia ci działanie? O’Mara chciałby wiedzieć.

Nagle znalazł się przy jednym stole z trojgiem psychologów. Wiedział, że nie ma sensu kłamać.

— Jedno i drugie — odparł. — Chwilowo mam dość widoku innych istot, a co do pracy, utrudniają brak koniecznych składników. Zamierzałem poprosić Skemptona o pomoc w ich sprowadzeniu, bo chodzi o rzeczy spoza zwykłej listy zamówień, ale skoro powinienem go unikać...

— Rozumiem — mruknął porucznik i zastanowił się chwilę. — Nasze wariatkowo zamawia tyle różności, że chyba żadne zapotrzebowanie złożone przez szefa działu nie powinno budzić zdziwienia. A ty jesteś w dobrych stosunkach z Thornnastorem.

— Zawsze odnosił się do mnie uprzejmie — przyznał dietetyk. — Ale nie wiem, jak mógłby mi pomóc.

— Jasne, że nie wiesz, ale zaraz się dowiesz — rzekł Lioren. — Gdybyś zdołał wyjaśnić istotę swoich kłopotów Thomnastorowi, może dałoby się wpłynąć na pułkownika. Pierwszym zastępcą Skemptona jest szef zaopatrzenia, Creon — Emesh. On i Thorny to od lat przyjaciele. Chyba żaden z nich nie potrafiłby odmówić prośbie drugiego.

— Rozumiem. Gdy dwie istoty angażują się w długotrwały emocjonalny i seksualny związek, czują i myślą jak jedna...

Przerwał, bo porucznik i Cha Thrat mieli trudności z oddychaniem. Nim zdążył wyrazić zaniepokojenie, Lioren powiedział:

— Grają razem w bominyata. Od ponad dziesięciu lat regularnie dochodzą do poziomu rozgrywek międzyplanetarnych. Poza tym Creon — Emesh jest Nidiańczykiem, co wyklucza fizyczny kontakt.

— Bardzo przepraszam — wyjąkał zmieszany Gurronsevas. — Ale skoro Creon jest tylko zastępcą pułkownika, czy nie powie...

— Nie powie — stwierdził zdecydowanie Braithwaite. — Być może zdradzam właśnie poufne dane z akt Creona — Emesha...

— Nawet na pewno zdradzasz — wtrącił Lioren.

— ...ale szef zaopatrzenia jest inteligentny, kompetentny i ambitny. Nie biegnie do przełożonego z każdym drobiazgiem, a czasem nawet nie zwraca się do niego, gdy chodzi o coś ważnego, jeśli może załatwić to sam. Krótko mówiąc, jest to jeden z tych rzadkich i cennych zastępców, którzy próbują przekonać szefa, że nie jest potrzebny na zajmowanym stanowisku. Szanuje Skemptona, ale bez przesady, więc gdy zda sobie sprawę z jego antypatii wobec ciebie, będzie wiedział, jak postąpić. Potraktuje to nawet jako wyzwanie. Dokładnie w duchu zasad bominyata...

— Nasz porucznik też powinien zacząć w to grać — zaśmiała się Cha Thrat. — Z taką skłonnością do pokrętnych planów miałby spore szanse.

— W ten sposób może się okazać, że otrzymasz to, czego potrzebujesz — dokończył niezrażony Braithwaite. — I to bez wiedzy pułkownika. Chyba że wolałbyś, abym sam porozmawiał z Creonem?

— Nie. Też grałem w swoim czasie w bominyata, chociaż tylko w lidze krajowej, mam zatem coś wspólnego z Creonem — Emeshem. Jestem bardzo wdzięczny zarówno za podpowiedź, jak i za ofertę pomocy, jednak lepiej będzie, jeśli sam się tym zajmę.

— Skoro też grałeś, to nie masz się o co martwić — rzekł porucznik, unosząc rękę. — Ale dość tych zabaw w dyplomację i łowy. Jakim menu nas dzisiaj zadziwisz?

###### \* \* \*

Kwatera Creona — Emesha była przestronna jak na kabinę Nidiańczyka, niewielka wszakże i klaustrofobiczna dla przedstawicieli większości pozostałych gatunków. Sufit umieszczono tak nisko, że nawet z ugiętymi kolanami Gurronsevas szorował głową po panelach. Co rusz zaczepiał także o zwieszającą się ze ścian roślinność oraz drobne umeblowanie. W końcu dojrzał, że z jednej strony jest trochę więcej miejsca, nawet sufit podniesiono, zapewne dla wygody będącego tutaj częstym gościem Thornnastora. Z ulgą skierował się tam.

— Nie przyszedł pan, grać w bominyata, jednak co się odwlecze, to nie uciecze — przywitał go od progu Creon. — Thorny zawsze powtarza, że mój pokój przypomina gniazdo pewnego tralthańskiego gryzonia, zatem jeśli nawet spróbuje go pan chwalić, i tak nie uwierzę. Proszę nie marnować czasu. Z czym dokładnie pan się zjawia?

Gurronsevas musiał najpierw otrząsnąć się z szoku. Wielu krytykowało Nidiańczyków, twierdząc, że nie będąc specjalnie inteligentnymi ani silnymi istotami, stali się dominującą rasą na swojej planecie tylko i wyłącznie dzięki opryskliwości. Dietetyk uznał jednak, że nie zwalnia go to z zachowania dobrych manier.

— Najpierw chciałbym podziękować za zgodę na spotkanie, szczególnie że odbywa się ono w pańskim wolnym czasie.

— Wolny czy nie, na to samo wychodzi — rzucił Nidiańczyk, pokazując ekran z kolumnami cyfr. Na pewno nie był to żaden kanał rozrywkowy. — Przekleństwo tych, którzy naprawdę przejmują się pracą. Ale jeśli wszystko, co o panu słyszałem, jest prawdą, cierpi pan na to samo. Czego pan ode mnie chce?

— Informacji o procedurach składania zamówień, pomocy i dyskrecji. — Bezpośredniość gospodarza wydawała się zaraźliwa.

— Wyjaśnienie proszę.

Tego już nie można było zrobić w paru słowach.

— Gdy przybyłem do Szpitala, nie miałem wielkich bagaży, bo jak wiadomo, Tralthańczycy nie używają ubrań i nie gustują w ozdobach. Przy wiozłem jednak sporo ziół, przypraw i dodatków smakowych stosowanych na Tralcie, Ziemi, Nidii i innych światach, które cenią sobie dobrą kuchnię. Materiały te wykorzystywałem do testów, teraz jednak chciałbym się zająć zmianami powszechnie dostępnego menu. Jeśli zostanę usunięty ze Szpitala, wolałbym zostać zapamiętany nie tylko w związku z wypadkiem w doku dwunastym czy zniszczeniem oddziału Chalderczyków albo...

— Tak, tak, współczuję — przerwał mu Creon. — Ale co to ma wspólnego ze mną?

— Moje zapasy nie są aż tak wielkie, bym mógł posłużyć się nimi przy przyrządzaniu dań dla wszystkich, a przecież to właśnie od początku zamierzałem robić. Gdybym zaczął wykorzystywać je w tym celu, skończyłyby się po tygodniu.

— Musi pan więc złożyć zamówienie — stwierdził Creon — Emesh. — Ma pan budżet.

— Tak, całkiem spory, ale w tym wypadku niewystarczający — przyznał ze smutkiem Gurronsevas. — Dlatego chciałem porozmawiać z pułkownikiem Skemptonem i poprosić go o zwiększenie budżetu mojego działu. Surowce, o których myślę, pochodzą z wielu planet i już same koszty transportu bardzo podnoszą ich cenę.

Creon — Emesh wydał ostry, szczekliwy odgłos.

— Niewiele miał pan chyba z takimi sprawami do czynienia i był nazbyt zajęty, aby omówić problem z kimś z zaopatrzenia. Ale to nic dziwnego, bo pan ma przecież gotować, a nie martwić się, gdzie kupić garnek. Gdyby Skempton nie uznał pana za wrzód na zdrowym ciele, sam by panu wytłumaczył to wszystko, co ja teraz panu przekażę. Proszę słuchać uważnie. Jak pan wie, za zaopatrzenie i utrzymanie Szpitala odpowiedzialny jest Korpus Kontroli. Korzysta w tym celu z bardzo skromnej części budżetu Federacji, która finansuje Szpital. Dostawy obejmują narzędzia chirurgiczne, wyposażenie medyczne, powietrze oraz oczywiście składniki spożywcze lub gotowe odżywki dla wszystkich ras. Korpus przywozi również pacjentów, którym planetarne szpitale nie potrafiły pomóc, ofiary katastrof kosmicznych, a także przedstawicieli nowo odkrytych gatunków trapionych nie znanymi nam jeszcze chorobami. Ponieważ jednostki Korpusu nie zostały zaprojektowane do przewożenia większych ilości towarów, czarteruje się do tego statki w rodzaju Trivennletha. Wystarczy zatem trochę starań, aby zmieściwszy się w budżecie, sprowadzić bardzo różne produkty z dowolnie wielu światów. Należy tylko koszt transportu przerzucić na Korpus, którego budżet wytrzyma chyba wszystko, a nawet jeszcze więcej. Rozumie pan?

Gurronsevasowi zrobiło się tak lekko na duszy, jakby nagle ktoś zmniejszył grawitację w pomieszczeniu. Zanim jednak zdołał znaleźć właściwe słowa, by wyrazić wdzięczność, Creon podjął wątek.

— Rzecz jasna szczegóły nie muszą już pana obchodzić, chociaż może i powinny, biorąc pod uwagę, ile roboty miał przez pana ostatnio nasz dział. Ma pan listę zamówień?

— Oczywiście. Na razie jednak tylko w głowie. Ale co będzie, jeśli robiąc coś dla mnie, narazi się pan szefowi? Czy nie wpłynie to negatywnie na pańską karierę? Na pewno zdoła pan ukryć to przed pułkownikiem?

— Odpowiadając w kolejności — rzucił niecierpliwie Creon — Emesh. — Nie, nie i nie. Nie zdołamy ukryć niczego przed pułkownikiem, bo system na to nie pozwala. Skempton potencjalnie ma dostęp do wszystkich naszych zestawień, ale jak powtarzał już wiele razy, życie jest za krótkie, by tracić czas na drobiazgowe sprawdzanie każdego zamówienia. Jest ich codziennie kilka tysięcy. Zostawia to więc podwładnym, takim jak ja. Osobom, którym zwykł ufać, chociaż jak widać, może nie powinien. Jeśli tylko kody identyfikacyjne są prawidłowe, a skala zamówienia nie budzi podejrzeń, wszystko jest akceptowane bez pytania. Gdyby zaś któryś z punktów wzbudził czyjeś zainteresowanie, poproszę pana o ponowne rozważenie sprawy. I niech pan pamięta, że wolimy zamawiać większe dostawy, niż ściągać coś często i po trochu. Wtedy zresztą wzrosłoby ryzyko wykrycia. Czego potrzebuje pan przede wszystkim?

Gurronsevas znowu chciał podziękować, ale jego rozmówca wydawał się zainteresowany tylko konkretami, i z każdą chwilą coraz śmielej spoglądał w przyszłość. Szybko jednak doszło do pierwszego zgrzytu.

— Nie — szczeknął krótko Nidiańczyk, unosząc drobne ręce. — Nie dostanie pan zbieranych rankiem orligiańskich liści crelgi. Proszę być rozsądnym.

— Jestem — odparł dietetyk. — Te liście dodają smaku znacznie subtelniej niż wiele innych przypraw i są powszechnie stosowane przez kucharzy ras ciepłokrwistych tlenodysznych. Jestem rozczarowany.

— I ma pan też słabą pamięć — dodał Nidiańczyk. — Przyszłyby co najmniej trzy dni po zerwaniu, bo tyle trwa najkrótszy lot nadprzestrzenny z Orligii do Szpitala. Nasze przedstawicielstwo nie miałoby żadnych problemów z ich pozyskaniem, ale wpisanie do grafika przelotu z samą przyprawą, nie z lekarstwami czy ciężko chorym, byłoby praktycznie niemożliwe. A gdyby nawet, taki lot na pewno zwróciłby uwagę pułkownika Skemptona. Nie da się zatem. Jeśli zmieni pan to na suszone albo mrożone liście, zgodzę się bez wahania.

— Jest pewna alternatywa — powiedział dietetyk. — Ziemska przyprawa zwana gałką muszkatołową. Różni się nieco smakiem, ale mało kto jest w stanie tę różnicę wyczuć. No i dobrze znosi transport. Dodawałem ją do corelliańskich struuli, aby ożywić smak tej dość mdłej ryby, na Nidii zaś do sosu używanego przy criggleyutach, tyle że w tym wypadku konieczne były młode...

— Chce pan wprowadzić criggleyuty do menu? — przerwał mu mocno zaciekawiony Creon — Emesh. — Uwielbiam je, odkąd mam dorosłą sierść.

— Przy pierwszej okazji — potwierdził Gurronsevas. — Dla potrzeb kuchni nidiańskiej i wszystkich innych wystarczy około pięćdziesięciu funtów.

Creon — Emesh pokręcił głową.

— Nie słuchał mnie pan, Gurronsevas. Od razu zapisuję kilka razy większe sumy wszystkich zamówień, bo chce pan zbyt mało. Małe ilości przyciągają uwagę. Personel odpowiedzialny za rozładunek może dojść do przekonania, że tak naprawdę to pilnie potrzebne lekarstwa, które ktoś opatrzył złym kodem. Otworzą, aby sprawdzić, i Skempton zaraz się dowie. Gdy chodzi o tak powszechnie stosowaną przyprawę, na początek proponuję zamówić pięć ton.

— Ale tego używa się po odrobinie — zaprotestował dietetyk. — Pięć ton gałki muszkatołowej wystarczy na sto lat!

— Za sto lat Szpital nadal będzie istniał i nadal ktoś będzie się tu stołował. Coś jeszcze? Chciałbym rozegrać z panem partyjkę, zanim pan wyjdzie.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Odwiedziny w dziale patologii przypomniały Gurronsevasowi Nidię i jego codzienne wycieczki do rzeźnika, u którego kupował mięso na potrzeby hotelowej kuchni. Tutaj nie mógł podawać całych ani rozkawałkowanych tusz, bo przy rozmaitości ras obecnych w Szpitalu istniało zbyt wielkie ryzyko, że okażą się one podobne do ciała jakiejś istoty inteligentnej. Pod tym względem zasady były jasne i sztywne. Nie dopuszczano stosowania żadnego mięsa, ani świeżego, ani mrożonego.

Thornnastor, roztargniony naczelny Diagnostyk, rzadko z nim rozmawiał, jednak patolog Murchison i inni zawsze byli mu życzliwi i pomocni, a teraz nawet skłonni do prawienia komplementów.

— Dzień dobry — powiedziała Murchison, spoglądając znad skanera, którym badała jakieś niezidentyfikowane organiczne szczątki. — Znowu nas zaskoczyłeś. Mój mał... chciałam powiedzieć, Diagnostyk Conway prosił, żebym podziękowała za zmiany w syntetycznych stekach. Przyłączam się do jego wyrazów wdzięczności i przypuszczam, że podobnie myśli bardzo wielu Ziemian. Świetna robota!

Szef chirurgii, Diagnostyk Conway, w hierarchii medycznej druga po Thornnastorze osoba w Szpitalu, prywatnie był towarzyszem życia patolog Murchison. W obecnej sytuacji jego przychylność mogła tylko pomóc.

— Modyfikacje nie były wielkie — rzekł skromnie Gurronsevas, po cichu jednak się cieszył. — Dotyczyły głównie wyglądu. Nieco kulinarnej psychologii i gotowe.

— Ale pomysł z alternatywnym menu dla Diagnostyków to prawdziwa nowość — odezwał się Thornnastor i spojrzał jednym okiem na dietetyka. Przemówił do niego po raz pierwszy od trzech dni.

Gurronsevas zgadzał się z tym bez zastrzeżeń. Diagnostycy i starsi lekarze, którym przypadło nosić w głowie szereg zapisów edukacyjnych, byli dla niego czymś w rodzaju kulinarnych kalek. Dzieląc swój umysł z osobowościami obcych, przyjmowali z musu przynajmniej część ich poglądów, emocji i zachowań, a także, co nieuniknione, gustów żywieniowych.

System zapisów edukacyjnych był niezbędny do funkcjonowania Szpitala. Jak dowiedział się Gurronsevas, żaden lekarz, nawet najzdolniejszy, nie mógł nauczyć się wszystkiego o wszystkich rasach, które leczyło się tutaj czy operowało. Wystarczyło wszakże skorzystać z hipnotaśmy, która zmieniała niemożliwe w rutynowe, nawet jeśli niezbyt miłe, działanie. Doktor mający się zająć pacjentem innej rasy przyjmował zapis umysłu jej autorytetu medycznego, robił, co należało, i poddawał się zabiegowi usunięcia niepotrzebnej już treści. Usunięcie było wskazane z tej prostej przyczyny, że zapis obejmował nie tylko wiedzę medyczną, a chociaż nosiciel wiedział, z czym ma do czynienia, obcy pierwiastek nierzadko próbował zdominować gospodarza. Dłużej przechowywać zapisy pozwalano tylko starszym lekarzom i Diagnostykom, którzy dowiedli już swego zrównoważenia. Zajmowali się oni wówczas pracami badawczymi oraz działalnością dydaktyczną, płacili jednak swoistą cenę.

Psychologiczne aspekty bycia Diagnostykiem nie obchodziły Gurronsevasa, nawet jeśli przy okazji rozwiązał jeden z większych dylematów tej grupy. Wprowadzane przez niego z wolna alternatywne menu, które miało objąć wkrótce wszystkie rasy reprezentowane wśród starszyzny Szpitala, dawało szansę, że istoty takie jak Thornnastor, którego zapotrzebowanie na pożywienie było proporcjonalne do masy ciała, nie będą musiały więcej odwracać oczu od talerza. Zbliżał się koniec daremnych prób oszukiwania alter ego Diagnostyków, protestujących żywo przeciwko próbom karmienia ich obcymi potrawami. Nosiciel hipnotaśmy mógł teraz wybrać danie, na które miał ochotę, a wyglądało ono tak, by osobowość dawcy była szczęśliwa. Nie groziła mu już więc przymusowa głodówka. Gurronsevas słyszał, że podobno nawet krytycznie nastawiony do wszystkiego O’Mara wyrażał się z uznaniem o tej innowacji.

Nie zwiększyło to oczywiście skromności kogoś, kto już wcześniej uchodził za najlepszego mistrza rondla i patelni w całej Federacji.

— Zgadzam się, że to prawdziwa nowość — powiedział Thornnastorowi. — Po prostu genialny pomysł. Jeden z wielu, które jeszcze przedstawię.

Diagnostyk mruknął coś niskim tonem. Było to dyskretne tralthańskie ostrzeżenie. Murchison wyraziła rzecz bardziej wprost.

— Uważaj, Gurronsevas. Po wypadku z Trivennlethem nie powinieneś się przesadnie wychylać.

— Wdzięczny jestem za troskę, ale nie przypuszczam, aby cokolwiek złego mogło się przytrafić komuś, kto po prostu wykonuje dobrą robotę.

Murchison zaśmiała się cicho.

— Jeśli nie przyszedłeś do nas tylko pogadać, co mało prawdopodobne, można spytać, co cię dzisiaj trapi?

Dietetyk pozbierał szybko myśli.

— Mam dwie sprawy. Po pierwsze, potrzebuję waszej rady w kwestii proponowanych zmian składu hudlariańskiej substancji odżywczej.

Pokrótce opisał wizytę na pokładzie frachtowca i pomysł, na który wpadł podczas bombardowania niesionymi wichurą owadami. Pokazał zasobnik z okazami. Niektóre z nich ciągle usiłowały przegryźć przezroczyste ściany. Według Hudlarian ich ukąszenia dostarczały przyjemnych wrażeń, działały stymulująco i były całkiem niegroźne. Zawsze towarzyszyły odżywianiu się tych masywnych istot na ich świecie.

— Nawet jeśli dla naszych Hudlarian byłoby to coś wspaniałego, wiem, że wprowadzenie takiego roju owadów do sekcji klasy FROB byłoby niewskazane. Myślałem raczej, aby zamiast tego poprosić was o współpracę i spróbować wyizolować toksyny z jadu owadów, aby w śladowych ilościach dodać je do odżywki. Gdyby nawet miały postać drobnych grudek, wystarczyłoby zapewne zmodyfikować trochę zraszacze, aby dodawały je w nieregularnych odstępach. W ten sposób wrażenia Hudlarian byłyby podobne jak przy ukąszeniach prawdziwych owadów...

— Nie do wiary — przerwał mu Thomnastor. — Zapomina pan, że to Szpital, w którym mamy leczyć, a nie podawać trucizny. Naprawdę chce pan rozmyślnie wprowadzać toksyczne substancje do hudlariańskiego jedzenia i oczekuje, że mu w tym pomożemy?

— To chyba zbyt daleko idące uproszczenie — stwierdził dietetyk. — Ale ogólnie rzecz biorąc, o to chodzi.

Murchison pokręciła głową, ale równocześnie się uśmiechnęła. Żadne z nich nic nie powiedziało.

— Nie jestem lekarzem, ale wszyscy Hudlarianie, z którymi o tym rozmawiałem, zgadzali się, że wprowadzenie do ich pożywienia śladowych ilości toksyn poprawi jego smak — powiedział Gurronsevas. — Byli pewni, że na tym nie ucierpią. Skłonny jestem do sceptycyzmu, kiedy chodzi o opisy różnych przyjemnych doznań, zwłaszcza gdy przypomnę sobie długofalowe skutki żucia orligiańskiego haszyszu, palenia ziemskiego tytoniu czy picia dwerlańskiego sfermentowanego scrantu. Wszystkie te używki uznawano kiedyś za interesujące i niegroźne. Dlatego też proszę was o pomoc w sprawdzeniu, czy taka zmiana hudlariańskiego menu naprawdę będzie bezpieczna. Jeśli tak, to pomyślcie tylko o skutkach. Nie będzie więcej FROB — ów mdlejących z niedożywienia. Obecnie zdarza się to, ponieważ ich jedzenie jest tak pozbawione smaku, że zapominają o nim. Po zmianie zapominać nie będą, wręcz przeciwnie, będą niecierpliwie wyczekiwać kolejnej okazji do spryskania się odżywką. Jeśli nam się uda, ten sam skład mieszanki można będzie wprowadzić na statkach, stacjach i miejscach budowy, wszędzie tam, gdzie Hudlarianie przebywają poza swoją planetą. Byłby to też kolejny kulinarny triumf wielkiego Gurronsevasa, chociaż zapewniam was, że to akurat nie jest dla mnie najważniejsze. Wy zaś zasłużylibyście na sporą wdzięczność za radę i pomoc...

— Rozumiem — znowu przerwał mu Thornnastor. — Ale jeśli zmiany okażą się szkodliwe, będę musiał wspomnieć o sprawie na najbliższym spotkaniu Diagnostyków, gdzie niestety, będzie też pułkownik Skempton. Czy chce pan tak ryzykować?

— Nie — odparł zdecydowanie dietetyk. — Ale trudno mi się pogodzić z perspektywą, że ważna zmiana menu, która być może przyniesie ulgę wszystkim Hudlarianom przebywającym poza własnym światem, miałaby przepaść tylko z powodu mojego tchórzostwa.

Thornnastor spojrzał trzema oczami na stół autopsyjny. Odpowiedział dopiero po chwili.

— Proszę zostawić okazy patolog Murchison. Wspomniał pan coś jeszcze o drugim problemie.

— Tak, ale to raczej problem techniczny niż medyczny. Chodzi o sposób przyrządzania pewnej potrawy, polegający na krótkotrwałym, ale precyzyjnie wyliczonym wystawieniu na bardzo wysoką temperaturę. Tak, by na wierzchu wytworzyła się twarda i chrupiąca skorupka, środek zaś pozostał miękki. Będę musiał w tym celu zajrzeć do działu utrzymania, gdzie już mnie znają, i wypytać ich o szczegóły dystrybucji i system wymienników ciepła przy reaktorze. W tym przypadku nie chodzi o żadne toksyny, nie ma żadnego ryzyka dla ludzi ani sprzętu. To, o czym myślę, będzie całkowicie bezpieczne i nic nie może się stać.

— Wierzę, tylko dlaczego wciąż czuję pewien niepokój? — mruknęła Murchison, biorąc od niego pojemnik z owadami.

###### \* \* \*

Osiem dni później wspomniał słowa Murchison i swą pewność siebie. Stało się to podczas rozmowy, w której O’Mara próbował ostrymi słowami przedrzeć się przez jego grubą tralthańską skórę. Wszystkie starania Gurronsevasa, aby coś wyjaśnić, tylko bardziej irytowały psychologa.

— Nie obchodzi mnie, że była to rutynowa procedura wykonywana co dwa tygodnie przez zwykłego technika — powiedział O’Mara, zaczynając cicho, ale potem jakby przydając mocy głosowi. — Nie obchodzi mnie, że instrukcja obsługi podaje, jakoby takie awarie były rzeczą zwyczajną i nie powinny być powodem alarmu, gdyż istnieje system rezerwowy. Tym razem pan tam był, co jak zwykle okazało się wystarczającą przesłanką do katastrofy. Zamiast zwykłego zacięcia cylindra czyszczącego, który blokuje system awaryjnego dopływu chłodziwa i wymaga ręcznego usunięcia, czujniki zameldowały obecność niezidentyfikowanej substancji o cechach popiołu. Substancji, której nie powinno tam być. Na skutek podejrzenia, że doszło do jakiegoś niekontrolowanego procesu, wyłączono reaktor i cały Szpital został bez mocy...

— To naprawdę był popiół — powiedział Gurronsevas. — Całkiem niegroźna organiczna mieszanina...

— Wiem, że niegroźna — nie dał mu dokończyć psycholog. — Już mi pan powiedział, co próbował zrobić. Ale dział utrzymania jeszcze tego nie wie i prowadzi drobiazgowe badania mające określić, co to za niezwykła i prawdopodobnie zagrażająca życiu sytuacja. Przypuszczam, że dojście do prawdy zajmie im co najmniej dwie godziny. Wtedy zameldują wszystko pułkownikowi Skemptonowi, który zechce się ze mną zobaczyć. W pańskiej sprawie.

O’Mara przerwał na chwilę, a gdy znowu się odezwał, był jakby mniej zły i bardziej skłonny do współczucia.

— Do tego czasu chcę mieć podstawy, by z czystym sumieniem powiedzieć mu, że opuścił pan Szpital.

— Ależ... To niesprawiedliwe. To był wypadek, a mój udział w nim czysto marginalny. I jeszcze te dwie godziny! Całkiem nierozsądny pomysł. Muszę najpierw przekazać obsłudze syntetyzerów mnóstwo instrukcji i...

— Nie mamy czasu na dyskusje o sprawiedliwości czy rozsądku — stwierdził półgłosem O’Mara. — Pan zaś nie ma czasu na pożegnania. Lioren już czeka, aby pomóc panu zabrać rzeczy z kabiny. Potem zaprowadzi Pana na statek...

— Dokąd leci ten statek?

— ...który po wykonaniu przydzielonej mu misji albo przywiezie pana tu z powrotem, aby stawił pan czoło swojemu losowi, albo zostawi na wybranym przez pana świecie. Oczywiście, o ile wcześniej nie zrobi pan czegoś, co zirytuje kapitana. Cokolwiek się stanie, proszę trzymać się z dala od kłopotów. Powodzenia, Gurronsevas. Proszę już iść. Natychmiast.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Z Liorenem, w odróżnieniu od O’Mary, można było negocjować, przynajmniej w sprawie czasu przeznaczonego na zebranie rzeczy osobistych. Oszczędzone w ten sposób chwile Gurronsevas wykorzystał na przekazanie stosownych instrukcji technikom. I tak zmarnował sporo czasu, gdy jego ludzie, zamiast słuchać, próbowali wciąż powtarzać, jak bardzo jest im przykro, i życzyć mu powodzenia. Gdy dwie godziny dobiegły końca i musiał już opuścić Szpital, czuł się naprawdę zakłopotany.

Podróż jednak okazała się bardzo krótka.

— Nie rozumiem — wyjąkał. — Owszem, to statek. Mały, z wyłączonymi systemami oraz, sądząc po ciszy i skromnym oświetleniu, całkiem pusty. Ja zaś nie jestem w kabinie pasażerskiej. Dokąd przyszliśmy i co mam tutaj robić?

— Jak sam widzisz, znajdujesz się na pokładzie medycznym statku szpitalnego Rhabwar — powiedział Ojczulek, włączając światła. — Poczekasz tu cierpliwie i cicho na jego odlot. W tym czasie wszyscy znający sprawę będą mogli zeznać, że nie ma cię już w Szpitalu, i nawet nie skłamią, bo rzeczywiście, właśnie go opuściłeś. Jako Tralthańczyk nawykłeś do spania na stojąco, więc tutejsze niewygody ci niestraszne. Nie próbuj badać reszty statku. Poza tym pokładem całość została przystosowana do obsługi przez Ziemian albo inne, podobne im rozmiarami istoty. Ekipa medyczna i załoga będą lepiej cię postrzegały, jeśli niczego nie zniszczysz. Podajnik żywności jest tutaj, tutaj zaś konsola pielęgniarska, dzięki której uzyskasz wszystkie istotne informacje o Rhabwarze. Przeczytaj je uważnie przed odlotem. Gdybyś się nudził, możesz włączyć sobie jakiś kanał edukacyjny. Nie próbuj jednak używać komunikatora, bo oficjalnie cię tu nie ma. Nie opuszczaj statku, nawet na krótko, nie pokazuj się też w korytarzu wiodącym do wyjścia czy w śluzie. Będę zaglądał do ciebie tak często, jak tylko okaże się to możliwe.

— Mam być kimś w rodzaju pasażera na gapę? Czy załoga wie o mnie? I jak długo będę musiał czekać?

Lioren przystanął w progu.

— Nie wiem, jaki będzie twój status. O twojej obecności wie ekipa medyczna Rhabwara, jednak oficerowie nie zostali poinformowani. Nie wolno ci zatem się ujawnić, zanim skoczycie w nadprzestrzeń. Nie mam pojęcia, jak długo przyjdzie ci czekać. Według pogłosek pięć dni, ale może i dłużej. Są jakieś kłopoty z decyzją o wylocie, ale gdy tylko coś usłyszę, zaraz dam ci znać.

Nim Gurronsevas zdołał spytać o coś więcej, Lioren zniknął w szybie.

Po paru chwilach dietetyk uspokoił się i zaskoczenie ustąpiło miejsca ciekawości. Stawiając uważnie nogi, zaczął zwiedzać pokład.

Na wszystkich ścianach zamontowano wielkie ekrany. Jeden przekazywał w tej chwili obraz metalowej gładzi zewnętrznego poszycia Szpitala, inny część stanowiska cumowniczego, kolejne dwa biel deltoidalnych skrzydeł Rhabwara. Wokół ekranów rozstawiono urządzenia, których przeznaczenie pozostawało dla Gurronsevasa zagadką, i to nie z powodu panującego tu półmroku. Pośrodku pomieszczenia widniały w suficie i w podłodze okrągłe otwory szybu komunikacyjnego pozwalającego przejść na sąsiednie pokłady. Zamontowano w nim nawet uniwersalną drabinkę dla przedstawicieli kilku co najmniej ras, sama średnica studni była jednak za mała dla Tralthańczyka.

Konsolę, którą wskazał mu Lioren, otaczały urządzenia wyglądające na medyczny zespół monitorujący. Dietetyk miał wciąż zbyt duży mętlik w głowie, by myśleć konstruktywnie, wywołał więc szpitalną bibliotekę i włączył czytnik głośnomówiący. Zażądał wszystkich dostępnych informacji o statku szpitalnym Rhabwar.

Na ekranie pojawił się komunikat, który zaraz zabrzmiał też z głośnika:

— Informacje te dostępne są bez ograniczeń. Proszę sprecyzować zagadnienie albo wybrać spośród następujących możliwości: geneza budowy statku i założenia projektu, systemy pokładowe i medyczne, podsystemy i wyposażenie, rezerwy operacyjne i czas trwania misji, załoga i specjalności ekipy medycznej, relacje z dotychczasowych misji, ogólne podsumowanie.

Gurronsevas poczuł się jak niewykształcone dziecko i wybrał ostatni punkt. Jednak gdy zaczęła się prezentacja, jego odczucia zmieniły się raptownie, ustępując miejsca najpierw zdumieniu, potem zaś podziwowi, trafił bowiem na lekcję historii, bogato ilustrowany esej o powstaniu i ewolucji tego, co obecnie było Federacją. A wszystko z całkiem nowego dlań, nasyconego filozoficznymi refleksjami, punktu widzenia.

Na ekranie pojawiła się trójwymiarowa podobizna podwójnej spirali Galaktyki wraz ze skrajem sąsiedniego skupiska gwiazd. Była tak blisko, że na pewno nie zachowano skali. W pewnym momencie na krawędzi dysku pojawiła się żółta kropka połączona z sąsiednimi, podobnymi punktami. Była to Ziemia i jej kolonie oraz Orligia i Nidia — pierwsze obce kultury poznane przez Ziemian. Kolejne skupisko kropek oznaczało światy zamieszkane bądź odkryte przez Tralthańczyków.

Minęło kilka dziesięcioleci, nim te cztery cywilizacje otworzyły przed sobą swoje planety. W tamtych czasach, wyjaśnił bezosobowy głos, istoty inteligentne nadal jeszcze traktowały się podejrzliwie i nie bez lęku. W przypadku wczesnych kontaktów Orligii z Ziemią doszło nawet do gwiezdnej wojny.

Na tle Galaktyki pojawiły się nagle złociste linie oznaczające nawiązanie kontaktu z kolejnymi zaawansowanymi kulturami: Kelgią, Illensą, Hudlarem i Melfem. Nie był to obraz szczególnie uporządkowany. Trasy biegły ku centrum Galaktyki, zawijały się wokół krawędzi, przenikały gwiezdne skupisko na wylot, jedna zaś sięgnęła poprzez przestrzeń międzygalaktyczną do światów łanów, chociaż po prawdzie to Ianowie pierwsi pokonali ten dystans. Gdy obraz się ustabilizował, pokazując dzień dzisiejszy, na tle spirali widniało coś pośredniego między cząsteczką DNA a dziecięcym rysunkiem kolczastego krzewu.

Znając dokładne koordynaty planety, można się było dostać tam statkiem nadprzestrzennym i nie było istotne, czy chodzi o sąsiedni układ gwiezdny czy o świat leżący na drugim krańcu Galaktyki. Jednak by ustalić koordynaty, trzeba było najpierw znaleźć taką planetę klasycznymi sposobami, a to nie było łatwe zadanie.

Sporządzanie kompletnych map kolejnych sektorów Galaktyki trwało od lat, ale prace postępowały bardzo wolno i w żadnym razie nie można było uznać wyników za w pełni zadowalające. Odkrycie przez statek Korpusu gwiazdy otoczonej planetami było rzadkim wydarzeniem. Jeszcze rzadziej trafiano na życie w jakiejkolwiek postaci. A gdy były to istoty inteligentne, przez wszystkie światy Federacji przetaczała się fala wielkiego zainteresowania połączonego z lękiem, czy nie zagrozi to trwającemu od wieków Pax Galactica. Wtedy do akcji wchodzili specjaliści z ekip kontaktowych Korpusu kontroli. Wysyłano ich z niebezpieczną misją nawiązania i utrwalenia więzi.

Na ekranie pojawiło się zestawienie dotychczasowych operacji tego rodzaju wraz z liczbą zaangażowanych statków i stanem ich załóg oraz łącznym kosztem akcji. Była to suma tak wysoka, że aż niewiarygodna.

— W ciągu ostatnich dwudziestu lat procedury pierwszego kontaktu wszczęto trzy razy — podał głos. — Wszystkie objęte nimi rasy przystąpiły do Federacji. W tym samym czasie uruchomiono Szpital Kosmiczny Sektora Dwunastego. Jego działalność zaowocowała przyjęciem do Federacji siedmiu nowych kultur.

Zapewne była to tylko autosugestia, ale Gurronsevasowi wydało się, że komputer podał tę informację z wyraźną dumą.

— Za każdym razem przebiegało to podobnie i nie zaczynało się od powolnego budowania mostów służących stopniowej wymianie myśli i idei, ale od uratowania rozbitka ocalałego po kosmicznej katastrofie albo udzielenia pomocy choremu obcemu. Podejmując się tych zadań, Szpital okazywał nowo poznanej rasie życzliwość i dobrą wolę Federacji wyraźniej, niż można by to osiągnąć podczas bardzo długiej nawet wymiany informacji. Skutkiem tego zmieniono niedawno zasady pierwszego kontaktu...

Tak jak istniał tylko jeden sposób podróżowania w nadprzestrzeni, była tylko jedna metoda przesyłania wiadomości kanałami nadprzestrzennymi. Korzystano z niej między innymi w urządzeniach łączności automatycznych boi uwalnianych przez statek w razie awarii czy katastrofy. Transmisje wykorzystujące wąską nadprzestrzenną wiązkę były zawodnym sposobem komunikowania się, wiązki bowiem łatwo ulegały zniekształceniom, ugięciom i odbiciom od różnych ciał niebieskich, wymagały też silnych źródeł energii, które rzadko były dostępne na pokładzie. Jednak sygnał boi nie miał nieść żadnej informacji oprócz wołania o pomoc, które przenikało wszystkie częstotliwości tak długo, na jak długo wystarczał nuklearny generator. Zwykle była to kwestia godzin, najwyżej dni.

Ponieważ wszystkie statki Federacji musiały złożyć przed startem szczegółowy plan lotu wraz z manifestem ładunkowym i listą pasażerów, łatwo było ustalić, która jednostka wzywa pomocy, i skierować na miejsce pokrywające się z koordynatami boi statek szpitalny z odpowiednią załogą i wyposażeniem. Zdarzało się wszakże, i to nawet często, że katastrofa dotykała istoty nie znane Federacji, które również potrzebowały pomocy. Przeciętna ekipa ratunkowa stawała się wówczas bezradna.

Dobrze, jeśli statek ratunkowy był wystarczająco duży i miał na tyle silne generatory, aby objąć wrak polem nadprzestrzennym. Albo gdy dawało się bezpiecznie zabrać rozbitków na pokład i dostarczyć ich do Szpitala. Niemniej i tak stracono bezpowrotnie wiele szans na poznanie nowych inteligentnych ras i technologii, zyskując w zamian jedynie ciała do autopsji.

Drugim istotnym elementem była zasada Federacji, by w pierwszym rzędzie nawiązywać kontakt z rasami znającymi loty nadprzestrzenne. Rozmowy z istotami inteligentnymi, ale przykutymi do swojej planety, zawsze wiązały się z pewnym ryzykiem, trudno bowiem było orzec z góry, na ile zaważy to na ich dalszym losie. Czy rozkwitną, czy popadną w kompleksy, widząc wielkie obce statki na swoim niebie. Od dawna szukano rozwiązania tego problemu, ale na razie nie udało się go znaleźć.

Niemniej postanowiono zaprojektować i wyposażyć statek mający reagować tylko na takie wezwania, w których namiary boi nie pokrywały się z pozycją żadnej znanej jednostki Federacji. Wyjątkowy statek szpitalny zdolny udzielić pomocy nawet istotom, których nikt wcześniej nie widział.

Gurronsevas coraz uważniej studiował relacje. Przed jego oczami przesuwały się obrazy porozbijanych kadłubów, dryfujących wraków i szczątków, między którymi znajdowano ciała albo ledwie żywych rozbitków. Czasem wydobycie ich było bardzo trudne, niekiedy zdezorientowani i cierpiący ranni reagowali gwałtownie na widok próbujących zbliżyć się do nich obcych potworów. Zdarzało się też jednak, że wzywający pomocy statek nie był uszkodzony, za to załoga poważnie chora. Wówczas do akcji wkraczał dowódca Rhabwara, inżynier specjalizujący się w obcych technologiach, którego zadaniem było znaleźć drogę do wnętrza nieznanej jednostki i zapewnić bezpieczny dostęp do rannych czy chorych załogantów. Ale i w tym przypadku mogli oni różnie reagować, utrudniając czasem leczenie.

W raportach było wiele takich przypadków.

Gurronsevas trafił między innymi na relację o spotkaniu z toczkami i ich agresywnymi podopiecznymi, Obrońcami. Była też nieznana rasa żyjących gromadnie istot, których długi na mile statek kolonizacyjny uległ rozbiciu w próżni i trzeba było zakrojonej na wielką skalę operacji, z jednej strony militarnej, z drugiej zaś chirurgicznej, aby poskładać wszystkie elementy i odtransportować całość na świat przeznaczenia. I jeszcze Dwerlanie, Ianowie, Duwetzowie i wielu innych.

Dietetyk nie znał się wystarczająco na medycynie, aby zrozumieć kliniczne szczegóły, ale nie one były dla niego najważniejsze. Opowieść wciągnęła go na tyle, że gdyby podajnik żywności nie stał dość blisko, zapewne w ogóle nie chciałoby mu się do niego sięgać. Zaczynał obawiać się ryzyka, które mogło się wiązać z następną misją Rhabwara, ale z drugiej strony żałował po cichu, że nie ma odpowiednich kwalifikacji, by wziąć w niej aktywny udział. Szczególnie gdy odkrył, iż w ekipie medycznej statku jest dwoje jego znajomych: Prilicla i Murchison.

Na ekranie pojawiły się przekroje statku i głos zaczął objaśniać szczegóły jego budowy, przy czym omawiany akurat obszar czy system był podświetlany. Gurronsevas wyłączył urządzenie. Te informacje już go nie interesowały.

Stracił poczucie czasu. Był zmęczony i głodny, ale w głowie kłębiło mu się zbyt wiele dziwnych myśli i obrazów, aby mógł teraz zasnąć. Może z tego właśnie powodu zaczął przypominać sobie wszystko, co usłyszał od naczelnego psychologa i innych. Nagle dotarło doń, jak wiele mu nie powiedziano, jak wielu sankcji nie wyciągnięto... Przeraził się, chociaż z drugiej strony napawało go to nadzieją.

Rhabwar rzeczywiście był szczególnym statkiem szpitalnym, który na dodatek miał niebawem wyruszyć w kolejną ze swych niezwykłych i zapewne niebezpiecznych misji. Tylko co wyrzucony ze Szpitala naczelny dietetyk robił na jego pokładzie? Odpowiedź mogła być tylko taka: O’Mara chciał mu dać jeszcze jedną szansę.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Następne cztery dni minęły szybko i tylko zmęczenie skłaniało co pewien czas Gurronsevasa do odejścia od konsoli i przeniesienia się do miejsca spoczynku ukrytego za niewinnie wyglądającym parawanem, gdzie próbował, nie zawsze skutecznie, wyciszyć myśli i zasnąć. Piątego dnia obudziły go jaskrawe światło i głos Liorena.

— Naczelny dietetyku, to ja. Obudź się szybko, proszę. Gdzie jesteś?

Tralthańczyk był zbyt zaspany, aby od razu odpowiedzieć, opuścił jednak parawan, zdradzając swoją pozycję i dając znak, że już się ocknął.

— Wychodziłeś do Szpitala albo rozmawiałeś z kimś, odkąd byłem tu ostatni raz? — spytał Ojczulek tonem, którego Gurronsevas jeszcze u niego nie słyszał.

— Nie.

— Zatem nie wiesz nic o tym, co się działo przez ostatnie dwa dni? — spytał Lioren, jakby o coś chciał go oskarżyć. — Całkiem nic?

— Nic.

Tarlannin zastanowił się chwilę.

— Wierzę ci — powiedział już spokojniej. — Skoro nie ruszałeś się z Rhabwara i nic nie wiesz, jest szansa, że tym razem to nie twoja wina.

Gurronsevasowi nie spodobało się przypuszczenie, że mógłby kłamać.

— Cały ten czas spędziłem na lekturze, tak jak mi proponowałeś — rzekł, powstrzymując gniew. — I na rozmyślaniach o mojej przyszłości tutaj. Która nastąpi, o ile uda mi się jeszcze kiedyś porozmawiać z O’Marą. A teraz powiedz, proszę, o co chodzi.

Lioren zawahał się jak ktoś, kto pragnie przekazać złe wieści w możliwie łagodny sposób.

— Mam dla ciebie dwie nowiny. Pierwsza ewentualnie może być niemiła. Druga jest bardzo niemiła, chyba że zdołasz mnie przekonać, iż nie masz z tym nic wspólnego. Wolałbym najpierw przekazać ci tę mniej nieprzyjemną. Chodzi o misję Rhabwara. To już coś więcej niż pogłoska, bo chodzi o rozmowy na bardzo wysokim szczeblu, między ludźmi, którzy rzadko plotkują. Wymieniono nawet w tej sprawie sporo kosztownych nadprzestrzennych wiadomości. Chodzi o kontakt z nowo odkrytą rasą, ale są wątpliwości, czy statek szpitalny poradzi sobie z istniejącymi tam problemami. Zespół medyczny Rhabwara uważa, że tak, dział kontaktów upiera się, że to robota dla nich. Sądzę jednak, że podjęto już decyzję, tylko zwleka się z jej ogłoszeniem przez epidemię.

— Jaką epidemię?

— Skoro nie opuszczałeś statku, to oczywiście nic nie wiesz — powiedział Lioren po kolejnej chwili wahania. — A skoro tak, to może rzeczywiście nie jesteś odpowiedzialny...

— Za co? — spytał głośno Gurronsevas. — Jaka epidemia? I co miałbym mieć z nią wspólnego?

— Oby nic. Ale nie krzycz. Opowiem ci. Według słów Liorena Szpital ogarnęła epidemia niezidentyfikowanego pochodzenia. Pierwsze zachorowania, tak wśród personelu, jak i pacjentów, wystąpiły przed trzema dniami. Zapadali na nią tylko ciepłokrwiści tlenodyszni, a i to nie wszyscy. Hudlarianie, Nallaimowie i przedstawiciele jeszcze kilku ras wydawali się odporni na nieznaną chorobę. Co więcej, trafiały się też jednostki z chorujących gatunków, które były odporne albo miały szczęście nie ulec infekcji. Pierwsze objawy obejmowały narastające mdłości. Po dwóch dniach chory nie mógł już normalnie przyjmować pokarmów i musiał być odżywiany dożylnie. Co gorsza, równocześnie pojawiały się zaburzenia koordynacji ruchów i trudności z komunikowaniem. Za wcześnie jeszcze przesądzać, na ile kroplówkowe odżywianie pomaga. Wśród chorych było wielu członków personelu, którzy w tym stanie nie mogli doglądać swych pacjentów. Wiele wskazywało jednak na to, że zarówno mdłości, jak i zaburzenia myślenia cofają się po zmianie sposobu odżywiania.

— Nie możemy jednak bez końca trzymać wszystkich chorych pod kroplówkami — powiedział Lioren. — Jest ich zbyt wielu, prawie cztery setki. Jak dotąd nie było zejścia, ale nawet przy pracy na okrągło nie wystarcza personelu innych ras do zajmowania się zwykłymi pacjentami, którzy wymagają rutynowych zabiegów i operacji. Musieliśmy skierować do tych zadań stażystów i młodszych lekarzy, którzy operują, chociaż nie zostali jeszcze należycie przygotowani. Pierwszy zgon jest tylko kwestią czasu. Nie mamy też ludzi do przeprowadzenia badań epidemiologicznych, bo ci specjaliści też chorują, i to mimo podjęcia normalnych przy epidemii środków ostrożności. Niektórzy członkowie starszyzny ocaleli, wśród nich Diagnostyk Conway, ale może to dlatego, że ostatnio koncentruje się na pewnym nallaimskim programie i nie potrafi jeść niczego, co nie wygląda jak siemię dla ptaków. Jeśli jednak istnieje korelacja między zachorowaniem a tym, co się jadło albo nie...

— Sugerujesz, że to zatrucie pokarmowe? — przerwał mu Gurronsevas, próbując zachować spokój. — To obraźliwe, niesłychane i niemożliwe!

— Biorąc pod uwagę, że jednym z pierwszych objawów są mdłości, zatrucie wydaje się najbardziej oczywistą diagnozą. Materiał stosowany do produkcji żywności jest dokładnie sprawdzany pod kątem jakości i czystości składników, przesyła się go w sposób wykluczający chemiczne czy radioaktywne skażenie. Wiele dodatków, które niedawno wprowadziłeś, podlega tym samym procedurom, ale nie dotyczy to wszystkich. Za wiele ich. Możliwe więc, że to z nimi dostały się do potraw jakieś toksyny. Zgadzam się, że to mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe.

— Nic nie jest niemożliwe — warknął Gurronsevas. — Ale w tym przypadku prawie...

— Nie chcę krakać, ale jeśli okaże się, że chodzi o skażenie żywności, twoja kariera stanie pod znakiem zapytania, personelowi zaś ulży, bo będzie już wiedzieć, że chodzi o problem, który nie wymaga złożonego leczenia. Jeśli jednak nie jest to zatrucie i mdłości są wtórnym objawem choroby atakującej układ nerwowy, mamy prawdziwy problem. To by znaczyło, że do Szpitala przeniknął całkiem nieznany patogen, który na dodatek pokonał barierę gatunkową. Nawet laicy wiedzą, że uważa się to za niemożliwe, ale na Cromsagu nauczyłem się, iż niczego nie można z góry wykluczyć.

Gurronsevas też wiedział, o czym mowa. Od pierwszej wyprawy poza rodzinną planetę pamiętał o tym, że nie sposób zarazić się czymkolwiek od przedstawiciela innej rasy. Patogen, który wyewoluował w jednym świecie, nie mógł bytować w istocie pochodzącej z innego ekosystemu. Bardzo ułatwiało to opiekę nad chorymi i chirurgię w wielośrodowiskowym Szpitalu, słyszał wszakże, iż autorytety medyczne Federacji ciągle szukają wyjątku od tej reguły. Nie kojarzył za to, co takiego przydarzyło się Ojczulkowi na Cromsagu, był jednak pewien, że nie jest to dobry moment na podobne pytania.

— W tej chwili najważniejsze jest potwierdzenie albo wykluczenie hipotezy, że chodzi o zatrucie pokarmowe — rzekł znowu Lioren. — Normalne procedury badawcze stosowane w takich przypadkach wymagają czasu i dotąd nie dały pewnych wyników. Laboranci też opiekują się pacjentami albo sami się nimi stali. Niektórzy zaś odrzucają teorię o zatruciu, bo wydaje im się zbyt nieprawdopodobna. Ty jednak będziesz wiedział, czego i gdzie szukać. Żywność to twoja działka.

— Niemniej to niewybaczalny afront — powiedział ze złością dietetyk. — Nigdy nie byłem nawet zamieszany w podobną historię. Moi klienci nigdy się nie pochorowali!

— Ale to może nie być zatrucie — przypomniał mu Lioren. — Musimy się dopiero dowiedzieć.

— Dobrze — odparł Gurronsevas, zaczerpnął głęboko powietrza i spróbował się uspokoić. — Chciałbym, aby wypytano pacjentów o to, co dokładnie i kiedy jedli, czy wyczuli jakiś niezwykły smak albo odmienną konsystencję potrawy i czy odwiedzali inne części Szpitala albo robili coś, co mogłoby ich zetknąć z innym źródłem infekcji niż pożywienie. Następnie trzeba będzie sprawdzić komputer obsługujący podajniki w stołówce i indywidualne dyspensery oraz wywołać menu i listę zrealizowanych przez syntetyzer zamówień z okresu, kiedy zaczęła się epidemia. Chciałbym jak najszybciej dostać te informacje.

— Na początek mogę opisać ci dokładnie zachowanie jednego z pacjentów — powiedział cicho Lioren. — Pamiętaj jednak, że teoria o zatruciu to tylko moje przypuszczenie. Oficjalnie nie ma cię w Szpitalu i jeśli jesteś niewinny, lepiej, abyś się nie ujawniał.

— Jeśli objawy we wszystkich przypadkach były takie same, to wystarczy mi opis jednego pacjenta — rzekł Gurronsevas, nie oczekując kolejnych niby — przeprosin. — Kogo masz na myśli?

— Porucznika Braithwaite’a. Jakieś dwadzieścia minut po powrocie ze stołówki...

— Jedliście razem? — przerwał mu dietetyk. — To istotna informacja. Pamiętasz, co zamówił on, a co ty? Opowiedz wszystko, co pamiętasz z tego posiłku. Ze szczegółami.

Lioren zastanowił się chwilę.

— Ja, chyba na szczęście, wybierałem z tarlańskiego menu. To było jedno danie, shemmutara ze zsiadłym faas. Jak widzisz, raczej nie eksperymentuję przy stole. Nie przyglądałem się talerzowi porucznika, nie widziałem też, jakie kody wybierał, bo widok większości ziemskich potraw jest mi niemiły. Ale obaj wzięliśmy po jednym daniu, bo zaraz po obiedzie byliśmy umówieni z O’Marą. Zauważyłem, że dostał coś z małym, płaskim kawałkiem syntetycznego mięsa, który oni zwą stekiem, i kilkoma okrągłymi, lekko przypieczonymi żółtawymi warzywami. Do tego były dwie zielone kulki, też roślinne, oraz jasnoszare, okrągłe przedmioty, które wyglądały szczególnie nieapetycznie. Na skraju talerza znalazła się odrobina brunatnożółtego, na wpół płynnego materiału, który wyglądał jak osad. A, i jeszcze stek został polany gęstym, brunatnym płynem...

Gurronsevas zastanowił się, co więcej Lioren by dostrzegł, gdyby przyjrzał się uważnie.

— Czy Braithwaite komentował danie podczas jedzenia albo zaraz potem?

— Tak, ale nie powiedział nic niezwykłego. Kilka innych istot, nie z Ziemi, zamówiło to samo i ich komentarze również słyszałem. Niektórzy mają zwyczaj szukać ciekawych smaków w menu innych ras. Od czasu wprowadzenia twoich zmian stało się to nawet powszechniejsze. To naprawdę komplement, w każdym razie był, jeśli...

— Co dokładnie mówił Braithwaite? — przerwał mu dietetyk. — Wszystko.

— Próbuję sobie przypomnieć — rzekł Lioren, machając ręką w sposób, który mógł wyrażać irytację. — Powiedział, że danie było jakieś dziwne, jakby zapiaszczone, co wydało mu się niezwykłe, bo poprzedniego dnia zamawiał to samo i niczego takiego nie zauważył. Dodał, że pewnie to skutek twoich nieustannych eksperymentów z menu, lecz ta propozycja raczej się nie przyjmie. Potem zjadł porcję szybko i w milczeniu, bo nie chciał się spóźnić na spotkanie. Po drodze ze stołówki zaczął narzekać na żołądek, ale uznał to za niestrawność spowodowaną zbyt szybkim jedzeniem. Spotkanie było wkrótce potem, a wzięli w nim udział O’Mara, Braithwaite i Cha Thrat. Dotyczyło profili osobowościowych najnowszej grupy stażystów. Ponieważ nie chodziło o wywiady, ale raczej o sprawy organizacyjne, nie zamknęli drzwi. Słyszałem wszystko, jednak nie wszystko widziałem. Cha Thrat przekaże ci potem resztę szczegółów. — Wydał kilka cichych odgłosów, chrząknął głośno i podjął opowieść: — Przepraszam, wiem, że to nie do śmiechu. Braithwaite zaczął narzekać na narastające nudności, a na życzliwe pytania Cha o samopoczucie odpowiadał coraz napastliwiej, aż zaczął wyzywać majora i Sommaradvankę słowami, które nie uchodzą za uprzejme. Później okazał daleko idącą niesubordynację wobec O’Mary. A następnie zwymiotował mu na biurko. Niemal natychmiast zaczęły się trudności z wymową i koordynacją ruchów. O’Mara kazał przenieść go na oddział obserwacyjny, który zaczął się właśnie zapełniać podobnymi przypadkami. To było czterdzieści trzy godziny temu. Chociaż prawie wszyscy pacjenci wykazują już niemal całkowity zanik symptomów, major spędza możliwie najwięcej czasu z porucznikiem, starając się ustalić, czy jego zachowanie było związane z nowym patogenem, który zaatakował centralny układ nerwowy, którą to teorię faworyzuje starszy personel medyczny, czy może był to skutek uboczny zatrucia pokarmowego, przy czym ja jestem skłonny obstawać. Jeśli się mylę, lepiej, abyś został, gdzie jesteś, czyli poza zasięgiem epidemii. Jeśli mam rację, naczelny psycholog nie będzie miał o tobie dobrego zdania.

Nikt tutaj nie ma o mnie dobrego zdania, pomyślał dietetyk. A jeśli nawet komuś się to zdarzy, to tylko na krótko. Postarał się wszakże opanować kolejny przypływ złości i rozczarowania i skupić się na kulinarnej zagadce, którą tylko on miał szansę rozwiązać.

— Będę potrzebował dostępu do programu syntezy żywności — oświadczył. — Ale spokojnie, uzyskam go stąd, podając mój kod identyfikacyjny.

Opis Liorena pozwolił mu szybko odszukać podejrzaną potrawę i ustalić, jak była serwowana w szacowanym czasie wybuchu epidemii. Liczba wydanych porcji była rozbita na dni, co pozwalało ustalić nawet skład poszczególnych zamówień. Codziennie inne potrawy cieszyły się największą popularnością, zależnie od tego, co kto jadł poprzednio, czy siadał do stołu sam, czy z przyjaciółmi, którzy mogli coś polecić, i ile było nowości w menu, te bowiem zawsze chętnie zamawiano. On jednak znał i danie, i dzień i widział już wszystko, co mógł znaleźć. Przerzucał listę składników, żądając podania ich pełnego składu biochemicznego, gdy nagle Lioren podszedł bliżej.

— I co? Masz? — spytał tonem kogoś, kto już wie i nie oczekuje odpowiedzi.

— Tak i nie — odparł Gurronsevas, kierując jedno oko na Ojczulka. — Jestem pewien, że wiem, co to za potrawa, wiem, ile razy została podana, ale...

— Możesz być pewien. Sprawdzałem na oddziale godzinę, o której zaczęli napływać pacjenci. Zgadza się z tym, co masz na ekranie. Niezbyt to miła dla ciebie nowina...

— Wiem, wiem — warknął dietetyk. — Ale popatrz. Wszystkie składniki są całkiem nieszkodliwe i dobrane zgodnie z moimi instrukcjami. Po obróbce w syntetyzerze dodane zostały tylko trzy elementy naturalnego pochodzenia. Były to śladowe ilości orligiańskiej i ziemskiej chrysse oraz sól z jeziora Merne, które trafiły do sosu, oraz zmielona gałka muszkatołowa, którą posypano całość. Nic z tego nie mogło spowodować zatrucia. Chyba że toksyna dostała się tam z zewnątrz, może na skutek przecieku jakiegoś biegnącego obok przewodu. Muszę porozmawiać z moim asystentem.

— Nie wolno ci się kontaktować z nikim w Szpitalu... — zaczął Lioren, ale Gurronsevas nie słuchał.

— Główny syntetyzator, starszy technik żywieniowy Sarnyagh — powiedział Nidianczyk, którego twarz pojawiła się na ekranie. Trudno było orzec, czy zaskoczył go widok szefa, bo pokrywające oblicze futro maskowało wszelką mimikę. Można było jednak przewidzieć, co powie. — Przecież opuścił pan Szpital...

— Zgadza się — rzucił dietetyk. — Proszę nic nie mówić, tylko słuchać...

Wyjaśnił, o co chodzi, ale Sarnyagh miał już odpowiedź.

— To było pierwsze, o czym pomyśleliśmy. Zwołaliśmy wszystkich pracowników i przez dwie zmiany szukaliśmy śladów, chociaż dział utrzymania przekonywał, że układ wszystkich przewodów zaprojektowano tak, aby wykluczyć podobne wypadki. Sprawdziliśmy nawet zasobniki syntetyzera i magazyny. Wszystko było w porządku. Ma pan jakiś inny pomysł?

— Nie — mruknął Gurronsevas i zakończył połączenie. Jego wcześniejsze obawy przeradzały się z wolna w desperację, ale coś kołatało mu się pod czaszką. Chodziło o uwagę rzuconą wcześniej przez jednego z techników. Tylko co to było?

— Skoro problem nie tkwi w systemie dostawczym, musi chodzić o sam posiłek, a to już sprawdziliśmy. Chyba... chyba że przyjrzymy się dokładniej dodatkom. Wszystkich od wieków używano na planetach, z których pochodzą. Będę potrzebował danych z biblioteki ogólnej.

Nawet w relatywnie niewielkiej bibliotece Szpitala znalazło się całe morze informacji o przyprawach. Odnalezienie źródeł na temat trzech składników, nawet z pomocą komputera, musiało chwilę potrwać. W końcu dietetyk dowiedział się sporo, i całkiem niepotrzebnie, o znaczeniu eksportu soli z jeziora Merne dla kelgiańskiej ekonomii. Owszem, jezioro było kiedyś niebezpieczne, ale dotyczyło to dawnych wieków, kiedy jeszcze była w nim woda i czasem ktoś się utopił. Równie niewiele dała lektura o orligiańskich i ziemskich polipach chrysse. Gałka muszkatołowa była stosunkowo najsłabiej opisana, w końcu jednak udało się znaleźć pewne bardzo stare źródło, które dodano chyba tylko przez przypadek.

Nagle Gurronsevasa olśniło. Obsada jego kuchni zawsze pracowała pod presją autorytetów medycznych. Często zdarzało się, że ktoś dokonywał na bieżąco drobnych zmian w recepturze, o których potem zapominano albo które uznawano za zbyt mało znaczące, aby wspomnieć cokolwiek przełożonemu. Nagle dietetyk zerwał się na równe nogi.

Gdy otaczające ich urządzenia przestały już grzechotać i drżeć, Lioren spytał:

— Co jest? Co ci się stało?

— Muszę pogadać raz jeszcze z tym technikiem — powiedział, wybierając numer. — W sumie nic mi nie jest. Mam tylko ochotę zamordować inną, być może inteligentną istotę.

— Nie może być! — krzyknął wstrząśnięty Lioren. — Uspokój się, proszę. Jestem pewien, że zbyt silnie przeżywasz coś, co da się rozwiązać bez stosowania przemocy...

Przerwał, ujrzawszy ponownie na ekranie podobiznę Sarnyagha.

— Czy zapomniał pan mnie o coś spytać? — odezwał się technik z wyraźną urazą.

Gurronsevas zmusił się do zachowania spokoju.

— Sięgnij po moje oryginalne instrukcje dotyczące składu menu, punkt jedenaście dwadzieścia jeden, ziemskie gatunki DBDG, z możliwością spożycia przez DBLF, DCNF, DBPK, EGCL, ELNT, FGLI i GLNO. Obok daj zestawienie tego, co zostało podane, i porównaj oba wykazy pod kątem przyprawy. Wyjaśnij, dlaczego wprowadzono nieautoryzowaną zmianę.

Gdyby zmiany nie było, Gurronsevas znalazłby się w bardzo kłopotliwej sytuacji. Jednak był pewny, że się nie myli.

Sarnyagh spojrzał na swoją konsolę i stuknął w klawisze. Dwie kolumny liczb rzuciły podwójny odblask na jego futro.

— A tak, przypominam sobie. Chodziło o małą zmianę, dokładniej poprawkę błędu, który wkradł się do zestawienia. Może pan kojarzy, w instrukcji podał pan wartość zero przecinek zero osiem pięć na masę potrawy. Z całym szacunkiem, to niezwykle mała ilość na coś, co jest opisane jako roślina jadalna, przyjąłem więc, że chodzi o osiem przecinek pięć. Czy się pomyliłem? Byłem pewnie zbyt ostrożny?

— Pomyliłeś się — omal nie wykrzyczał dietetyk. — I byłeś nie dość ostrożny. Nie wyczułeś po smaku, że coś jest nie tak?

Sarnyagh zawahał się, wyraźnie przeczuwając kłopoty i z góry starając się je zażegnać.

— Przykro mi, ale nie mam tak rozległego doświadczenia kulinarnego jak pan i nie potrafię wyczuć subtelności smaku całej gamy dań. Trzymam się raczej domowej kuchni nidiańskiej i czasem tylko sięgam do zimnego bufetu Kelgian. Ziemskie jedzenie, gdy kilka razy go próbowałem, wydawało mi się zawsze jakieś takie rozlazłe, zbyt kolorowe i ogólnie nieestetyczne, więc nawet gdybym spróbował, nic by to nie dało. Poza tym zmiana, chociaż dokonana bez pańskiego pozwolenia, była drobna i towarzyszył jej głęboki namysł. Sprawdziłem wcześniej w komputerze medycznym, czy wspomniana substancja nie jest toksyczna. Nie jest. Sprawdziłem też stan magazynu podręcznego, który przywiózł pan ze sobą. Tam wprawdzie przyprawa już się kończyła, ale okazało się, że w magazynie leży jej aż kilka ton. Przy podanej przez pana gramaturze wystarczyłoby to na wieki, dlatego uznałem, że to błąd, i poprawiłem go. Ma pan jeszcze jakieś polecenia?

Gurronsevas pamiętał, skąd w magazynie wzięło się pięć ton gałki muszkatołowej. Powody były czysto administracyjne, samo sprowadzenie zapasu zaś przebiegło nie całkiem legalnie. Za przyprawę zapłacił Korpus Kontroli, przez co względnie niski budżet jego działu nie ucierpiał. Nie można było jednak tego ujawnić. Lepiej, aby ta informacja nie dotarła do Skemptona, nawet jeśli nieoficjalnie o tym wiedział. Trudno było też winić szefa zaopatrzenia, Creona — Emesha, który chciał tylko pomóc. Sarnyagh zaś skłonny był przypisać całą sprawę błędowi przełożonego.

Gurronsevas przypomniał sobie własną młodość, kiedy nauczył się z bólem, że starszych należy słuchać, ponieważ naprawdę wiedzą więcej niż ich ambitni podwładni.

— Moje instrukcje są następujące — rzekł lodowatym głosem. — Natychmiast cofnąć nieautoryzowaną zmianę i przywrócić oryginalne proporcje składu. Jestem z ciebie bardzo niezadowolony, Sarnyagh, ale z konsekwencjami dyscyplinarnymi przyjdzie poczekać, aż...

— Ależ to nie w porządku — przerwał mu technik. — Dokonałem tylko drobnej i niegroźnej zmiany, a pan uważa, że to podważa pański autorytet. To naprawdę nie tak. Mamy obecnie ważniejsze i pilniejsze sprawy na głowie. Zgodnie z instrukcjami Diagnostyków Thornnastora i Conwaya sprawdzamy całą linię w poszukiwaniu możliwych miejsc skażenia. Wiem, że to niemożliwe, ale informacja, że chodzi o toksyny w jedzeniu, byłaby przełomem w walce z...

— Ten problem został właśnie rozwiązany. Zrób tylko, jak mówię.

Gdy Sarnyagh zniknął z ekranu, dietetyk podszedł do Liorena.

— Może jednak go nie zamorduję. Ale jeśli powiesz mi, jak zrobić komuś krzywdę w ten sposób, aby długo dochodził do siebie, będę wdzięczny.

— Mam nadzieję, że żartujesz — mruknął niepewnie Tarlanin. — Ale problem naprawdę został rozwiązany? Jak?

— Żartuję. I owszem, epidemia dobiegła końca. Powiem ci tylko pokrótce, byś mógł jak najszybciej zawiadomić Conwaya, że chodziło o...

— Nie, Gurronsevas. To twoja specjalność. Conway należy do tych, którzy wiedzą o twojej obecności na statku. Oszczędzimy czas, jeśli sam mu to powiesz.

Kilka minut później Diagnostyk Conway spojrzał z ekranu. Dietetyk zaczął opisywać, jak doszło do nie uzgodnionej z nim zmiany w menu DBDG i na czym ona polegała.

— Pośrednim powodem była moja ignorancja, o czym dowiedziałem się dopiero kilka minut temu. Okazuje się, że ziemska gałka muszkatołowa, jedna z powszechnie stosowanych przypraw, wykorzystana i w tym daniu, ma w przypadku znacznego przedawkowania dość szczególne, chociaż mało znane działanie. Nie znajduje się na liście substancji niebezpiecznych, zapewne dlatego, że z racji przykrych ubocznych skutków gastrycznych nie sprawdziła się jako narkotyk. Kiedyś jednak stosowano ją jako łagodny halucynogen. Zdarzało się to kilkaset lat temu, gdy używanie podobnych środków było bardzo popularne w wielu kulturach. Dawka podana przez technika była sto razy wyższa niż zalecona. W takiej ilości wspomniana przyprawa powoduje halucynacje, brak koordynacji ruchów i nudności. Dokładnie te same objawy, które opisano mi jako charakterystyczne dla obecnej epidemii. Błąd jest właśnie korygowany i za dwie godziny linia żywnościowa DBDG będzie już w pełni bezpieczna. Objawy zaczną ustępować, a według źródeł historycznych, wszyscy chorzy powinni za kilka dni dojść do siebie. Jestem pewien, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane.

Conway milczał chwilę, w końcu westchnął przeciągle. Jego cofnięte w głąb czaszki oczy spojrzały obok Gurronsevasa i Liorena na pokład medyczny.

— Więc ostatecznie miałeś rację, Ojczulku — powiedział z uśmiechem. — Niepotrzebnie wystraszyliśmy się przykrego, ale ogólnie niegroźnego zatrucia. Pan zaś, Gurronsevas, rozwiązał problem w kilka minut, nie oddalając się nawet od konsoli. Dobra robota, naczelny dietetyku. Ale co powinniśmy pańskim zdaniem zrobić z odpowiedzialnym za błąd technikiem?

— Nic. Nigdy nie uchylałem się od zawodowej odpowiedzialności, w tym odpowiedzialności za podwładnych. Sam się nim zajmę po powrocie.

Stojący z tyłu Lioren zachichotał cicho.

— Rozumiem — powiedział Conway, kiwając głową. — Niemniej potrwa trochę, nim pan wróci. Skoro epidemię mamy już z głowy, Rhabwar może ruszać w drogę. Start za godzinę.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Po przydługim pożegnaniu Liorena i dłuższych jeszcze upomnieniach, aby Gurronsevas nie przesadzał z inicjatywą, lecz starał się raczej zyskiwać przyjaciół, dietetyk naprawdę miał się nad czym zastanawiać. Pogrążył się w myślach na tyle, że jego zdaniem minęło tylko kilka minut, nim znowu — czego zresztą mógł się spodziewać — mu przerwano. Odgłosy dobiegające od strony dziobu sugerowały, że kilka osób weszło przez właz załogi, a jedna z nich ruszyła centralną studnią w kierunku maszynowni. Równocześnie druga grupa skorzystała z głównego wejścia i zaczęła zbliżać się szybko do pokładu medycznego. Po gwarze Gurronsevas ocenił, że chodzi o cztery różne istoty, rozmawiały jednak zbyt cicho, aby jego autotranslator mógł wyróżnić poszczególne kwestie. Czym prędzej przyciemnił światło, uniósł parawan i schował się za nim.

Gdy przybysze weszli na pokład medyczny, oświetlenie rozbłysło z całą mocą i głosy nagle umilkły. Dał się za to słyszeć wyraźny syk zamykanej śluzy, którego to odgłosu nie można było pomylić z żadnym innym.

Przedłużającą się ciszę przerwała w końcu seria melodyjnych treli. Nie trzeba było tłumacza, by poznać, że mówiącym jest Cinrussańczyk.

— Wyczuwam twoją obecność, przyjacielu — rzekł Prilicla. — W tej chwili mostek nie ma podglądu ani podsłuchu tego pokładu i nie zmieni się to aż do ukończenia skoku nadprzestrzennego. Jesteś wśród przyjaciół, Gurronsevasie. Opuść zatem osłonę i pokaż się nam.

Zrobił, o co go proszono. Przez dłuższą chwilę tylko patrzyli na siebie w milczeniu.

— Gurronsevas! — powiedziała wreszcie obecna w ekipie medycznej Kelgianka. — Ten Gurronsevas? Myślałam, że opuściłeś Szpital.

— I słusznie, siostro — roześmiała się Murchison. — Opuścił.

— Przyjacielu Gurronsevas — odezwał się Prilicla, zawisając z wdziękiem nad jego głową — znasz już patolog Murchison i mnie. Nie jesteśmy zaskoczeni twoją obecnością na pokładzie. O’Mara uprzedził nas o tym i wyjaśnił powody tej decyzji. Niemniej doktor Danalta oraz siostra Naydrad nie oczekiwali cię tutaj, co możesz zresztą poznać po wzburzeniu futra naszej kelgiańskiej koleżanki. Dotąd widzieli cię tylko z daleka. Ale na tak małym statku jak nasz brak miejsca na zachowanie jakiegokolwiek dystansu, nie mamy zatem wyboru i musimy zostać dobrymi znajomymi czy nawet, bardzo bym pragnął, przyjaciółmi.

Spoczywający na pokładzie stożek zielonkawej, pomarszczonej materii przysunął się bliżej i wypączkował po kolei oko, ucho i usta.

— Widzieliśmy się już przy paru okazjach, lecz z osobistych albo klinicznych powodów wyglądałem wówczas całkiem inaczej. Jest to rzecz całkiem zwyczajna w przypadku istot polimorficznych. Niemniej teraz, gdy widzisz mnie w naturalnej postaci, nie okazujesz częstej u wielu istot awersji do mojej osoby. Chętnie poznam cię bliżej.

— I ja ciebie, doktorze Danalta — odparł Gurronsevas. — Znam twoje imię i wiem, czym się zajmujesz. Czas oczekiwania spędziłem na przeglądaniu zapisów poprzednich misji. Znalazłem tam sporo informacji o roli, jaką odegrałeś w ich trakcie. Była to fascynująca lektura, nawet jeśli nie w pełni rozumiałem medyczny aspekt wielu działań. Naprawdę, trudno mi się było od niej oderwać.

Prilicla usiadł ostrożnie na pokładzie. Drżał lekko w sposób znamionujący odbiór pozytywnych sygnałów emocjonalnych.

— Naczelny dietetyk jest zbyt uprzejmy, aby przyznać to głośno, jednak jest też w najwyższym stopniu zaciekawiony. Ponieważ w pozostałych tu obecnych nie ma niczego, co mogłoby go zadziwić, należy uznać, że chodzi o ciebie, przyjacielu Danalta. Czy byłbyś skłonny pokazać naszemu przyjacielowi, na co cię stać?

— Na pewno będzie skłonny — wtrąciła się Naydrad. — Nasz galaretowaty kolega jest bezkonkurencyjny w robieniu wrażenia na obcych.

Jak przekonał się Gurronsevas, Danalta musiał już przywyknąć do drobnych impertynencji Kelgianki, natychmiast bowiem wypuścił typową kelgiańską kończynę z trzema palcami i wykonał nią gest, po którym futro Naydrad zafalowało jeszcze gwałtowniej.

— Chętnie to zrobię — powiedział równocześnie. — Ale co najbardziej cię interesuje?

Tymczasem, jak widać było na ekranach, Rhabwar wydostawał się z wolna z labiryntu rękawów dokujących i różnokolorowych boi, które oznaczały ścieżki podejścia do Szpitala. Gurronsevas wiedział już, że po wyjściu w przestrzeń statek włączy napęd i oddali się na tyle, aby co delikatniejsze elementy konstrukcji Szpitala nie ucierpiały od wstrząsu towarzyszącego skokowi jednostki w nadprzestrzeń. Czas jednak nie dłużył się, gdyż Danalta lubił opowiadać o sobie i na dodatek potrafił robić to w interesujący sposób.

Fizjologicznie należał do klasy TOBS. Jego gatunek wyewoluował na planecie o bardzo wydłużonej orbicie, która powodowała gwałtowne zmiany klimatyczne. Przetrwanie w tych warunkach wymagało nadzwyczajnych zdolności adaptacyjnych. Jego przodkowie stali się rasą dominującą, a następnie rozwinęli rozum i cywilizację. Nie osiągnęli tego na drodze ewolucji naturalnych broni i rywalizacji, ale dzięki zdolności idealnej wręcz mimikry. Spotkawszy któregoś z naturalnych wrogów albo cokolwiek, co zagrażało ich życiu, mogli wybierać między czterema działaniami: ucieczką, ukryciem pod niepozornym kształtem, przybraniem postaci, która przerazi napastnika, albo otoczeniem się twardym pancerzem. W zasadzie byli amebowaci, lecz mieli zdolność wypuszczania dowolnych kończyn i zmiany pokrywy ciała, co pozwalało im dostosować się do każdej praktycznie sytuacji.

— W czasach przedrozumnych najważniejsze były szybkość i dokładność naśladowania innych — powiedział Danalta, przybierając postać Tralthańczyka, tyle że nieco zmniejszonego. Potem upodobnił się kolejno do Naydrad i Murchison. — Zdolność do błyskawicznego reagowania na ataki drapieżników i odtwarzania pewnych ich charakterystycznych zachowań decydowała o przetrwaniu. W związku z tym musieliśmy również rozwinąć umiejętności empatyczne, aby odczytać z wyprzedzeniem zamiary napastnika. Oczywiście nie do tego stopnia co pobratymcy doktora Prilicli, ale zawsze. Wszystko to umożliwiło nam skuteczną obronę przed wszystkimi niemal zagrożeniami, jeśli nie liczyć działania wysokich temperatur czy pełnej anihilacji, co jednak wymaga zastosowania nowoczesnych technologii. Nasi naturalni wrogowie nie mieli takich możliwości. Dodam jeszcze, że chociaż w każdej chwili potrafimy się upodobnić do noworodka, jak wszyscy umieramy ze starości.

— Niezwykłe — powiedział Gurronsevas. — Przy takich możliwościach pański gatunek nie potrzebował chyba wielu lekarzy?

— Owszem. Sztuka uzdrawiania nie rozwinęła się na moim świecie, gdyż nie była potrzebna. Ja sam nie jestem medykiem. Niemniej przy takich zdolnościach naśladowczych, w których wybijam się nawet wśród moich braci, praca w Szpitalu stała się dla mnie rodzajem wyzwania. Sposób, w jaki ją podjąłem, spowodował, iż przyjaciele zaczęli tytułować mnie doktorem. Chcesz jeszcze o coś spytać?

Gurronsevas poczuł sympatię do tej całkiem obcej istoty, która też wybrała samotność, aby sprostać wyzwaniom zawodowym.

Zastanawiał się nad takim sformułowaniem pytania, by nie urazić Danalty, gdy poczuł lekki zawrót głowy. Rhabwar odszedł już wystarczająco daleko od Szpitala i wykonał skok w nadprzestrzeń. Ekrany pokryły się rozmigotaną szarością.

— Przyjacielu Gurronsevas, twoje milczenie sugeruje, że pytanie, które chciałbyś zadać, jest delikatnej natury — odezwał się Prilicla. — Może dotyczy rozmnażania? Pamiętaj, proszę, że podobnie jak ja, Danalta jest receptywnym empatą. Nie jesteśmy telepatami, ale potrafimy wyczuć, że chcesz o coś spytać, nawet jeśli nie wiemy, co dokładnie masz na myśli.

— Tak, chodzi o coś bardzo dla mnie ważnego — przyznał dietetyk. — Doktorze Danalta, jak się pan odżywia?

Patolog Murchison odchyliła głowę i roześmiała się, przez futro Naydrad przebiegły powolne, długie fale. Prilicla zadrżał w sposób zdradzający rozbawienie. Tylko Danalta zachował powagę.

— Obawiam się, że odpowiedź rozczaruje naczelnego dietetyka — odparł. — Mój gatunek pozbawiony jest zmysłu smaku. Mogę jeść wszystko poza szczególnie twardymi stopami metali. Nieważne, jaką to będzie miało konsystencję czy wygląd. Zdarzyło się już, że wchłaniając pożywienie z otoczenia, wygryzłem dziurę w pokładzie pod sobą, co bardzo zirytowało załogę.

— Znam to uczucie — rzekł Gurronsevas. Podczas gdy obecni na różne sposoby śmiali się ze wspomnianej sytuacji, dietetyk przypomniał sobie słowa Liorena. Ojczulek wyraźnie oświadczył, czego nie wolno mu robić i na czym powinien się skupić. Pod żadnym pozorem nie powinien eksperymentować z ustawieniami pokładowego syntetyzera żywności. Ponadto, znajdując się na małym statku wypełnionym nieliczną załogą złożoną ze specjalistów, dobrze było pamiętać o zasadzie, by w miarę możliwości zyskiwać w nich przyjaciół, nie wrogów. Od chwili pojawienia się zespołu medycznego starał się, jak umiał, umniejszając swoje znaczenie, okazując podziw i ciekawość wobec Danalty. Z czasem chciał to rozciągnąć na pozostałych. Ku swojemu zdumieniu odkrył, że takie zachowanie nie wymagało wielkiego wysiłku, teraz jednak zaczął się zastanawiać, czy nie przesadził i czy nie wydał im się nieszczery. Chociaż może oni też bardzo chcieli się z nim zaprzyjaźnić? Nie wiedział jeszcze, czy uda mu się zachować tak samo wobec innych członków załogi Rhabwara.

Jakby sprowokowany tą myślą ekran komunikacji wewnętrznej rozjarzył się i ukazało się na nim ludzkie popiersie w zielonym mundurze Korpusu Kontroli.

— Mówi kapitan — odezwał się ostrym tonem oficer. — Słuchałem ostatnie kilka minut rozmowy toczącej się na pokładzie medycznym. Doktorze Prilicla, co to tralthańskie nieszczęście robi na moim statku?

Kapitan znajdował się dość daleko od nich, jednak mały empata i tak wyczuł jego rozdrażnienie.

— Na czas misji nasz przyjaciel Gurronsevas został oddelegowany do ekipy medycznej jako doradca — odparł bez wahania. — Jego analizy mogą się okazać przydatne dla wykonania czekającego nas zadania. Nie ma powodu obawiać się o sprawne funkcjonowanie statku, przyjacielu Fletcher. Naczelny dietetyk zostanie zakwaterowany na pokładzie medycznym. Nie wymaga specjalnych przeróbek systemów podtrzymywania życia. Nie opuści też bez wyraźnego zaproszenia pokładu medycznego, tym samym więc nie ma ryzyka, iż zniszczy wyposażenie innych pokładów.

Na chwilę zapadła cisza, lecz Gurronsevas był zbyt zaskoczony i zmieszany słowami Prilicli, aby o cokolwiek spytać.

Często słyszał, że mały empata potrafi w pewnych sytuacjach nie być całkiem szczery. Sam zresztą przyznał on kiedyś, że jest to jeden ze sposobów na zmianę emocjonalnego nastawienia otaczających go istot. Niemniej sugestia, że dietetyk może doradzać zespołowi medycznemu, była nad wyraz niewiarygodna, nawet jako kłamstwo mające poprawić nastawienie kapitana do niespodziewanego gościa. Gurronsevas był poza tym przekonany, że ewentualna poprawa będzie tymczasowa.

— Wyczuwam twoje zdumienie i zaciekawienie, przyjacielu Fletcher — rzekł Prilicla, opanowując drżenie kończyn, co sugerowało, że irytacja kapitana naprawdę zmalała. — Jestem gotów zaspokoić je, gdy tylko trafi się po temu okazja.

— Dobrze, doktorze — stwierdził kapitan. — Obecnie znajdujemy się w nadprzestrzeni. Do układu Wemar powinniśmy dotrzeć za niecałe cztery dni. Statek jest na zaprogramowanym kursie i chyba mamy trochę czasu. Taśmę z koordynatami celu otrzymałem kilka minut przed odlotem. Wraz z nią przekazano mi wstępne materiały dotyczące charakteru misji. Resztę otrzymamy po dotarciu na miejsce. Myślę, że możemy przejrzeć teraz dane, tak by również niemedyczna część załogi wiedziała, co nas czeka.

— Ja na razie nic o tym nie wiem — powiedziała Naydrad, jeżąc futro. — W każdym razie nic poza plotkami, że podobno trzeba było aż trzech tygodni sporów dla podjęcia decyzji, czy Rhabwar w ogóle zostanie wysłany do tej roboty. A gdy się w końcu zdecydowano, wszystkim nagle zaczęło się bardzo spieszyć. Mnie wywołano przez to w połowie...

— Przyjaciółko Naydrad — przerwał jej łagodnie Prilicla — często jest tak, że czas potrzebny na podjęcie decyzji skraca czas pozostały na wykonanie tego, o czym się zdecydowało. Plotki nie były jednak całkiem prawdziwe. Brałem udział w tych dyskusjach. Chociaż cieszymy się reputacją ekipy zdolnej poradzić sobie z każdym problemem, nie byłem wcale pewien, czy Rhabwar może wykonać takie zadanie. Wiele osób w Szpitalu zgadzało się ze mną. Inni, w tym naczelny psycholog, byli odmiennego zdania. Jedynym powodem zachowania sprawy w tajemnicy była obawa przed urażeniem załogi Rhabwara. Publiczne zwątpienie w jej możliwości mogłoby tak właśnie zostać odczytane. A co do pytania, na które tak bardzo chcesz poznać odpowiedź, myślę, że zaczekamy z nim do obejrzenia materiału dotyczącego Wemara. Kapitanie, jeśli jest pan gotowy, prosimy.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

W chwili odkrycia planety, trzy miesiące wcześniej, nie spodziewano się, aby ten świat, zwany przez jego inteligentnych mieszkańców Wemar, mógł sprawić ekipom kontaktowym większe problemy. Owszem, środowisko nie sprzyjało szczególnie życiu, a nieliczni ocalali członkowie dawnej populacji z trudem wygrywali walkę o przetrwanie. Z obserwacji orbitalnych wynikało, że trwa to od prawie czterech stuleci. Wcześniej była tam cywilizacja na tyle zaawansowana, aby wystrzeliwać sztuczne satelity. Odkryto też ślady tymczasowej bazy utworzonej na najbliższej planecie układu.

Na podstawie ogółu danych poczyniono dwa założenia. Pierwsze, że Wemaranie powinni być oswojeni z myślą o innych istotach inteligentnych zamieszkujących Galaktykę i nawet jeśli zaskoczy ich widok czy nagłe pojawienie się obcego statku na orbicie, skłonni będą nawiązać kontakt z przyjaźnie nastawionymi przybyszami. Drugie, iż po udanym nawiązaniu kontaktu przyjmą bez oporów techniczną i materialną pomoc, której tak bardzo potrzebowali.

Oba założenia okazały się błędne. Gdy tubylcy ujrzeli moduły kontaktowe lądujące na gęściej zaludnionych obszarach, ograniczyli się do rzucenia kilku gniewnych zdań i zagrozili, że jeśli przybysze nie wyniosą się natychmiast z układu, ich sondy zostaną zniszczone. Najwyraźniej obawiali się wszystkiego, co było wytworem rozwiniętej techniki, podobnie jak istot umiejących się nią posługiwać. Tylko jedna, odizolowana grupa zawahała się przed zerwaniem kontaktu, niemniej i ona zniszczyła ostatecznie ładownik.

Wydawało się, że Wemaranie są zbyt dumni, aby przyjąć nawet dobrowolnie oferowaną im pomoc.

Nie chcąc ryzykować pogorszenia sytuacji, dowódca pierwszej jednostki kontaktowej zaprzestał wysyłania sond, zignorował jednak żądanie wyniesienia się z układu. Wiedział, że przykuci do powierzchni planety tubylcy nie są w stanie zagrozić jego pozostającemu na orbicie statkowi. Nie przerwał też obserwacji. Krótko potem Wemar został ogłoszony obszarem klęski i skierowano tam Rhabwara, by jego załoga poszukała jakiegoś rozwiązania problemu.

Federacja nie zwykła umywać rąk nawet wtedy, gdy jakaś rasa pragnęła popełnić samobójstwo.

Rhabwar wyszedł z nadprzestrzeni w odległości dziesięciu średnic planetarnych od Wemara. Z tego dystansu planeta wyglądała jak każdy świat, na którym istnieje życie. Dało się rozróżnić smugi chmur i białe spirale cyklonów, spod których wyglądały nieco rozmyte kontury kontynentów i dwie czapy polarne. Dopiero z bliska dostrzegli coś dziwnego.

Mimo obfitości deszczowych chmur roślinność wydawała się ograniczona tylko do wąskiego pasa wkoło równika. Poniżej i powyżej widać było pożółkłe puszcze przechodzące w brunatne plamy tundry i ciągnące się aż ku polarnym lodowcom martwe pustkowia, które nie były pustyniami. Przez teleskopy widać było, że porastające je niegdyś gęste lasy i bujne łąki obumarły albo spłonęły na skutek jakiegoś wielkiego kataklizmu, być może gwałtownych burz o kontynentalnym zasięgu. Nowa roślinność ciągle jeszcze nie mogła się przebić przez pokłady zgnilizny czy popiołów.

Przyglądali się temu z ponurymi minami, gdy na ekranie ukazała się twarz Fletchera.

— Doktorze Prilicla, mamy sygnał od kapitana Williamsona z Tremaara. Mówi, że chociaż nie ma potrzeby, byśmy cumowali do jego statku, chciałby z panem natychmiast rozmawiać.

Dowódca jednostki zwiadowczej Korpusu Kontroli był personą o wiele znaczniejszą niż kapitan statku medycznego. Gurronsevas pomyślał, że widać postanowił właśnie skorzystać z tej przewagi.

— Starszy lekarzu Prilicla — zaczął Williamson bez wstępów — nie chciałbym nikogo urazić, ale nie jestem zadowolony, że przybyliście. Nie podzielam poglądu, że należy dążyć do kontaktu z Wemarem. Powiedziano mi, że nawet jeśli nie pomożecie, na pewno nie zaszkodzicie, ale i tego nie jestem pewien. Z otrzymanych materiałów wiecie już, że jest źle, i jak na razie nic nie wskazuje, aby sytuacja miała się poprawić. Nie przerywamy obserwacji, lecz nie wiemy dokładnie, co się dzieje na powierzchni planety. Trafiliśmy na grupę, może mniej dumną i upartą, a może po prostu bardziej inteligentną, w której niektórzy rozumieją zapewne, ile zyskaliby dzięki naszej pomocy. Jednak i oni zniszczyli sondę i zerwali kontakt. Niemniej sądzę, że jeśli będziemy postępować ostrożnie i nie zrobimy nic, co mogłoby ich urazić, z czasem zapewne sami zdecydują się go nawiązać. Wówczas być może zdołamy skomunikować się przez nich z pozostałymi, mniej otwartymi grupami i tubylcy przyjmą w końcu tak potrzebną im pomoc. — Zaczerpnął głęboko powietrza. — Niezależnie od dobrych intencji załogi Rhabwara obawiam się, że jej nagłe wejście do akcji może unicestwić te nadzieje. Jeśli spróbujecie wylądować na obszarze równikowym, gdzie skupili się tubylcy nastawieni wrogo do rozwiniętych technologii, może się to skończyć zniszczeniem waszego statku i ofiarami wśród załogi. Wysiłki tak małej grupy nie zdołają zmienić sytuacji, chyba że na gorsze...

Gurronsevas słuchał Williamsona i śledził drobne zmiany na jego twarzy. Był to Ziemianin, który pod wieloma względami przypominał naczelnego psychologa O’Marę. Włosy rosnące nad oczami i te wystające spod nakrycia głowy miał tak samo metalicznie szare, nigdy nie odwracał wzroku ani nie mrugał. Każde słowo znamionowało dużą pewność siebie i sugerowało, że człowiek ten przywykł do wydawania rozkazów. W pewien sposób był jednak bardziej uprzejmy niż O’Mara.

Materiały uprzedzały, że mogą oczekiwać mało życzliwego przyjęcia przez ekipę kontaktową, ale to wyglądało na poważną różnicę zdań. Gurronsevas zastanawiał się, czy wstydliwy i nadwrażliwy Prilicla zdoła się przeciwstawić Williamsonowi.

— Niestety — mówił tymczasem oficer — nie mogę nakazać wam powrotu do Szpitala, teoretycznie bowiem macie prawo do podejmowania samodzielnych działań na każdym obszarze, który został dotknięty taką czy inną katastrofą. Ten zaś może niebawem stać się sceną jeszcze bardziej dramatycznych wydarzeń niż dotychczas. Tubylcy są dumną rasą. Wprawdzie ich kultura znacznie podupadła, ale jak to bywa w podobnych wypadkach, zachowali sporo broni. Pod tym jednym względem nie różnią się wiele od swoich przodków, my tymczasem wolelibyśmy uniknąć kolejnego incydentu w rodzaju tego, który zdarzył się na Cromsagu. Dla waszego bezpieczeństwa i dla uniknięcia ofiar, a co za tym idzie wstrząsu, który musiałaby przeżyć kierująca personelem medycznym istota empatyczna, usilnie doradzam wam natychmiastowy powrót do Szpitala. Bardzo proszę potraktować tę radę poważnie, doktorze Prilicla. Proszę też jak najszybciej poinformować mnie o pańskiej decyzji.

Prilicla wisiał nieruchomo przed ekranem i nie zdradzał żadnych oznak zmieszania. Być może dlatego, że dla małego empaty argumenty zawsze były ważniejsze niż ranga wygłaszających je osób.

— Kapitanie, wdzięczny jestem za pańską troskę o bezpieczeństwo naszej załogi i za zrozumienie dla mojej wrażliwości — powiedział w końcu. — Jednak wie pan również, przyjacielu Williamson, że należę do najbardziej kruchych i ostrożnych istot we wszechświecie. Istot, które nigdy nie podejmują ryzyka, jeśli nie uważają, że jest ono naprawdę konieczne.

Oficer skinął niecierpliwie głową.

— Jest pan starszym lekarzem na pokładzie Rhabwara, statku, który brał udział w większej liczbie misji ratunkowych niż jakakolwiek inna jednostka Korpusu — stwierdził. — Może pan mieć rację, dowodząc, że za każdym razem wiązało się to z nieuniknionym ryzykiem, które podejmował pan, mimo że pańskiej rasie brak odwagi. Ale z całym szacunkiem, narażanie się tutaj, na Wemarze, nie jest konieczne. To niemądre działanie, którego można uniknąć.

Prilicla nie zareagował na te słowa. Gurronsevas pojął, że musi się to wiązać ze znaczną odległością dzielącą oba statki. Nawet bardzo wrażliwy Prilicla nie potrafił wyczuć emocji Williamsona przez tysiące mil próżni.

— Najpierw zamierzam rozpoznać sytuację w północnej strefie umiarkowanej, gdzie poziom rozwoju technologicznego oraz warunki życia są o wiele prymitywniejsze, umysły tubylców zaś być może odrobinę bardziej otwarte — oznajmił. — Dopiero potem zdecyduję, czy lądować, czy odwołać misję.

Kapitan Williamson odetchnął wyraźnie, ale nic nie powiedział.

— Jeśli wylądujemy, będę wdzięczny za monitorowanie obszaru i uprzedzanie nas o wrogich akcjach, które mieszkańcy strefy równikowej mogliby podjąć przeciwko Rhabwarowi. Tarcza antymeteorytowa zdoła ochronić nas przed wszystkim, co ta cywilizacja ma do dyspozycji, nie chciałbym jednak wszczynać wojny, nawet obronnej. Wystartowalibyśmy wówczas i oddalili się, by nie dopuścić do podobnego rozwoju wydarzeń. Chętnie wysłucham też wszystkich informacji o tubylcach, które nie znalazły się we wstępnym raporcie. W miarę możliwości jak najszybciej. Najbardziej jesteśmy zainteresowani obszarami o małym albo zgoła zerowym nasyceniu systemami uzbrojenia — dodał. — Istotne jest też, aby była to okolica o wyższym niż przeciętny odsetku dzieci w populacji. Zakładamy, że tutejsi rodzice nie różnią się od innych i też mogą być skłonni zapomnieć o wybujałej dumie, jeśli będą mogli w ten sposób nakarmić potomstwo. Przy właściwym podejściu może uda nam się skłonić ich do przyjęcia pomocy. Gdyby do tego doszło, konieczne byłoby unikanie ostentacji przy jej przekazywaniu.

Williamson odwrócił głowę, aby wydać komuś półgłosem rozkazy, a potem spojrzał znowu w oko kamery.

— Obaj wiemy, że z chwilą lądowania przejmie pan dowodzenie całą operacją. Dobrze zatem. Jak rozumiem, w tym momencie oczekuje pan dostarczania na bieżąco informacji ze zwiadu, ostrzegania o możliwych zagrożeniach i tajnych zrzutów żywności. Zgadzam się. Coś jeszcze?

— Dziękuję, na razie nie, przyjacielu Williamson.

Oficer pokręcił powoli głową.

— Uprzedzano mnie, że próba skłonienia pana do zmiany zdania może przypominać walkę z wiatrem: wielki wysiłek o znikomych rezultatach. Powiedziałem wszystko, co tylko mogłem, aby pana przekonać. To były dobre rady, starszy lekarzu. Nie mogę zmusić pana do ich przyjęcia, ale... naprawdę uważaj, przyjacielu.

Nim Prilicla zdążył odpowiedzieć, twarz Williamsona zniknęła z ekranu. Zamiast niego pojawił się kapitan Fletcher.

— Tremaar przesyła już uzupełnienia, o które pan prosił — rzekł. — Jego oficer łączności poinformował mnie, że materiały zawierają wyraźne zbliżenia dorosłych i młodych tubylców, dane ich systemów obronnych oraz domysły na temat struktury społecznej i zwyczajów. Nie są to materiały oficjalne, raczej wstępne analizy. Gdy tylko będę miał całość, przekażę ją na wasz monitor. Tymczasem Rhabwar zbliży się do planety. Za trzydzieści dwie godziny i dwie minuty wejdziemy w atmosferę.

— Dziękuję, przyjacielu Fletcher — odparł empata. — To da nam wiele czasu na zapoznanie się ze wszystkimi informacjami.

— Albo i czas na zmianę decyzji co do lądowania — dodała Naydrad.

Murchison zaśmiała się cicho.

— Nie sądzę. To byłoby nazbyt rozsądne działanie.

Kilka minut później na głównym ekranie ukazały się przesłane materiały. Zerkający na nie podczas rozmowy Gurronsevas poczuł się jak niewidzialny obserwator pośród obcych.

Co dziwne, to Fletcher pierwszy stwierdził, że przy całym szacunku dla kolegi z Tremaara, uważa zagrożenie ciężką bronią Wemaran za grubą przesadę. Widział jedynie egzemplarze stare, mocno skorodowane i nie noszące śladów niedawnego użycia. Ich stanowiska i centra kierowania ogniem porosły zielskiem i zostały w znacznym stopniu zrujnowane przez wiatry i deszcze. Działa dalekiego zasięgu, które w założeniu konstruktorów miały miotać lite lub eksplodujące pociski wyrzucane z lufy ciśnieniem gazów powstałych w trakcie gwałtownych reakcji chemicznych, byłyby zapewne obecnie groźniejsze dla samych artylerzystów niż dla ich potencjalnych ofiar. Owszem, należało się liczyć z tym, że tubylcy mają jeszcze inną, nadającą się do użytku broń ukrytą w budynkach albo w podziemnych arsenałach, gdzie nie sposób było zajrzeć, jednak wydawało się to mało prawdopodobne.

— Podstawą dla takiego sądu są obserwacje młodych Wemaran — powiedział. — Jak wszystkie podrostki, bawią się chętnie w myśliwych i żołnierzy. Używają jednak przy tym zabawek w rodzaju małych włóczni, łuków i strzał, całkiem oczywiście niegroźnych. Nie wydaje się, by którykolwiek z nich celował z czegoś przypominającego broń palną i krzyczał „bum”. Wątpię zatem, aby tego typu broń była powszechnie używana przez ich rodziców. Poza tym, jak zauważyłem, tubylcy są obecnie tak nieliczni, że nie mogą obsadzić należycie murów ufortyfikowanych wiosek. Skłonny jestem sądzić, że pierwotnie umocnienia te powstały dla odstraszenia napastników szukających mięsa. Obecnie wszakże ocalałe osady są tak bardzo rozrzucone, a zasoby zwierzyny tak skromne, że nikt nie może przedsięwziąć wyprawy na większą odległość. Wojownicy umarliby z głodu przed dotarciem do celu. Przypuszczam, że kapitan Williamson miał nadzieję, iż zawierzymy jego słowom i nie spróbujemy sami dowiedzieć się czegokolwiek o planecie. Myślę, że tubylcy nie stanowią zagrożenia. Nie rozumiem tylko, dlaczego mimo groźby zagłady z braku żywności nadal są tak wybredni w kwestii pokarmu.

— Dziękuję, przyjacielu Fletcher — rzekł Prilicla. — Twoje słowa dodały nam pewności siebie. Sami też zadajemy sobie to pytanie. Przyjacielu Danalta, czuję, że chcesz coś powiedzieć.

Zmiennokształtny, który przybrał akurat postać wzgórka zielonej materii, ponownie utworzył w swej powłoce usta.

— Zauważyłem, że głód potrafi sprawić, iż cywilizowane istoty zaczynają się zachowywać w wysoce niecywilizowany sposób, szczególnie gdy mają ograniczoną dietę. Szczęśliwie mój gatunek przetrwał i rozwinął się, jedząc wszystko i wszystkich, którzy nie próbowali zjeść nas. Ale czy w ich przypadku jesteśmy w stanie ustalić powód tego ograniczenia? Czy chodzi o tradycję, czy może o uwarunkowanie religijne zrodzone we wcześniejszych fazach rozwoju? A może to kwestia ich szczególnego metabolizmu?

— Nie odkryliśmy dotąd żadnych miejsc pochówku — oznajmił Fletcher. — Kultywowanie pamięci o zmarłych sugeruje wiarę w życie po śmierci, więc w ich przypadku skłonny jestem sądzić, że nie są religijni.

— Dziękuję, doktorze — powiedziała Murchison. Podeszła do konsoli i cofnęła nagranie, aby zatrzymać je na pierwszym z wielu obrazów tubylców. — Należą do typu fizjologicznego DHCG. Tym spośród nas, którzy nie są lekarzami, wyjaśniam, że oznacza to istoty ciepłokrwiste tlenodyszne o masie ciała prawie trzykrotnie większej niż u przeciętnego Ziemianina. Ciążenie na planecie wynosi jeden przecinek trzy g, zatem zdrowy osobnik tego gatunku jest całkiem solidnie umięśniony...

Gurronsevasowi przypominali rzadkie ziemskie zwierzęta, które widział kiedyś w filmie. Nazywały się kangury. Różnice sprowadzały się do innego kształtu głowy, która była też większa, z otworem gębowym wyposażonym w garnitur groźnych zębów. Dwie krótkie przednie kończyny miały po sześć palców, z dwoma przeciwstawnymi kciukami każda. Ogon był masywniejszy i kończył się szerokim, trójkątnym spłaszczeniem. Murchison wyjaśniła, że tworzy go rdzeń z kości obudowany grubą pokrywą mięśni. Był jednocześnie naturalną bronią, dodatkową kończyną przydatną przy szybkim poruszaniu się oraz nosidłem, na którym transportowano młode nie potrafiące jeszcze chodzić.

Ujrzeli wzruszający obraz dwóch dorosłych osobników — Gurronsevas nie potrafił określić ich płci — ciągnących na ogonach dwoje popiskujących ze szczęścia młodych. Potem ukazała się mniej radosna sekwencja polowania. Przyjmowali podczas niego dziwaczną, zdawałoby się, pozycję ze złożonymi przednimi kończynami, policzkami przytulonymi do ziemi i szeroko rozstawionymi długimi nogami. Umożliwiało to podwinięcie pod siebie ogona i umieszczenie jego szerokiego zakończenia dokładnie w środku ciężkości. Wyprostowany gwałtownie potrafił wyrzucić istotę na pięć lub sześć długości ciała do przodu.

Jeśli myśliwemu nie udało się wylądować wprost na ofierze i pozbawić jej przytomności kopnięciem, następnie zaś życia przez przegryzienie karku i biegnących tamtędy nerwów, łowca obracał się gwałtownie na jednej nodze i uderzał końcem ogona niczym toporem.

— Wprawdzie ogon jest bardzo giętki, jeśli chodzi o przemieszczanie go do przodu i w dół, ale nie daje się unieść powyżej pleców. Na szczegółowy opis przyjdzie nam poczekać, aż będziemy mogli przeprowadzić pierwszy skan, lecz nawet zewnętrzna struktura sugeruje, że próba zgięcia ogona w kierunku karku musiałaby się zakończyć poważnym uszkodzeniem muskulatury oraz kręgosłupa. Tym samym plecy są jedynym miejscem wrażliwym na atak naturalnych wrogów, którzy i tak muszą działać z zaskoczenia, jeśli sami nie mają się stać ofiarami.

Na ekranie pojawił się przelotnie czworonóg o tak ciemnej sierści, że ledwie dawało się dojrzeć cokolwiek poza pełną długich zębów paszczą i jeszcze dłuższymi pazurami. Zwierzę skoczyło na Wemaranina z gałęzi. Wczepiwszy pazury głęboko w jego plecy, wbiło zębiska w bok szyi. Tubylec skakał rozpaczliwie, usiłując zrzucić napastnika, aby dosięgnąć go ogonem. Czy przez przypadek, czy świadomie, jeden z tych skoków istota wykonała pod nisko zwieszającą się gałęzią i zgniotła drapieżnika z taką siłą, że aż krew i kawałki organów wewnętrznych trysnęły mu z paszczy. Oba stworzenia upadły na ziemię, gdzie według słów Murchison, kilka chwil później zakończyły życie.

Gurronsevas odwrócił oczy i spojrzał w iluminator. Zrobiło mu się niedobrze.

— To zwierzę o czarnym futrze to zapewne najgroźniejszy z tamtejszych drapieżników i równocześnie obiekt polowań tubylców, którzy cenią jego mięso. Najwyraźniej sprawa jest prosta: albo zjesz, albo zostaniesz zjedzony. Ale dość melodramatycznych opowieści. Chodzi o to, byśmy zdawali sobie sprawę, jak bardzo niebezpieczne potrafią być formy życia, które spotkamy na Wemarze, tak inteligentne, jak i zwierzęce. Chcę też zwrócić wam uwagę na pewien szczegół anatomiczny. Jak wspomniałam, pewności jeszcze nie mamy, ale na podstawie obserwacji możemy uznać, że...

Z dalszego ciągu Gurronsevas nie zrozumiał zbyt wiele, tyle było tam medycznych terminów, jednak podsumowanie okazało się całkiem jasne.

— Nie ma zatem wątpliwości, że Wemaranie wyewoluowali ze stworzeń wszystkożernych i że powinni tacy pozostać. Nic nie wskazuje, aby mieli wielokomorowy żołądek charakterystyczny dla roślinożerców. Ich układ pokarmowy nie wygląda na wąsko wyspecjalizowany, co różni go od naszych. Z wyjątkiem Danalty, rzecz jasna. Widywano młodych tubylców spożywających pokarm zarówno zwierzęcego, jak i roślinnego pochodzenia, lecz procent tkanek zwierzęcych w diecie zwiększa się w miarę dorastania. U istot inteligentnych taka przemiana sugeruje, że chodzi raczej o zwyczaj niż konieczność. Być może w przeszłości istniały jakieś racjonalne przesłanki tego procesu, przesłanki o charakterze środowiskowym albo społecznym, jednak w obecnych czasach nie wydaje się on uzasadniony. Jeśli nie uda się skłonić Wemaran do zmiany zwyczajów żywieniowych, naturalne zasoby zwierzyny niebawem się wyczerpią, oni sami zaś wymrą z głodu. Wymrą jako myśliwi, chociaż jako rolnicy mogliby przetrwać. — Murchison zamilkła, wciąż poważna i przejęta, i spojrzała na pozostałych. — Musimy przekonać jakoś całą planetę mięsożerców, aby zostali wegetarianami.

Zapadła dłuższa cisza. Patolog nie poruszyła się, podobnie jak Danalta, lecz Prilicla aż drżał od napięcia innych, futro Naydrad zaś falowało niczym morze podczas sztormu.

— Czy to dlatego wzięliśmy ze sobą Gurronsevasa? — spytała w końcu Kelgianka.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Rhabwar leciał prędkością poddźwiękową w kierunku wskazanej przez Williamsona osady. Leżała w północnej strefie umiarkowanej i podczas wcześniejszych prób nawiązania kontaktu jej mieszkańcy nie okazywali tak wielkiej wrogości jak pozostałe osiedla. Gurronsevas miał okazję spojrzeć własnymi oczami na sporą połać planety. Fletcher jednak nie dlatego zdecydował się na powolny dolot na niskim pułapie. Przede wszystkim chciał uniknąć powitania tubylców gromem, który towarzyszyłby przekroczeniu bariery dźwięku.

To, czego nie było widać z orbity, teraz ukazywało się ze wszystkimi szczegółami. Pod nimi ciągnęły się pasma niskich, porośniętych lasem wzgórz. Ich zbocza pokrywał zielony dywan ze smugami żółci i brązu. Dalej ujrzeli płaskie, nakrapiane brunatno łąki. Na innym świecie barwy przyrody zależałyby od pory roku, ale nie tutaj. Oś obrotu Wemara była prostopadła do płaszczyzny orbity.

Tylko raz przelecieli nad wąskim pasem poczerniałej ziemi. Mógł to być ślad po trafieniu pioruna albo skutek czyjejś beztroski. Często trafiali na ruiny miast, które wznosiły się ku niebu niczym ślady dawno zaschłych wrzodów. Ulice i budynki porastały gęsto żółtawe krzaki, których nikt nie wyrywał. Gurronsevasowi ulżyło, gdy kapitan przerwał w pewnej chwili tę procesję widmowych obrazów.

— Tu mostek. Za piętnaście minut będziemy nad celem, doktorze.

— Dziękuję, przyjacielu Fletcher. Proszę utrzymać obecny pułap i okrążyć miejsce, aby mogli nas zauważyć i nie byli za bardzo zaskoczeni. W trakcie przelotu proszę zrzucić boję z dwustronnym komunikatorem i autotranslatorem. Niech opadnie tuż obok szczątków poprzedniej. Może zasugeruje im to, że jesteśmy nie tyle rozrzutni, ile wytrwali i skłonni do wybaczania. Lądować chciałbym jeszcze za dnia, możliwie blisko, ale nie na tyle, aby uznali nas za bezpośrednie zagrożenie.

— Jaki poziom zabezpieczeń, doktorze?

— Osłonę antymeteorytową proszę ustawić na minimalną moc i tylko na odpychanie. Najlepiej niezbyt daleko od statku, żeby nie wpadali na nią przypadkiem. O indywidualnych procedurach bezpieczeństwa porozmawiamy przed opuszczeniem statku.

Osada składała się z kilku drewnianych domów i kopalni. Wejście do niej otwierało się u stóp klifu. Mogła sięgać dość wysoko ponad dno biegnącej z północy na południe doliny, której zbocza były tak strome, że blask słońca musiał docierać do osady tylko kilka godzin dziennie. Roślinność wyglądała tu tak samo zdrowo jak na równiku. Nie było pól uprawnych, ale gdzieniegdzie zieleniły się ogrody. Poza głównym szybem kopalni w zboczu widniały jeszcze trzy mniejsze otwory, lecz trudno było ocenić, jak głęboko ciągną się podziemne korytarze i ile istot może w nich mieszkać.

Dla lepszego efektu włączyli reflektory. Biały kadłub i deltoidalne skrzydła zajaśniały nad wejściem do kopalni niczym małe, trójkątne słońce. Wprawdzie widoczne dobrze dzięki temu symbole — ziemski czerwony krzyż, illensańskie słońce wychodzące zza chmur, żółty liść Tralthy i wiele innych — nic nie mówiły tubylcom, ale to mogło się szybko zmienić.

Z głośnika zrzuconej chwilę wcześniej boi płynął potok słów, ale — jak się zdawało — nie robił na nikim wrażenia.

— Nie przejmuj się, przyjacielu Gurronsevas — rzekł Prilicla. — Wyczuwam, że większość z nich jest zaciekawiona, chociaż niektórzy jeszcze się wahają. Ich emocje są wciąż bardzo słabe, prawie na granicy moich...

— Zgadza się, doktorze — odezwał się z mostka Fletcher. — Widzimy sporą grupę tubylców wyłaniających się z podziemnych korytarzy. Stoją w ciemności niedaleko wyjścia. Są zbyt stłoczeni, aby ocenić, ilu ich jest i w jakim są wieku, ale szacuję, że zebrała się już co najmniej setka. Nie mają żadnych narzędzi, nie wykrywamy też obecności metalu czy broni. Trzech, pewnie ci najostrożniejsi, o których mówiłeś, stanęło im na drodze i chyba próbują powstrzymać resztę przed wyjściem. Jakie rozkazy?

— Na razie żadne, przyjacielu Fletcher. Poczekajmy, aż się zbiorą. Pozostańmy na nasłuchu.

Wszyscy stali, siedzieli lub polatywali wokół ekranu ukazującego ciemny wylot tunelu. Boja nadawała nieustannie przygotowaną wcześniej przemowę. Głos brzmiał głośno i wyraźnie. Nawet powracające od ścian urwiska echo nie zniekształcało słów. Po półgodzinie Gurronsevas musiał przyznać, że dawno nie słyszał czegoś równie nudnego.

„Jesteśmy przyjaciółmi i nie chcemy was skrzywdzić. Nasz statek może wydać wam się dziwny i napełniać lękiem, ale mamy pokojowe zamiary. Przybyliśmy, by wam pomóc, szczególnie waszym dzieciom, jeśli nam pozwolicie. Jesteśmy inni niż nasi poprzednicy. Mamy tylko mały statek z zapasami dla załogi, nie będziemy więc was obrażać ofiarowywaniem jedzenia, dopóki sami go nie zechcecie. Nie wiemy, czy możemy wam pomóc. Chcielibyśmy jednak porozmawiać i dowiedzieć się o was jak najwięcej, aby zrozumieć, jak mogłaby wyglądać udzielana wam pomoc. Jesteśmy przyjaciółmi i nie chcemy...”

— Doktorze, podczas gdy tak czekamy, chciałbym o coś spytać — odezwał się coraz bardziej znudzony Gurronsevas. — Wcześniej padła sugestia, że dołączyłem do zespołu jako doradca do spraw żywienia. Wprawdzie nastąpiło to bez mojej wiedzy i zgody, ale skoro dzięki temu nie jestem już ukrywającym się przed władzami Szpitala pasażerem na gapę, chciałbym wiedzieć, czy to O’Mara mnie wysłał.

Prilicla nie odpowiedział od razu. Zadrżał lekko, jednak dietetyk nie odniósł wrażenia, że był to skutek jego ciekawości czy lekkiej irytacji. Mogło chodzić o emocje kogoś całkiem innego. Możliwe też, że mały empata przygotowywał się w ten sposób do wygłoszenia nieprawdy, co zawsze było dla niego bardzo niemiłym zadaniem.

— Przyjaciel O’Mara wyraża wiele złożonych emocji — odparł w końcu. — Ilekroć wspomina o tobie, wyczuwam aprobatę połączoną z irytacją oraz pragnieniem, by ci pomóc. Jednak nie jestem telepatą i nie potrafię czytać w myślach. Jeśli przyjaciel O’Mara postanowił, żebyś dołączył do nas na czas wyprawy...

— To musiał być naprawdę zdesperowany — dokończyła za niego Naydrad. — Patrzcie, wychodzą!

Wemaranie wylewali się z tunelu na otwartą przestrzeń niczym woda z węża po odkręceniu kurka. Biegli, odbijając się ogonami, i wydawali trudne do rozpoznania dźwięki. Zmierzali w kierunku Rhabwara. Poza trzema dorosłymi, którzy stali teraz obok wylotu tunelu, wszyscy byli młodzi. Niektórzy nawet tak młodzi i niezgrabni, że upadali, ile razy chcieli użyć w biegu ogona. Niemniej nie powstrzymywało ich to i szybko dołączali do pokrzykujących i okrążających statek tuż przed osłoną przyjaciół. Murchison roześmiała się nagle.

— Tylko łuków i tomahawków im brakuje — powiedziała.

— Ja zaś mam wrażenie, że są bardzo zaciekawieni i podekscytowani. Hałasują jak większość dzieci w podobnych sytuacjach. Nie stanowią zagrożenia.

— Przepraszam, żartowałam — wyjaśniła Murchison. — Skojarzyli mi się z pewnym obrazem z historii Ziemi. Analogia jest nazbyt złożona i mało śmieszna, aby ją wyjaśniać. Ale dorośli też podchodzą. Przynajmniej dwóch.

Zbliżali się wolniej i jakby ostrożniej niż dzieci. Nie mieli broni, tylko jeden z nich niósł drewnianą laskę. Dwóch posuwało się na ogonach, przystając na krótko po każdym skoku. Trzeci podchodził jeszcze wolniej, jedynie na tylnych kończynach i podpierając się laską.

— Wydają się dość słabi — zauważyła Murchison, wypowiadając myśl, która również Gurronsevasowi przyszła do głowy. — Poruszają się ostrożnie, w sposób charakterystyczny dla osobników starych, niekoniecznie jednak chorych. Cała trójka to samice i... Patrzcie, ta z laską idzie na komunikator!

— Podzielam te odczucia, przyjaciółko Murchison — odezwał się Prilicla. — Jednak twoja nie wypowiedziana obawa, że laska ma zostać użyta do zniszczenia komunikatora, wydaje mi się bezzasadna. Starsza Wemaranka emanuje wprost zaciekawieniem. Może jest też lekko zdenerwowana, ale nie pragnie niczego rozbijać.

— Do tego potrzebowałaby zresztą czegoś więcej niż zwykły kij — zauważył kapitan.

— Zgadza się, przyjacielu Fletcher. Gdy tylko podejdzie, wyłącz nagranie i ustaw urządzenie na łączność dwustronną. Wydaje mi się, że ona chce z nami porozmawiać.

— O ile pamiętam, twoje wrażenia z reguły są trafne — odezwał się milczący od dłuższego czasu Danalta. — Poza szczególnymi przypadkami...

Tłum młodzieży na zewnątrz zmęczył się już chyba trochę, ale nie przycichł. Tyle że zamiast skakać, dzieciarnia podzieliła się na małe grupki i napierała na prawie niewidzialną barierę. Niektórzy nawet kładli się na niej pod kątem czterdziestu pięciu stopni i krzyczeli z radości, gdy się nie przewracali. Najodważniejsi uderzali z rozpędu, by z radosnym wrzaskiem dać się odrzucić. Dorośli, którzy dołączyli tymczasem do młodych, stali i rozmawiali cicho, jednak powszechny zgiełk nie pozwalał wyłowić ich słów. Trzecia istota przystanęła przy komunikatorze, który natychmiast umilkł.

— Wreszcie upragniona cisza — powiedziała Wemaranka bez śladu nieśmiałości. — Myślicie, że jesteśmy głusi? Albo na tyle tępi, że trzeba nam bez końca powtarzać to samo? Naprawdę uważacie, że podobne zapewnienia działają tym lepiej, im głośniej zostaną wykrzyczane? Po istotach przybyłych z gwiazd spodziewałabym się więcej rozumu. Czy ta głupia maszyna potrafi nie tylko wydzierać się, ale i słuchać? Czego od nas chcecie?

— Zredukowałem głośność do jednej trzeciej — powiedział cicho kapitan. — Dalej, doktorze.

— Dziękuję — rzekł Prilicla, podpłynął do komunikatora i włączył nadawanie. — Przepraszamy, że nasze urządzenie narobiło tyle hałasu. Nie zamierzaliśmy nikogo urazić ani zasugerować, że jesteście głusi czy ograniczeni. Chcieliśmy tylko, by słyszano nas na dużym obszarze. Chcemy porozmawiać z tobą i twoimi przyjaciółmi i dowiedzieć się, czy moglibyśmy wam jakoś pomóc. Jesteście dla nas obcy, tak jak my wydamy się obcy wam, gdy nas zobaczycie. Opowiemy wam o sobie i chcemy prosić, abyście wy opowiedzieli nam o swoim życiu. O ile nie ma żadnych przeciwwskazań i nie wzbraniasz się przed rozmową z obcym, najpierw chciałbym cię spytać o twoje imię. Ja nazywam się Prilicla i jestem uzdrawiaczem.

— Dziwne imię — stwierdziła Wemaranka. — Brzmi jak grzechotanie garści kamieni. Ja jestem Tawsar, pierwsza nauczycielka. Uzdrawianie i rozmnażanie się zostawiłam innym. Jakie jest twoje drugie pytanie?

— Czy młodzi są tutaj bezpieczni? Jesteśmy dość daleko od tuneli. Z naszej strony nic im nie grozi, ale niebawem zrobi się ciemno. Nie napadnie ich żaden drapieżnik?

Gurronsevasa zdziwiło to pytanie. Przecież na pewno jest całe mnóstwo istotniejszych spraw, które należałoby wyjaśnić, pomyślał. Jednak po chwili zrozumiał. Prilicla wyrażał troskę o dzieci, co było dobitniejszym znakiem przyjacielskich zamiarów niż wszelkie deklaracje.

— Mamy zwyczaj wypuszczać codziennie dzieciaki na kilka godzin. Zwykle wtedy, gdy słońce się już schowa. Inaczej mogłyby się nabawić chorób skóry albo mieć kiedyś kłopoty z posiadaniem potomstwa. Poza tym, jak sobie pobiegają, nie hałasują tak potem w salach i wszyscy mamy szansę zasnąć. W kopalni nie mogą biegać na ogonach, co dla takich młodych jest dość nienaturalne. Jednak żadne drapieżniki im tu nie grożą, bo dawno już wszystkie wytępiliśmy, tak wielkie i groźne, jak i małe gryzonie. Wasz statek jest dla nich czymś nowym. I dobrze, bo tym bardziej się zmęczą. Jak długo zostaniecie?

To szkoła, pomyślał Gurronsevas. Idealne miejsce do znalezienia wielu ciekawych świata i otwartych umysłów. Zespół medyczny wyraźnie podzielał jego radość.

— Jak długo nam pozwolicie — odparł pospiesznie Prilicla. — Chcielibyśmy jednak spotkać się z wami osobiście. Czy to możliwe?

Tawsar zastanawiała się kilka chwil.

— Nie powinniśmy tracić czasu na rozmowy z wami. Nasze postępowanie stanie się przedmiotem powszechnej krytyki. Ale nieważne. Jesteśmy już zbyt stare, aby się przejmować. I nazbyt was ciekawe. Musicie jednak odlecieć przed powrotem myśliwych. To musicie mi obiecać.

— Obiecujemy — rzekł Prilicla i nikt na pokładzie nie wątpił, że obietnica ta zostanie dotrzymana. — Ale gdy się wam pokażemy, reakcje mogą być rozmaite. Fizycznie bardzo się różnimy od Wemaran. Młodzieży, a może nawet wam, możemy się wydać straszni albo odrażający.

Tawsar wydała kilka dźwięków, które mogły oznaczać śmiech.

— Nie widzieliśmy pasażerów tamtego statku, ale opisali nam siebie. To były dziwne, wyprostowane istoty bez ogonów, niektóre całe okryte futrem, inne z futrem tylko na głowie. Jednak tamci chcieli zmieniać nasze życie, więc myśliwi zniszczyli ich gadające urządzenie. Co do straszenia dzieci, to nie sądzę, byście zdołali pokazać coś straszniejszego niż potwory, którymi ich wyobraźnia już zasiedliła wasz statek. Ale po namyśle proponuję, żebyście nie pokazywali się teraz. Młodzi mają dość wrażeń na dzisiaj. Jak was zobaczą, trudno będzie zagonić ich do środka, o zaśnięciu nie wspominając. Skoro zostaniecie trochę, lepiej i bezpieczniej będzie, jeśli przedstawicie się w czasie lekcji.

— To nie całkiem tak, Tawsar — powiedział Prilicla. — Istoty, które opisałaś, to Orligianie i Ziemianie. Tych drugich mamy na pokładzie pięciu, to stworzenia z futrem tylko na głowie. Pozostała czwórka wygląda jeszcze dziwniej. Jeden jest Tralthańczykiem, istotą o sześciu nogach i masie ciała trzy razy większej niż u przeciętnego Wemaranina. Jest też Kelgianka o połowę lżejsza i niższa niż ty, ale mająca dwadzieścia par nóg i pokryta srebrzystym falującym futrem. Mamy również zmiennokształtnego, który może wyglądać, jak tylko chce, zależnie od sytuacji groźnie albo przyjaźnie. No i jest wielki latający owad, czyli ja. Jeśli sądzisz, że spotkanie z którąś z tych istot może być dla ciebie przykre, zostanie ona na statku.

— Ten zmiennokształtny... To istota z naszych bajek opowiadanych bardzo małym dzieciom. Dorośli nie wierzą w podobne rzeczy.

Empata nie odpowiedział, by nie powiększać przyszłego zakłopotania Tawsar. Danalta zaś przybrał postać niedużej, wiekowej Wemaranki.

— Bez komentarza — rzekł cicho.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Wcześnie rano, gdy wschodzące słońce rozjaśniło szczyt urwiska, a wejście do kopalni pogrążone było jeszcze w cieniu, Tawsar zjawiła się przed połyskującą tarczą statku. Za nią nadeszło kilka grup po dwadzieścioro, trzydzieścioro dzieci. Każdą prowadził jeden dorosły osobnik. Zajęły miejsca w różnych zakątkach doliny i rozpoczęły się lekcje.

Załoga Rhabwara doszła tymczasem do wniosku, że ta osada Wemaran musi pełnić funkcję czegoś pomiędzy szkołą a domem opieki dla dzieci osieroconych lub takich, których rodzice wyruszyli na dłuższe polowanie. Czy domysł był trafny, miało się okazać podczas spotkania z Tawsar.

Wszyscy pamiętali, z jakim trudem starsza Wemaranka stawiała kroki, nikt nie zdziwił się zatem, gdy Prilicla polecił przygotować samobieżne nosze na poduszce antygrawitacyjnej. Zespół medyczny nie miał wiele do dźwigania, ale dobrze byłoby przekonać Tawsar, aby pozwoliła się podwieźć. Dłuższe i bez wątpienia bolesne spacery byłyby utrapieniem nie tylko dla niej, ale i dla wyczuwającego jej cierpienie Prilicli.

Mały empata pierwszy pojawił się przy wyjściu i wzleciał nad rampę, podczas gdy Murchison, Naydrad, Danalta i Gurronsevas zeszli na ziemię i ruszyli przez tarczę antymeteorytową, która nie stawiała oporu, gdy coś próbowało przeniknąć przez nią od środka na zewnątrz. Dietetyk nie został zaproszony na wyprawę, ale też nikt nie zabronił mu iść, a po długim pobycie w ciasnym statku bardziej niż kiedykolwiek potrzebował ruchu.

Gdy stanęli półkolem przed Tawsar, Wemaranka bez słowa przyjrzała im się po kolei. Prilicla wyczuwał w niej mnóstwo rozmaitych emocji, nie było jednak obawy. Celowo nie otoczyli jej, aby nie miała wrażenia, że odcinają jej drogę do kopalni. Mieniące się skrzydła Prilicli biły wolno powietrze, futro Naydrad falowało niczym srebrzyste morze, Murchison uśmiechała się i tylko Gurronsevas stał nieruchomo. Danalta upodobnił się najpierw do Kelgianki, potem odtworzył wiernie postać Murchison, następnie zaś powrócił do swojego kształtu, czyli zielonej bryły z jednym okiem, jednym uchem i ustami. Ostatecznie to Tawsar przerwała milczenie.

— Widzę cię, ale ciągle nie wierzę, że istniejesz — powiedziała, spoglądając na zmiennokształtnego. Potem uniosła oczy na Priliclę. — Nie lubię owadów, czy latających, czy pełzających, ale ty jesteś piękny!

— Dziękuję, przyjaciółko Tawsar — rzekł Prilicla, drżąc lekko od przyjemnych wrażeń. — Dobrze zniosłaś nasz widok i mam wrażenie, że się nas nie boisz. Ale co z pozostałymi dorosłymi i dziećmi?

— Powiedziano im, że jesteście paskudni, przerażający i bardzo do nas niepodobni. Pamiętają, jak wasi przyjaciele chcieli się mieszać do naszych zwyczajów i wierzeń i próbowali mówić nam, co mamy jeść i co robić ze światłem, które powoduje gnicie wszelkiej rzeczy. Chcieli nawet zajrzeć do naszych żywych ciał i robić to, co wolno tylko najbliższym. Wy nas nie przerażacie, ale nie w tym problem. Wasi poprzednicy doprowadzili nas do pasji. Nie pragniemy wizyt takich gości. Wiemy jednak, że wy nie chcecie rozmyślnie wyrządzić nam krzywdy. Czy wiedząc już, co czuję, nadal zamierzasz nazywać mnie przyjaciółką?

— Tak — odparł Prilicla. — Ale ty nie musisz się tak do mnie zwracać, jeśli nie zapragniesz.

Tawsar aż gwizdnęła.

— Tak długo to ja raczej nie pożyję. Jednak mamy wiele do obejrzenia i całe mnóstwo pytań przed sobą. Od czego chcecie zacząć, od kopalni czy doliny?

— Kopalnia jest bliżej — stwierdził Prilicla. — Nie będziesz też musiała tyle chodzić. Gdybyś zaś zechciała skorzystać z naszego pojazdu, nie musiałabyś chodzić wcale.

— Ale... ale to w ogóle nie spoczywa na ziemi — powiedziała niepewnie Tawsar. W jej duszy wyraźnie trwała walka między obawą przed czymś całkiem nowym a chęcią ulżenia wiekowym nogom. — Ale z drugiej strony, chyba jest całkiem solidne...

Musieli poczekać kilka minut, aż mamrocząca pod nosem Wemaranka wsiadła. Naydrad skierowała nosze w stronę kopalni. Popłynęły powoli, w tempie marszu.

— Ja... ja lecę! — powiedziała Tawsar. Niewątpliwie miała rację. Tyle że lot odbywał się na wysokości około dziesięciu cali.

W zestawach słuchawkowych słyszeli Fletchera meldującego nieustannie o wynikach obserwacji poszczególnych grup młodzieży w dolinie. Większość wykopywała w niższych partiach stoków jakieś rośliny, trzy zaś wydawały się zajęte ćwiczeniami z kuszami, katapultami oraz włóczniami i sieciami obszytymi ciężarkami. Włócznie były tępe i prymitywnie wykonane, z pogrubionymi uchwytami pośrodku, tak że mogły służyć zarówno do rzucania, jak i do walki z użyciem obu rąk. Ale były zapewne trochę za ciężkie dla dzieci.

— To nie tylko zabawa — twierdził kapitan. — Raczej bardziej trening. Najstarsze dzieci mają chyba broń z metalowymi grotami, nie widzimy dokładnie z tej odległości. Jeśli cokolwiek pójdzie nie tak z Tawsar, odetną wam drogę powrotną do statku.

Prilicla odpowiedział dopiero, gdy dotarli do wejścia do kopalni. Gurronsevas miał wrażenie, że mały empata chciał uspokoić zarówno kapitana, jak i resztę zespołu.

— Emocjonalna aura dorosłych i dzieci, którzy otoczyli nas wczoraj, pozbawiona była śladów wrogości, szczególnie wrogości zamaskowanej pozorami przyjaznego nastawienia. Chociaż ostatecznie postanowili nie zaprzyjaźniać się z nami, nadal nie ma w nich dość niechęci, aby skłonni byli zachować się wobec nas agresywnie. Tawsar panuje nad swą niechęcią albo co najmniej ją ignoruje, zresztą znacznie silniejsza jest w niej ciekawość. Trudno mi wyrazić to dokładnie, ale sądzę, że czegoś od nas chce. Dopóki nie dowiemy się, o co chodzi, na pewno nic nam nie grozi. Poza tym jest z nami przyjaciel Danalta, który potrafi przybrać dowolną groźną postać i chyba skutecznie nastraszyć dzieci w razie potrzeby, oraz dietetyk o niemal nieprzebijalnej skórze i potężnych muskułach.

— Doktorze, to pierwszy kontakt — odezwał się kapitan. — Nie możemy wykluczyć, że któreś z was zrobi albo powie niechcący coś, co drastycznie zmieni nastawienie Tawsar do całej grupy. Może lepiej rozmawiać z nią na otwartej przestrzeni, gdzie będziemy mogli was obserwować i w razie czego ściągnąć wiązką? Obawiam się trochę waszej wizyty w kopalni.

Stanęli przy ciemnym wylocie tunelu i nosze opadły łagodnie na ziemię. Tawsar spojrzała nagle na Priliclę i powiedziała:

— Obawiam się trochę waszej wizyty w kopalni.

Danalta wzdrygnął się.

— W tak głębokich dolinach echo to rzecz zwyczajna — mruknął półgłosem.

Prilicla go zignorował.

— Dlaczego, przyjaciółko Tawsar?

Wemaranka spojrzała na nich po kolei i ponownie zwróciła się ku empacie.

— Nie wiem nic o was i o waszych zwyczajach, odczuciach czy podejściu do innych. Nie wiem nawet, co jadacie. Nic nie wiem. Nagle uświadomiłam sobie, że możecie nie mieć ochoty odwiedzić naszego domostwa. Tunele są wąskie i niskie, tylko sala zebrań jest porządnie oświetlona, a i to nie przez cały dzień. Nawet niektórzy z nas nie lubią ciasnych podziemi, w których czują napierające z każdej strony skały. No i ty. Jesteś latającą gdzie dusza zapragnie powietrzną istotą. Obawiam się o twoje kruche ciało i szerokie skrzydła. Nie jesteś przystosowany do pełzania we wnętrzu góry.

— Jestem wdzięczny za troskę, przyjaciółko Tawsar, ale nie ma powodów do zmartwienia. Dawno już przywykliśmy do pracy w metalowej budowli podobnej do tej góry, gdzie tunele też bywają wąskie, a pomieszczenia niewielkie. Jeśli będzie nam tu ciemno, przyniesiemy własne lampy. Gdyby ktoś poczuł się źle, będzie mógł wyjść. Nie sądzę jednak, aby komuś to groziło.

Gurronsevas wiedział, że nikt nie mógł lepiej od Prilicli ocenić, co czują pozostali członkowie grupy. Nie był wszakże pewien odczuć samego empaty, który nie cierpiał mrocznych, ciasnych przestrzeni. Jednak jako dowódca zespołu nie mógł przecież odmówić wejścia do podziemi.

— Co do mnie zaś — podjął Prilicla — sypiam w ciasnym niczym kokon pomieszczeniu bez światła. Potrafię składać skrzydła i kończyny, zatem jeśli nie masz nic przeciwko temu, pojechałbym z tobą na noszach. Jak wąskie są wasze tunele? Czy wszyscy damy radę przejść?

— Tak — odparła Tawsar i spojrzała na Gurronsevasa. — Ledwie, ale tak.

Kilka minut później Naydrad wprowadziła nosze do tunelu. Przodem szedł Danalta, za noszami zaś Naydrad i Murchison. Gurronsevas tworzył coś, co kapitan nazwał ariergardą, patolog natomiast mobilnym zatorem.

Dietetyk odkrył niebawem, że choć istotnie chwilami czuł się jak zatyczka, to szczęśliwie była to niezmiennie zatyczka ruchoma. Tunel zresztą rozszerzył się wkrótce i zrobiło się w nim na tyle jasno, że nie trzeba się było domyślać, jak wysoko jest sufit. Możliwe też, że Wemaranie mieli nieco gorszy wzrok niż Tralthańczycy, Tawsar bowiem przepraszała wciąż za niedostatki miejscowej techniki. Prilicla rozmawiał z nią cicho, jednak nieustanne tupanie Naydrad nie pozwalało usłyszeć, o czym. Chwile milczenia skwapliwie wypełniał donoszący o swych niepokojach kapitan Pletcher.

— Głębokie skanowanie sugeruje, że to opuszczona kopalnia miedzi. Sądząc po stanie wsporników, może mieć nawet setki lat, ale są ślady niedawnych remontów. Wiele głębszych galerii zostało zablokowanych przez zawały, sugerowałbym więc, byście nie zapuszczali się za daleko. Najlepiej będzie, jeśli w ogóle poprosicie Tawsar na zewnątrz, aby tam porozmawiać.

— Nie, przyjacielu Fletcher — odparł Prilicla. — Tawsar chce porozmawiać w kopalni. Jest mocno zakłopotana, co wskazuje, że chodzi o jakąś kwestię osobistą. Nie wyczuwam obaw typowych dla kogoś, kto chce zwalić innym strop na głowę.

— Niech będzie, doktorze — powiedział kapitan. — Nie macie kłopotów z oddychaniem? Nikt nie wyczuwa zapachu gazu kopalnianego?

— Nie, przyjacielu Fletcher. Powietrze jest świeże i chłodne.

— Nic dziwnego — stwierdził oficer. — Wyższe tunele mają własny system szybów wentylacyjnych, które nie wymagają zasilanych prądem wentylatorów, chociaż jest tam mały generator napędzany nurtem podziemnej rzeki. Znajduje się u podstawy góry, z drugiej strony, i daje dość prądu, aby oświetlać wnętrza. Wykryliśmy też kilka źródeł ciepła, zapewne paleniska albo piece. Wszystkie zatruwają powietrze produktami spalania, ale ich stężenie nie zagraża życiu. Niemniej i tak uważajcie.

— Dziękuję — powiedział Prilicla i wrócił do rozmowy z Tawsar.

Mijali mnóstwo wylotów bocznych tuneli i małe, nieoświetlone komory. Gurronsevas kilka razy prze — szorował czubkiem głowy i bokami po skale, lecz powietrze było ciągle świeże i unosiły się w nim jedynie zapachy, które Murchison zidentyfikowała jako dym palonego drewna i śladowe wonie kuchenne. I rzeczywiście, kilka minut później przeszli obok wejścia do kuchni.

— Przyjacielu Gurronsevas — powiedział Prilicla, korzystając z lekkiego wzmocnienia głosu, aby idący z tyłu Tralthańczyk mógł go usłyszeć. — Wyczuwam twoją wielką ciekawość i chyba rozumiem, co jest jej powodem, ale raczej nie powinniśmy się teraz rozdzielać.

Zapach słabł w miarę, jak się oddalali, jednak wyczulony zmysł powonienia podpowiadał dietetykowi, że prawdopodobnie jeszcze nigdy nie zetknął się z taką kuchnią. Chociaż, czy naprawdę...?

Rozpoznał parę wodną ze śladowymi ilościami soli i kilka rodzajów gotowanych albo duszonych razem roślin. Jedna z nich miała ostry i ciężki zapach przypominający woń somratha lub ziemskiej kapusty, tak chętnie zamawianej przez niektórych Kelgian. Reszta zapachów była zbyt słaba, aby do czegoś je porównać. Wykrył jeszcze jakiś mączny produkt pieczony w piecu. Ale najbardziej zdziwiło go to, czego mu zabrakło.

Pamiętał jednak, że byli i tacy członkowie Federacji, którzy rozwinąwszy się technologicznie i artystycznie, kulinarnie pozostali w minionych epokach.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Kilka minut później tunel rozszerzył się i weszli do sali z zawieszonymi na ścianach lampami, które jednak nie były w stanie oświetlić pozbawionego podpór sufitu. Widać było za to nierówne ściany i podłogę. Bez wątpienia była to naturalna jaskinia, którą włączono do kopalni, a nie dzieło wemarańskich rąk.

Jakieś dwieście jardów dalej wznosił się mur z wielkich, nieobrobionych, połączonych zaprawą kamieni, który zamykał dawny wylot jaskini. Z dziesięciu okien trzy nadal były oszklone, pozostałe natomiast zabito, zapewne bardzo dawno temu. Do środka wpadało jednak dość światła, by dojrzeć rząd wysokich, przypominających ławy stołów podzielonych na grupy po dwadzieścia, czasem może nawet więcej.

Gurronsevas pomyślał, że musi to być wspólna jadalnia, zaraz wszakże się poprawił. Przed każdą grupą stołów dojrzał urządzenie, które prawie wszędzie wyglądało tak samo. Tablicę, na której pisało się kredą. Inne stoły stały pod ścianami jaskini. Na jednych piętrzyły się talerze i sztućce, na innych książki, chyba bardzo sfatygowane przez czas. Z wbitych w skałę haków zwieszały się liczne plansze, które wyblakły tak bardzo, że były niemal nieczytelne.

Była to nie tylko jadalnia, ale także, a może nawet przede wszystkim, sala szkolna.

Fletcher widział to wszystko na swoim ekranie i komentował nieustannie, zapewne na użytek widzów na pokładzie Tremaara.

— Meble i sprzęty są bardzo stare — mówił. — Widać ślady rdzy w miejscach, gdzie były niegdyś metalowe nogi, zastąpione potem drewnianymi podporami, które też mają swoje lata. Haki w ścianach są mocno przerdzewiałe. Musi im też brakować szkła, bo inaczej nie zabijaliby okien w miejscu, gdzie światło jest bardzo potrzebne. Nie dostrzegłem wcześniej tego muru od strony urwiska, gdyż wzniesiony został z miejscowej skały i jest nieco cofnięty pod nawis. Powiedziałbym, że ma on raczej chronić dzieci, niż je tu więzić, wylot jaskini bowiem znajduje się na wysokości około pięciuset stóp nad dnem doliny. Teraz widzimy go dokładnie. Gdybyście musieli się ewakuować, Danalta i Gurronsevas zdołają bez trudu udrożnić któreś z zabitych okien. Doktor Prilicla wyleci, pozostali zaś uciekną, korzystając z...

— W żadnym razie nie z noszy! — przerwała mu Naydrad, ruszając futrem. — To nie jest pojazd latający. Powyżej pięćdziesięciu stóp zatacza się jak pijany Crrelyin!

— ...wiązki przyciągającej — dokończył Fletcher. — Statek stoi dość blisko, aby równocześnie ściągnąć wszystkich was na dół.

— Kapitanie, ryzyko zaistnienia jakiegoś zagrażającego życiu niebezpieczeństwa jest bardzo małe — rzekł Prilicla. — Emocje Tawsar i pozostałych Wemaran przebywających w kopalni nie wskazują na wrogość. Chodzi o istoty posiadające tutaj spory autorytet. Nasza przyjaciółka emanuje zawstydzeniem, zakłopotaniem i zaciekawieniem. Chce czegoś od nas, może jakiejś informacji. Na pewno nie zamierza nas wypatroszyć. Proszę wrócić na kanał ogólny albo Tawsar pomyśli, że to o niej rozmawiamy.

Prilicla i Wemaranka wrócili do rozmowy. Włączali się też do niej niekiedy inni członkowie zespołu, ale chodziło o jakieś sprawy medyczne, których Gurronsevas nie rozumiał. Podszedł do okna i spojrzał na okrytego lśniącą osłoną Rhabwara i dalej, na dolinę, w której dojrzał grupy pracującej młodzieży. Najdalsza uformowała tyralierę i ruszyła w kierunku statku.

Z pokładu jeszcze o tym nie zameldowano. Zapewne z poziomu ziemi ta grupa nie była na razie widoczna.

Dietetyk zwrócił jedno oko za siebie, tam gdzie Prilicla i Murchison demonstrowali na Naydrad i na sobie działanie ręcznego skanera. Danalta stał z boku. Typowa dla zmiennokształtnego możliwość przemieszczania organów mogłaby się okazać zbyt myląca, zwłaszcza podczas pierwszej lekcji anatomii obcych. Tawsar była wprawdzie wiekowa, ale umysł miała nad wyraz sprawny i szybko zrozumiała ideę nieinwazyjnego badania wnętrza ciała. Zafascynowana wpatrywała się w obrazy bijących serc, pracujących płuc i całej struktury szkieletowej.

Koniec końców zapragnęła obejrzeć też siebie, co dało Prilicli oczekiwany z dawna powód do zadania kolejnych pytań, tak medycznych, jak i osobistych.

— Jeśli spojrzysz uważnie na biodro i kolano, w tym i w tym miejscu, zobaczysz warstwy tkanki chrzestnej, która ma za zadanie oddzielać złącza kości i umożliwiać ich pozbawiony tarcia ruch względem siebie. W twoim przypadku te miejsca nie są tak gładkie, jak powinny. Kość uległa degeneracji, a masa ciała napierająca na staw doprowadziła do wyrwania drobin chrząstki i powstania stanu zapalnego, który jeszcze pogorszył sytuację, ponieważ każdy ruch przychodzi ci teraz z trudem i sprawia ból...

— Powiedz mi coś, czego nie wiem — rzuciła Tawsar.

— Chętnie. Jednak zanim to zrobię, muszę ci przypomnieć coś, co na pewno wiesz. Twój stan jest związany z procesem starzenia się, któremu ulegają wszystkie żywe istoty. Wszyscy dochodzimy do takiego punktu, w którym nasza sprawność fizyczna i umysłowa spada, aż w końcu umieramy, chociaż czas życia rożnych gatunków może bardzo się różnić. Nikomu jeszcze nie udało się odwrócić tego procesu, ale z odpowiednią medykacją i leczeniem objawów można znacznie odsunąć starość i złagodzić jej dolegliwości.

Tawsar nie odpowiedziała od razu. Gurronsevas i bez empatycznej wrażliwości domyślał się, jak wielkie musi być niedowierzanie Wemaranki.

— Wasze lekarstwa otrują mnie albo przyprawią o jakąś paskudną obcą chorobę — powiedziała. — Muszę pozostać czysta i zdrowa, nawet jeśli z chorymi stawami. Nie!

— Przyjaciółko Tawsar, nie usiłowałbym nawet proponować pomocy, gdyby wiązało się to z najmniejszym choćby ryzykiem dla ciebie. Nie miałaś dotąd okazji się o tym przekonać, zatem nie wiesz, że jest wiele podobieństw między Wemaranami a obecnymi tu istotami z innych światów. Oddychamy prawie tym samym powietrzem, jemy zasadniczo podobne pożywienie... — Nagle Cinrussańczyk poruszył gwałtownie skrzydłami, ale nie przestał mówić: — Z tych też powodów funkcjonowanie naszych ciał, procesy oddychania, trawienia, rozmnażania czy wzrostu są bardzo podobne. Jest tylko jedna istotna różnica: nie możemy zarazić się nawzajem żadną chorobą. Dzieje się tak dlatego, że patogeny, mikroby, które wyewoluowały na jednym świecie, nie są w stanie przeżyć w organizmie istoty z innego świata. Przez wieki bliskich i częstych kontaktów między wieloma cywilizacjami nie zdarzył się ani jeden taki wypadek. — Prilicla przeszedł na moment na kanał wewnętrzny. — Wyczułem silną reakcję na wzmiankę o jedzeniu. Były to wstyd, ciekawość i intensywny głód. Dlaczego na tym dotkniętym zarazą świecie to wstyd być głodnym? — Po chwili wrócił do rozmowy. — Nie możemy obiecać, że będziesz biegać i skakać — rzekł. — Niemniej na pewno poczujesz się o wiele lepiej. Nawet jeśli leczenie nie da efektu, bez wątpienia nie będzie gorzej. Pobranie próbek niezbędnych do przygotowania właściwych lekarstw jest całkiem niegroźne i bezbolesne.

Gurronsevas wiedział, że nie było to kolejne terapeutyczne kłamstwo, gdyż w tym przypadku lekarz czuł zawsze dokładnie to samo co pacjent. Sądząc po lekkim drżeniu nóg Prilicli, Wemaranka mogła być bliska podjęcia decyzji.

— Chyba na głowę upadłam — powiedziała nagle. — Ale niech będzie, zgadzam się. Tylko nie zwlekajcie za bardzo, bo zmienię zdanie.

Zespół zebrał się wokół niej. Leżała już na noszach.

— Dziękuję, przyjaciółko Tawsar. Nie będziemy tracić czasu.

— Skaner nastawiony na rejestrację — oświadczyła Murchison.

Potem rozmowa nabrała typowo medycznego charakteru. Gurronsevas odwrócił spojrzenie ku oknu.

Kolejne cztery grupy zmierzały do kopalni, zapewne na południowy posiłek. Bliższe czekały, aby do nich dołączyć. Widać chcieli zjawić się wszyscy w tym samym czasie. Szli powoli, dostosowując się do tempa nauczycieli, bez wybiegania naprzód. Dietetyk ocenił, że dotrą na miejsce za niecałą godzinę, chociaż znacznie wcześniej powinni być widoczni z Rhabwara. Zastanowił się, czy brak pośpiechu wynika z dyscypliny czy z małego zainteresowania posiłkiem. Był coraz ciekawszy płynących tunelami kuchennych zapachów.

Nagle usłyszał, że Prilicla mówi właśnie o nim.

— Odsuwa się nie z braku szacunku, ale dlatego, że w jego fachu ważniejsze jest, co się wkłada do ciała, niż z niego wyjmuje. Gdyby było trochę czasu, na pewno chętniej obejrzałby miejsca, w których przygotowujecie posiłki, niż...

— Jeśli chce, może zajrzeć do kuchni nawet teraz — wtrąciła Tawsar. — Pierwszy kucharz wie o wizycie gości z innych światów i chętnie zajmie się Gurronsevasem. Czy potrzebny będzie przewodnik?

— Nie — odparł dietetyk. — Wezmę nos za przewodnika — dodał ciszej.

— Dołączę do ciebie, jak tylko skończą się nade mną znęcać — powiedziała Wemeranka.

Szedł już w kierunku wyjścia, gdy Prilicla przełączył się na jego kanał.

— Przyjacielu Gurronsevas, rozmawiałem o tobie, by odwrócić uwagę Tawsar od badania. Nagle jednak wyczułem ponownie tę samą reakcję, która zdarzyła się już wcześniej. Uczucie głodu, ciekawości i intensywnego wstydu albo zakłopotania, tyle że jeszcze silniejsze. Uważaj i rozglądaj się, bo mam wrażenie, że możesz odkryć coś bardzo dla nas ważnego. Cały czas bądź w kontakcie głosowym z nami i naprawdę uważaj.

— Będę ostrożny, doktorze — odparł z lekką irytacją dietetyk, klucząc między ławami. Kto lepiej niż on wiedział, jakie wypadki mogą się przytrafić w kuchni i jak ich uniknąć.

Prilicla znowu zajął się pacjentką. Nie chciał, aby przejmowała się tak poczynaniami Naydrad i Murchison. Ich głosy brzmiały wyraźnie w uchu Gurronsevasa.

— Dla pełniejszego obrazu powinniśmy zbadać również kogoś młodego i sprawnego, najlepiej w wieku bliskim dojrzałości. Czy byłoby to możliwe?

— Wszystko jest możliwe — odpowiedziała Wemaranka. — Dzieci nie boją się ryzyka, gotowe są na wiele z ciekawości, dla zabawy czy z chęci pokazania, że są lepsze od innych dzieci. Może dlatego i ja zgodziłam się na ten eksperyment. Jestem za głupia, aby zrozumieć, że przeżywam drugie dzieciństwo.

— Nie, przyjaciółko Tawsar — rzekł zdecydowanie Prilicla. — W starzejącym się ciele mieszka ciągle młody i elastyczny umysł, tyle że mądry przeżytymi latami. Zapewne niewielu twoich braci potrafiłoby tak po prostu spotkać się z gromadą przerażających, niezwykłych obcych i pomóc nam jeszcze w tym, co robimy. Byłaś nas po prostu ciekawa czy miałaś po temu inne powody?

— Nie jestem nikim niezwykłym — odparła Tawsar po chwili zastanowienia. — Znam tu wielu równie odważnych czy głupich. Większość z nich gotowa byłaby spotkać się z wami, aby też na tym skorzystać. Są i inni, jak większość nieobecnych akurat myśliwych, którzy niczego od was nie przyjmą. Jako pierwsza nauczycielka odpowiadam za zaproszenie was do mojej kopalni. Byłam zdumiona, że nie trzeba było was namawiać, więc pewnie i wy jesteście odważni albo głupi. Niemniej obiecywanie złagodzenia bólu nie jest dobrym pomysłem, bo nie mam się wam jak odpłacić...

— Przyjaciółko Tawsar — przerwał jej Cinrussańczyk — nie ma potrzeby się odpłacać. Ale jeśli ciężar zobowiązań to coś istotnego dla was, proszę pozwolić nam zaspokoić medyczną ciekawość. W ten sposób spłacicie dług po wielekroć. A co do sztywniejących stawów, same objawy łatwo będzie usunąć, jednak przywrócenie naturalnej sprawności będzie trudniejsze, gdyż choroba jest zaawansowana. Moglibyśmy wszakże zastąpić uszkodzone stawy wszczepami z metalu albo utwardzanego tworzywa.

— Nie!

To jedno słowo zabrzmiało z taką mocą, że musiała mu towarzyszyć silna emocja, być może nawet złość. Dobrze, że nie widzę teraz Prilicli, pomyślał Gurronsevas. Był już całkiem blisko kuchni, gdy znowu usłyszał głos empaty.

— Nie ma się czego obawiać, przyjaciółko Tawsar. Taka wymiana stawów to rutynowa operacja, na niektórych światach wykonuje się ich tysiące dziennie. W większości przypadków protezy sprawują się lepiej niż oryginalne narządy ruchu. Przeprowadza się takie operacje pod narkozą...

— Nie — powtórzyła Tawsar, tyle że już spokojniej. — To niemożliwe. Nie będę czynić mojego ciała niejadalnym.

Gurronsevas wszedł do pomieszczenia, które wyglądało na kuchenny magazynek. Zza wahadłowych drzwi docierały bardzo intensywne już teraz zapachy. Na długich blatach leżały tace i posegregowane sztućce, obok widać było półki z garnkami, talerzami, różnych rodzajów kubkami, w większości popękanymi i bez uszek. Dietetyk miał właśnie ruszyć dalej, gdy dotarło do niego, co powiedziała Tawsar.

Mógł sobie tylko wyobrażać reakcje zespołu medycznego i kapitana Fletchera. Chyba też musiało im mowę odebrać.

Pierwsza odzyskała głos Murchison.

— My, to znaczy wszystkie znane nam inteligentne rasy, grzebiemy swoich zmarłych w ziemi albo palimy. Ale nigdy ich nie jemy.

— A to niemądrze — odparła Tawsar. — Niemądrze jest tak marnować żywność. Na Wemarze nie stać nas na coś takiego, to byłaby wręcz zbrodnia. Czcimy naszych zmarłych, o ile za życia na to zasłużyli, ale zaszczyty i honory nie zmieniają niczyjego smaku, przynajmniej jeśli był zdrowy. Nie jadamy oczywiście tych zbyt dawno zmarłych ani ofiar zarazy. No i tych, których ciała zawierają coś niejadalnego, jak metal czy plastik. Ale poza tym jemy wszystko, co nie szkodzi. Jestem stara, okażę się pewnie łykowata, lecz bez wątpienia jadalna. Najsmaczniejsze są rzecz jasna osoby młode albo ledwo dojrzałe, które zginęły w wypadku, na przykład na polowaniu...

Podwójne drzwi otworzyły się nagle, ukazując tubylca i pełną kłębów pary kuchnię. Nieco dalej zajmowały się czymś kolejne dwie istoty. Cała trójka nosiła luźne fartuchy, które były prane zbyt wiele razy i straciły już pierwotny kolor.

— To ty musisz być tym gościem z innego świata — powiedział uprzejmie Wemaranin w drzwiach. — Nazywam się Remrath. Wejdź, proszę.

Gurronsevasowi nogi wrosły w ziemię. Przypomniał sobie, co wcześniej usłyszał od Tawsar: pierwszy kucharz chętnie się tobą zajmie.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

— Słyszałem waszą rozmowę, doktorze — powiedział Fletcher. — I wcale nie spodobało mi się to, co usłyszałem. Poza tym około siedemdziesięciorga młodych Wemaran z czterema instruktorami zmierza z wolna ku wejściu do tunelu. Przy obecnym tempie dotrą tam za nieco ponad czterdzieści minut. Inne grupy robocze odłożyły narzędzia i zamierzają do nich dołączyć. Chyba zbliża się pora obiadu. Sądząc po tym, co właśnie powiedziano, zapewne to wy jesteście dziś obiadem. Usilnie doradzam przerwanie kontaktu i natychmiastowy powrót na statek.

— Chwilę, kapitanie. Przyjaciółko Murchison, ile to jeszcze potrwa?

— Nie dłużej niż piętnaście minut. Pacjentka jest bardzo skłonna do współpracy i nie ma co przerywać...

— Też tak sądzę — wszedł jej w słowo empata. — Kapitanie, skończymy badanie, pożegnamy się uprzejmie i skorzystamy z pańskiej rady. Odkrycie, że Wemara — nie są kanibalami, należy do raczej niepokojących. Ale proszę wziąć pod uwagę, że ani Tawsar, ani nikt inny nie zdradza wobec nas wrogich emocji. Mam wręcz wrażenie, że nauczycielka zaczyna nas lubić.

— Doktorze, gdy jestem tak głodny jak te istoty cały czas, też lubię mój obiad. I na pewno nie jestem wrogo nastawiony do jedzenia.

— Chyba nieco to upraszczasz, przyjacielu Fletcher... — zaczął Prilicla.

W tym miejscu Gurronsevas musiał przełączyć komunikator na kanał autotranslatora, bo chociaż umiał spoglądać w czterech kierunkach naraz, mógł prowadzić tylko jedną rozmowę. Wydawało się, że wracająca młodzież na razie mu nie zagraża, a starzejący się kucharz nie powinien stanowić zagrożenia w żadnej chwili, trafiała się więc okazja, aby czegoś się jednak dowiedzieć, szczególnie że Murchison jeszcze nie skończyła badania. Przede wszystkim zaś stojąca przed nim istota coś mówiła i uprzejmość nakazywała odpowiedzieć.

— Bardzo przepraszam — odezwał się dietetyk, wskazując na autotranslator. Uznał, że drobne dyplomatyczne kłamstwo nie zaszkodzi. — To urządzenie nie było nastrojone na ciebie, więc chociaż słyszałem twoje słowa, nie zrozumiałem ich. Czy byłbyś uprzejmy powtórzyć?

— To nie było nic ważnego — odparł Wemaranin. — Zauważyłem tylko, że zawsze chciałem mieć cztery ręce. W kuchni byłyby bardzo przydatne. Jestem tutaj uzdrawiaczem i kucharzem.

— Ja pełnię podobną funkcję w nieco większym osiedlu. Tam jednak leczenie i gotowanie to dwie odrębne sztuki. Jak mam się do ciebie zwracać: doktorze czy...?

— Mój pełny tytuł jest długi i kłopotliwy. Nie trzeba go używać. Wykorzystuje się go tylko podczas ceremonii Przejścia Wieku, czasem też przypominają go sobie uczniowie, którzy źle się zachowywali albo na próżno usiłują uniknąć kary. Mów mi Remrath.

— Ja jestem Gurronsevas. I jestem tylko kucharzem.

Nie do wiary, że to powiedziałem, pomyślał najwyżej ceniony mistrz wielogatunkowej kuchni.

— W porównaniu z tym, jak podobno gotowano w czasach świetności naszego ludu, zanim jeszcze słońce obróciło się przeciwko nam, moja kuchnia jest prymitywna — stwierdził Remrath trochę ze smutkiem, trochę ze złością. — Tobie musi pewnie przypominać gotowanie dzikich. Jeśli jednak chcesz, zapraszam. Możesz się rozejrzeć.

Gurronsevas nie zdążył odpowiedzieć, gdyż odezwał się kapitan.

— Nie jest pan specjalistą od kontaktów — rzekł. — Nie zna pan procedur. Jak dotąd nie powiedział pan nic niezręcznego, przede wszystkim jednak proszę słuchać. Nie reagować niechęcią na nic, co pan usłyszy albo zobaczy, nawet gdyby to panem wstrząsnęło. Proszę też okazywać zainteresowanie wyposażeniem i sposobem przygotowywania posiłków, choćby były najbardziej prymitywne pod słońcem. I raczej chwalić, niż krytykować, lub zgadzać się dyplomatycznie.

Gurronsevas nie skomentował tego. Już teraz przerwa między powitaniem Remratha a jego odpowiedzią trwała tak długo, że nieuprzejmie byłoby kazać mu dłużej czekać.

— Chętnie. Bardzo interesuje mnie, co tu robisz — powiedział zgodnie z prawdą. — Uprzedzam, że mogę zadawać wiele irytujących pytań. Niemniej odgłosy, które słyszę, zapachy dogotowującego się jedzenia i wszystkie przygotowania sugerują, że obiad można już podać, i każą mi przypuszczać, że zapraszasz mnie tylko z uprzejmości. Z doświadczenia wiem, że w takiej chwili goście w kuchni nie są mile widziani.

— To prawda — przyznał Remrath, cofając się przez wahadłowe drzwi, przytrzymując je jedną ręką i machając drugą, aby Gurronsevas wszedł do środka. Było widać, że jego nogi i ogon są zbyt sztywne, by mógł obrócić się w przejściu. — Ale widzę, że mimo wielkiej postury lepiej niż ja odnajdujesz się w ciasnych wnętrzach i sam będziesz najpewniej wiedział, jak nie wchodzić innym w drogę. Jak już odgadłeś, niebawem będziemy podawać obiad. Może zechcesz zobaczyć, jak pracujemy, gdy musimy dać z siebie wszystko... albo chociaż tyle, ile możemy.

Dietetyk wszedł do kuchni. Okazało się, że to kolejna jaskinia, być może przedłużenie tej, którą niedawno opuścił. Przed nim wznosiła się ściana z małych i nieregularnych kamiennych bloków. Otaczała cztery otwarte paleniska, w których trzeszczały kawałki drewna albo czegoś, co bardzo drewno przypominało. Za nią musiały się znajdować otwory wentylacyjne lub wyciągi, w kuchni bowiem nie było czuć dymu, a para z kociołków, które przeniesiono już znad ognia na długi stół pośrodku, też tam leciała. Na prawo od stołu, biegnącego od pieca prawie do samego wejścia, ciągnęły się wysokie na dwie trzecie kamiennej ściany półki z wszelkimi kuchennymi przyborami i naczyniami, których jednak nie wykonały chyba istoty zawodowo parające się pracą w glinie. Niemniej, jak odnotował z aprobatą Gurronsevas, chociaż wyszczerbione, popękane i z poutrącanymi uszkami, wszystkie były czyste.

Pod półkami stało wsparte na ciężkich kozłach ceramiczne koryto, przez które nieustannie płynęła woda. Pod powierzchnią widać było kilka kubków i talerzy. Szeroki wlew z jednej strony nie miał kurka, co wskazywało, że zasilany jest z podziemnego źródła, nie ze zbiornika. Zamontowany z drugiej strony zestaw kół łopatkowych napędzał zapewne mały generator wytwarzający prąd do oświetlenia kuchni.

Pod przeciwległą ścianą stały dalsze półki i szafki. Dość szeroko rozmieszczone i raczej proste, mieściły zapasy jadalnych roślin i drewno na opał. Ani jednego, ani drugiego nie było zbyt dużo.

Gurronsevas obszedł kuchnię w ślad za Remrathem. Nie przerywał gospodarzowi, szczególnie że większość urządzeń łatwo było rozpoznać i nie musiał zadawać pytań. Milczał nawet wtedy, gdy Remrath przystanął przed długą i wąską szafką umieszczoną pod kołami łopatkowymi na krańcu koryta i nieustannie zraszaną przez wodę.

Była szeroko obramowana, aby woda z łopatek nie spływała na podwójne drzwiczki, które po otwarciu ukazały puste wnętrze. Prosta, ale efektywna lodówka, pomyślał Gurronsevas. Nigdzie indziej nie zauważył niczego, co mogłoby pełnić podobną funkcję i wskazywałoby na obecność świeżego mięsa.

Sam nie wiedział, czy powinno go to zmartwić, czy może raczej sprawić ulgę. Pamiętał przecież nieustannie, że ma do czynienia z kanibalami.

Zwiedzanie kuchni zakończyło się powrotem do palenisk. Zestawione z ognia kociołki czekały na stole, niemal wszystkie przykryte płatami grubej materii, aby nie stygły, na rusztach zaś stały kolejne, których zawartość bulgotała leniwie.

— Niewiele mówisz i w ogóle nie zadajesz pytań — odezwał się nagle Remrath. — Czyżby widok tak prymitywnej kuchni napawał cię wstrętem?

— Wręcz przeciwnie. Na wszystkich światach, które odwiedziłem, kuchnie były zasadniczo takie same, jednak zawsze trafiałem na jakieś drobne, ale interesujące różnice. Mam wiele pytań. — Sięgnął po dużą drewnianą łyżkę leżącą obok parującego kociołka, który jeszcze nie został przykryty. — Czy mogę tego spróbować? Wybacz, proszę, moi towarzysze mnie wzywają.

Stosowniej byłoby powiedzieć, że nie tyle wzywają, ile obgadują, pomyślał ze złością dietetyk.

— Zwariował czy tak mało rozumie? A może jedno i drugie? — ciskał się kapitan Fletcher. — Doktorze Prilicla, niech mu pan coś powie. Tak, by dotarło. Jak się ląduje na obcej planecie, nie zaczyna się kontaktu od próbowania miejscowej kuchni...

— Przyjacielu Gurronsevas — uciął przemowę Prilicla. — To prawda? Zamierzasz coś zjeść?

— Nie, doktorze — odparł, obchodząc autotranslator. — Chcę spróbować jednego z tutejszych dań. Z całym szacunkiem, pozwolę sobie przypomnieć wszystkim, że mam bardzo wyczulone podniebienie i wyćwiczony węch, zatem od razu poznam, czy potrawa jest nieszkodliwa. Ponieważ nie zamierzam jej przełknąć, nie ma też ryzyka, że przyjmę jakieś toksyny. Poza tym, konsystencją danie przypomina coś między cienkim stewem warzywnym a gęstą zupą, która ponad godzinę gotowała się w przykrytym naczyniu. Wdzięczny jestem za troskę, doktorze, ale nie zwykłem bezmyślnie ryzykować.

Na chwilę zapadła cisza.

— Dobrze, przyjacielu Gurronsevas. Jeśli jednak zdarzy ci się niechcący coś zjeść, wracaj zaraz na statek. Szczególnie gdybyś poczuł się po tym źle albo chociaż dziwnie. Bądź bardzo ostrożny.

— Dziękuję, doktorze. Na pewno będę.

Miał już wrócić do rozmowy z Remrathem, gdy Cinrussańczyk znowu się odezwał.

— Może byłeś zbyt zajęty, aby słuchać naszej wymiany zdań z Tawsar albo też nie w pełni ją zrozumiałeś. Uzgodniliśmy, że pomoże nam w uzyskaniu wszystkich potrzebnych danych, które przestudiujemy następnie na Rhabwarze, i zastanowimy się, co jeszcze byłoby nam potrzebne. O tutejszej strukturze społecznej wie na tyle mało, że nawet nie chcę jej wypytywać, by nie namieszać jej w głowie. Wybraliśmy dobry czas na zakończenie kontaktu. Bliskie przybycie dzieci i młodzieży pozwoli nam powiedzieć, całkiem prawdziwie zresztą, gdy chodzi o wszystkich prócz Danalty, że musimy się udać na statek w tym samym celu. Dokończ zatem, proszę, jak najszybciej próbowanie, przeproś kucharza i powiedz, że musisz wracać z nami. Uzna, że i dla ciebie nadeszła pora posiłku. Spotkamy się za kilka minut w korytarzu przed kuchnią.

Gurronsevas trzymał łyżkę kilka cali nad parującą zawartością kociołka. Remrath słuchał niezrozumiałej dla niego rozmowy i musiał chyba czuć się urażony takim traktowaniem. Gdyby sytuacja wyglądała odwrotnie, dietetyk byłby wręcz wściekły. Nagle jednak przyszło mu do głowy, że to wszystko nie tak.

— Twoje emocje są trudne do odczytania z tej odległości, zwłaszcza na tle emocji personelu kuchni — powiedział Prilicla. — Ale... masz jakiś problem, przyjacielu Gurronsevas?

— Nie... nie, jeśli... Na ile jesteś pewny, że Wemaranie nie chcą zrobić nam krzywdy?

— Jestem pewny na tyle, na ile ich wyczuwam — odparł Cinrussańczyk. — Ci w kuchni są zaciekawieni i trochę ostrożni, co jest normalne w tej sytuacji, ale nie wrodzy. Nie będąc telepatą, nie powiem ci, co dokładnie myślą, więc zostaje miejsce na wątpliwości. Dlaczego pytasz?

Gurronsevas spróbował jakoś sformułować odpowiedź, ale nie zdążył.

— W tobie wyczuwam wielkie zaciekawienie, zapewne zawodowe, co naturalne w tym otoczeniu — odezwał się znowu Prilicla. — Nie chcesz wychodzić, zanim go nie zaspokoisz? A może w kuchni czujesz się lepiej niż między lekarzami na pokładzie medycznym?

— Na pewno nie jesteś telepatą? — spytał dietetyk.

— Przykro mi, ale nie. Niemniej rozumiem twoją rozterkę. Możesz pozostać w kuchni, lecz doktor Danalta dołączy do ciebie dla ochrony. Nie mógłby zrobić krzywdy żadnej inteligentnej istocie, ale potrafi swoimi różnymi postaciami porządnie wystraszyć ewentualnego napastnika. Gdybyście znaleźli się w niebezpieczeństwie, uciekajcie czym prędzej do zewnętrznej ściany u wylotu jaskini. Tam jest przejście. Przyjaciel Fletcher zdejmie was wiązką ściągającą. A może gdy będziesz zaspokajał kulinarną ciekawość, dałbyś radę poszerzyć tematykę rozmowy o sprawy społeczne i kulturowe? Zarówno te dotyczące teraźniejszości, jak i przeszłości. Nie nazbyt wprost i unikając drażliwych zagadnień. Może tobie uda się lepiej niż nam z Tawsar. I nie marnuj czasu, aby mi odpowiadać. Czuję, że jeszcze kilka chwil, a Remrath straci cierpliwość.

— Przepraszam za tę przerwę — rzekł natychmiast Gurronsevas do kucharza. — Moi przyjaciele udają się na statek, aby też coś zjeść o zwykłej porze. Wszyscy prócz jednego, imieniem Danalta. Jak się sam przekonasz, to ciekawa istota, która potrafi dowolnie zmieniać swój kształt. Może też długo niczego nie jeść, dłużej nawet niż ja. Jest mniejszy ode mnie, jest uzdrawiaczem, nie kucharzem, ale jeśli pozwolisz, dołączyłby do nas w kuchni.

Remrath odgadł zapewne rzeczywiste powody sprowadzenia Danalty. Chyba wszystkie rasy uznawały, że we dwóch jest zawsze bezpieczniej niż w pojedynkę.

— Twój przyjaciel będzie mile widziany, o ile tylko nie zacznie nam przeszkadzać — powiedział Remrath, wskazując kościstym palcem na trzymaną wciąż przez Gurronsevasa łyżkę. — Zamierzasz coś z tym zrobić?

Ignorując sarkazm, dietetyk zanurzył łyżkę w zielono — brunatnej masie, zamieszał, aby sprawdzić konsystencję, i uniósł łyżkę do otworu oddechowego. W końcu uznał, że zawartość wystygła na tyle, że nie poparzy mu ust przed dotarciem do płatka smakowego pod dolną wargą.

— I jak? — spytał Remrath.

Gurronsevas wyczuł obecność trzech roślin, ale były tak wymieszane i rozgotowane, że trudno było rozdzielić ich smaki, a tym bardziej porównać do warzyw, które znał. Brakowało poprawiaczy smaku, chemicznych czy mineralnych dodatków, nie znalazł nawet śladu soli, która przecież musiała być dostępna, skoro mieli morza. Potrawa została bez wątpienia przygotowana ze sporym wyprzedzeniem i wynikłe z tego rozgotowanie roślin pozbawiło ją wszelkiego naturalnego smaku, który mógłby zapewniać takie a nie inne ich połączenie.

— Trochę mdłe — rzekł Gurronsevas. Remrath wymamrotał coś pod nosem.

— Przesadzasz z dyplomacją, przybyszu. Spróbowałeś naszego podstawowego dania, mięsno — warzywnego stewu bez mięsa, który gdy dotrze na stół, będzie ledwie ciepły. „Trochę mdłe” to bardzo uprzejme określenie tej nieapetycznej brei, którą nasi uczniowie określają całkiem inaczej.

— Przydałoby się dodać to i owo — zgodził się dietetyk. Rozmyślnie spojrzał wszystkimi czterema oczami na podłużną szafkę pod korytem. — Bez wątpienia gotowanie na mięsie poprawiłoby smak, ale wydaje się, że obecnie nie macie żadnego mięsa. Czy jest ono częścią waszej normalnej diety?

— Poruszyłeś delikatny temat, przyjacielu Gurronsevas — ostrzegł go brzmiący w słuchawkach głos Prilicli. — Remrath jest wzburzony. Łagodniej.

Była to osobliwa sugestia, jeśli wziąć pod uwagę masę Tralthańczyka. Zresztą byli w kuchni, naturalnym miejscu do zadawania podobnych pytań.

— Nie — odparł oschle kucharz. Gdy Gurronsevas był już niemal pewien, że obraził gospodarza, ten podjął wątek: — Tylko dorośli mają prawo jeść mięso, jeśli oczywiście jest dostępne. Młodym nie wolno go podawać, od czego wyjątek robimy jedynie wtedy, gdy większa grupa osiąga dorosłość. Starsi uczniowie dostają wtedy czasem mały kawałek dla poprawienia smaku dań z warzyw. Tytułem przygotowania i na znak statusu, który mają osiągnąć jako dzielni myśliwi i przywódcy swego ludu. Nasza grupa łowców wróci niebawem — dodał cicho, ale w jego głosie pobrzmiewała złość. — Jednak ostatnimi laty niewiele przynoszą i nie dzielą się mięsem oraz swą dorosłą siłą z dziećmi. Zostawiają je dla siebie.

Gurronsevas pomyślał, że jakoś powinien chyba na tę kwestię zareagować, najlepiej współczuciem czy pocieszeniem, a może neutralną uwagą, która nie zwiększyłaby gniewu rozmówcy. Szukał właściwych słów, ale nie znajdował. W końcu sięgnął po niegroźne, jak mu się wydawało, stwierdzenie faktu.

— Ty jesteś dorosły.

Spowodował tylko tyle, że Remratha opanował jeszcze silniejszy gniew. Odezwał się tak głośno, że reszta obecnych w kuchni uniosła głowy znad tego, co akurat robili.

— Jestem bardzo dorosły, przybyszu. Zbyt dorosły, by wziąć udział w polowaniu i otrzymać choćby najmniejszy udział w zdobyczy. Zbyt dorosły, by ktoś pamiętał moje dawne łowy i był mi wdzięczny. Czasem, ze zwykłej uprzejmości albo sentymentu, jakiś młody myśliwy rzuci mi ochłap, ale te kawałki i tak wykorzystujemy do wzbogacenia posiłków starszych dzieci. Poza tym jemy to samo co wszyscy tutaj, mdłą i ciepławą warzywną breję!

Gurronsevas słyszał już wiele podobnych narzekań, chociaż rzadko były kierowane pod jego adresem, i tym razem wiedział, co powiedzieć.

— Spotkałem sporo istot, istot inteligentnych, które rozwinęły cywilizacje, czasem nawet bardziej zaawansowane niż Wemaranie wieki temu, które to istoty nigdy nie jadły nic innego jak rośliny. Przez całe życie, od odstawienia od piersi matki po śmierć. Rośliny gotowane, jak u was, rośliny surowe, podawane na wiele sposobów...

— Nigdy! — wybuchnął Remrath. — Nie wierzę, aby jedli takie rzeczy, bo my to jemy i przez to najpewniej tak wcześnie umieramy. Ale trzeba czasem wypełnić żołądek czymkolwiek, nawet jeśli jest to ohydna warzywna breja, której jedzenie jest hańbą dla każdego dorosłego. A jedzenie surowych roślin... jak... jak grub! Sama myśl o tym przyprawia mnie o mdłości, przybyszu.

— Proszę, wybacz mi moją ignorancję, ale co to jest grub?

— Pewne wielkie i bardzo powolne zwierzę, które cały dzień je i trawi liście — odparł Remrath. — Podobno kilka ich żyje jeszcze w strefie równikowej, ale gdzie indziej wyginęły. Były zbyt ślamazarne i głupie, żeby uciec myśliwym.

— Z całym szacunkiem, ale się mylisz. Wiele inteligentnych gatunków to roślinożercy, którzy wcale się tego nie wstydzą. Nie czują się też gorsi pomiędzy mięsożernymi ani tymi, którzy jedzą i jedno, i drugie, jak wy. Siostra Naydrad, którą jeszcze zobaczysz, istota z długim srebrzystym futrem i wieloma odnóżami, je tylko pożywienie roślinne i nie jest powolna ani myślą, ani uczynkiem. Różnice w zwyczajach żywieniowych nie mogą być powodem do dumy, wstydu ani żadnych innych stanów, może poza miłymi lub niemiłymi doznaniami smakowymi. To zwykłe odmienności dyktowane przez ewolucję. Dlaczego miałoby się oceniać kogoś na ich podstawie?

Remrath nie odpowiedział. Czyżby poczuł się urażony? — pomyślał dietetyk. A może jeszcze bardziej zawstydzony? Uznał, że zamiast czekać na odpowiedź, bezpieczniej będzie pociągnąć temat i obserwować reakcje.

— Jedzenie to zawsze metaboliczne paliwo, niezależnie od składu, niemniej proces spożywania go jest, albo powinien być, przeżyciem estetycznym. Smak tego samego produktu można zmieniać na rozmaite sposoby, dodając nieznaczne ilości różnych substancji pochodzenia roślinnego, zwierzęcego czy mineralnego. Można też modyfikować posiłek, używając różnorakich składników zamiennie, dobierając je tak, aby współgrały ze sobą albo kontrastowały, co wzbogaci smak. Mam niejakie doświadczenie na tym polu, włącznie z...

Zastanowił się przelotnie, jak obsada jego hotelowej kuchni zareagowałaby na tego rodzaju stwierdzenie, ale rozmówca nie wiedział przecież nic o pracy w restauracji hotelu Cromingan — Shesk obsługującej przedstawicieli wielu ras i niewiele by z tego zrozumiał, o docenieniu talentów nawet nie mówiąc. W każdym razie w tej chwili.

Gurronsevas starał się przekazywać informacje w jak najprostszej postaci. Jego kolega, chociaż posunięty w latach, w sprawach kulinarnych był dzieckiem. Jednak podjąwszy ulubiony temat, dietetyk tak się zapalił, że stracił poczucie czasu. Zmitygował się dopiero wtedy, gdy Remrath zaczął zdradzać oznaki zniecierpliwienia, a może i irytacji. Pora było zakończyć wykład, nim zacznie nudzić.

— Oczywiście mógłbym podać znacznie więcej przykładów, również takie, kiedy moje wysiłki poszły na marne, bo trafiałem na naprawdę wyjątkowych konsumentów. Jedną z takich istot jest Danalta. Jada dosłownie wszystko: warzywa, mięso, twarde drewno, piasek, większość skał. I nawet nie wie, czy mają jakiś smak.

Przerwał nagle. Z tego, co słyszał w słuchawkach, ekipa medyczna wsiadała już na statek, uczniowie zaś mieli lada chwila zjawić się w kopalni. Danalty tymczasem jeszcze nie było.

A może jednak?

Pod słabo oświetloną ścianą za kuchennymi drzwiami Gurronsevas widział wcześniej spory drewniany cebrzyk, z którego wystawało kilka szczotek i mioteł. Teraz były tam dwa cebrzyki, identyczne, tyle że ten drugi miał zamiast sęka niewielkie, wilgotne oko, które mrugnęło na dietetyka. Danalta już przyszedł.

Ekshibicjonista, pomyślał Gurronsevas i spojrzał ponownie na Remratha.

— Musimy wrócić jeszcze kiedyś do tego tematu — powiedział Wemaranin. — Teraz mamy dużo do zrobienia. Możesz popatrzeć, jeśli chcesz, ale proszę, abyś trzymał się z boku i nie wchodził nam w drogę.

Gurronsevas odsunął się pod ścianę i stanął blisko cebrzyka, który wcale nie był cebrzykiem. To, w czym miał nie przeszkadzać, odbywało się wszakże przerażająco powoli. Remrath i jego pomocnicy nalewali stew do głębokich talerzy, które były ustawiane po dwa na tacy. Na każdej z tac pojawiały się ponadto dwie szerokie łyżki i dwa kubki z wodą pobraną z tego samego źródła, które zasilało koryto. Talerze nie były podgrzewane, a niektóre okazały się jeszcze mokre po myciu. Jedną po drugiej tace wynoszono do sąsiedniego pomieszczenia i ustawiano na stole, aż pokryły cały blat. Tymczasem zjawili się opiekunowie poszczególnych grup i zaczęli wkładać zebrane tego dnia warzywa do szafek pod przeciwległą ścianą. Dzieciarnia pobiegła do jadalni.

Remrath powiedział wszystkim, że później wyjaśni, co Gurronsevas robi w kuchni, i nie przerwał pracy, której przebieg coraz bardziej podnosił dietetykowi ciśnienie.

Cała obsada kuchni była dość wiekowa, zatem poruszała się wolno i niezgrabnie. Znaczyło to, że każda z tych istot mogła przenieść naraz tylko jedną tacę z daniami dla dwóch osób. Tym samym stygnące już w sąsiednim pomieszczeniu jedzenie podczas przenoszenia jeszcze bardziej się wychładzało, a do jadalni musiało trafiać całkiem zimne. Stołownicy jednak zapewne nie narzekali, bo i tak nie oczekiwali po stewie niczego szczególnego.

— Nie mogę już na to patrzeć — rzekł Gurronsevas półgłosem do cebrzyka. — Organizacja pracy w tej kuchni to kryminał, ich system serwowania zaś... Nie zmieniaj kształtu i nie idź na razie za mną, jeśli nie zacznę wzywać pomocy.

Poczekał na chwilę, gdy Remrath będzie przechodził bliżej.

— Przyglądam się waszej pracy i sądzę, że mógłbym pomóc — powiedział dość głośno. — Jak widziałeś, jestem szybszy i sprawniejszy niż ty. No i mam cztery ręce, obecnie całkiem bezczynne...

Wielki Gurronsevas jako kelner, pomyślał, biorąc pierwszą tacę i znikając w tunelu wiodącym do jadalni. Na co mi przyszło?

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Toczone podczas obiadu rozmowy dobiegły końca, zebrano już niemal wszystkie puste talerze. Wydawało się, że nikt nie zamierzał sprawiać kucharzom przyjemności zjadaniem do czysta. Tawsar podziękowała Gurronsevasowi za pomoc i za odpowiadanie na pytania młodych Wemaran, którzy okazali się bardzo ciekawi obcego. Dietetyk nie widział, aby Tawsar tknęła choć kęs, spytał więc nieco później Remratha o przyczynę. Usłyszał, że zgodnie z dawną tradycją pierwszy nauczyciel nigdy nie jada potraw roślinnych w obecności młodszych, aby nie okryć się hańbą. Dalsze wypytywanie o genezę czy sens takiego zwyczaju nie przyniosło rezultatu, chociaż byli akurat sami w kuchni.

Gurronsevas wiedział, że nie ma co krytykować pracy szefa kuchni ani sugerować mu usprawnień, niezależnie od tego, jak ubogo wyposażone czy bałaganiarskie byłoby jego królestwo. Wojny wybuchały z błahszych powodów. Zamiast tego wdał się w rozmowę o innych kuchniach, by przekazać jak najwięcej pośrednio, na przykładach.

— Nie, nie prosimy już młodych o pomoc w zmywaniu i sprzątaniu — wyjaśnił Remrath, gdy dotarli i do tego. — Kiedyś kierowaliśmy do pracy w kuchni za karę. Uczniowie myli naczynia, czyścili warzywa na następny dzień. Jednak zbyt wiele tłukli, a jarzyny nie były nawet porządnie opłukane, w końcu więc z tego zrezygnowaliśmy. Przymusowi pomocnicy to żadna pomoc, tylko kłopot. Poza tym dobrze jest, gdy ktoś tak stary jak ja pozostaje użyteczny. To jakaś resztka na tym talerzu czy plama? Poskrob ją, proszę, raz jeszcze.

Gurronsevas zanurzył talerz w zimnej wodzie i potarł go kłębkiem szorstkiego mchu, który służył tu za myjkę. Chwilę potem oddał go gospodarzowi, który robił to samo co on. Najpierw kelner, a teraz pomywacz! — pomyślał Gurronsevas.

— Wiele istot, szczególnie tych starszych, narzeka, że zimna woda źle działa im na stawy — powiedział. — Czy z tobą jest tak samo?

— Tak. Ale jak już zresztą pewnie zauważyłeś, schorowane mam nie tylko te części ciała, które moczę regularnie w zimnej wodzie.

— To częsta przypadłość na wielu światach — stwierdził dietetyk. — Możliwe jednak, że da się ulżyć waszemu cierpieniu. Powiedziałem „możliwe”, gdyż brak mi wiedzy medycznej na ten temat. Tawsar wszelako poddała się pełnemu badaniu, nie wykluczam więc, że niebawem będziemy mogli zaproponować wam leczenie wielu chorób. Tak czy owak, na moim świecie młodzi często sami chcą pomagać starszym. Bywa, że wystarczy odpowiednia argumentacja.

Remrath umył jeszcze trzy talerze, sprawdził, czy na pewno są czyste, i wciąż ociekające odłożył na bok.

— Wiesz może, czy Tawsar jest zdrowa czy cierpiąca? Starość, która ogarnia nasze ciała, otwiera je na różne choroby.

Gurronsevas nie wiedział, co odpowiedzieć, ale wkrótce usłyszał w słuchawkach głos Murchison.

— Miałeś rację, mówiąc, że być może nie zdołamy wyleczyć Wemaran z artretyzmu, ale w przypadku Tawsar jest spora szansa, że będzie lepiej. Jest stara i słaba, ale nie chora. Może przeżyć jeszcze co najmniej dziesięć lat, a nawet więcej, jeśli będzie dobrze jadła. Z jakiegoś powodu ci ludzie głodzą się niemal na śmierć.

Gdyby patolog spróbowała niedawnego posiłku, powód miałaby jak na dłoni, pomyślał Gurronsevas.

— Tawsar ma przed sobą jeszcze wiele lat życia — odpowiedział Remrathowi. — Tylko dobrze by było, gdyby zaczęła więcej jeść.

Kucharz zgarnął pozostałe na talerzu resztki do kubła i znowu wziął się do mycia.

— Młodzi pomagają nam, gdy ich o to prosimy, ale starzy muszą pokazać, że też się do czegoś przydają. Nie możemy czekać tylko na chwilę, gdy oddamy nasze ciała. Musimy pracować, nawet jeśli nie zawsze naprawdę dobrze wykonujemy naszą pracę. Ale nie chcemy jeść więcej, o ile mamy jeść tylko to zielsko. To obrzydliwe, w każdym sensie. Chciałbym cię jednak o coś spytać. Jeśli pytanie okaże się niestosowne, zignoruj je. Twoja praca jest podobna do mojej, jak zrozumiałem, ale co z tymi istotami, które rozmawiały z Tawsar? Skąd przybyły i co tutaj robią?

Gurronsevas próbował opisać Szpital Kosmiczny Sektora Dwunastego i jego działalność, lecz z konieczności przedstawił wszystko o wiele skromniej, niż naprawdę wyglądało. Wiedział, że w prawdę nikt tu na razie nie uwierzy.

— Mówisz o wielkiej budowli na niebie, pełnej chorych i rannych, których czyni się tam ponownie zdrowymi i całymi?

— Można tak powiedzieć — roześmiała się w słuchawkach Murchison.

— Kiedyś takie miejsca były i na Wemarze — dodał Remrath, nieświadomy komentarza. — Jednak nie czyniono tam aż takich cudów. Mówisz, że twoi przyjaciele przybyli z tego szpitala i chcą pomóc Tawsar oraz wszystkim seniorom?

— Tak — odparł dietetyk bez wahania.

— Jestem wdzięczny, ale też obawiam się oddania obcym swego ciała pod opiekę. Chociaż znam już jednego z nich i... Ty też przybyłeś stamtąd i musisz wiedzieć znacznie więcej niż ja. Gdy przyjdzie czas, wolałbym, abyś to ty przywrócił moje ciało młodości.

— Niestety, nie wiem nic o tych sprawach — rzekł Gurronsevas. — Moja rola tam ogranicza się do przygotowywania i serwowania posiłków.

— Czy to ważna rola? Pomaga im stać się zdrowymi i młodymi?

— Tak. Powiedziałbym wręcz, że najważniejsza, bo nikt nie przetrwa bez jedzenia.

W słuchawkach usłyszał, jak Murchison mruknęła coś pod nosem.

— I tutaj też chcesz pomóc nas odmłodzić — stwierdził Remrath, odstawiając ostatni umyty talerz. — Także przez poprawienie naszego jedzenia? To niemożliwe!

Gurronsevas nie dostrzegł nigdzie niczego przypominającego ręcznik, otrząsnął więc ręce.

— Chciałbym, abyś pozwolił mi spróbować.

Remrath w milczeniu odwrócił się i na sztywnych nogach przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia, skąd przyniósł naręcze niedawno dostarczonych warzyw. Zaczął oddzierać od niektórych liście, innym urywał korzonki, jadalne części zaś wrzucał do wody.

— Możesz spróbować, przybyszu — rzekł w końcu. — Ale jeśli mimo całej swojej wiedzy nie wiesz, jak sprawić, byśmy mieli więcej mięsa, będzie to marnowanie czasu. Tego potrzebujemy najbardziej i dlatego przede wszystkim zmusiliśmy Tawsar, aby się z wami spotkała. Jednak zamiast powiedzieć wam, jak bardzo potrzebujemy mięsa i że konieczne jest ono dla przetrwania naszego gatunku, ona wdała się w bezsensowne rozmowy i pozwoliła nawet, by uzdrawiacze robili z nią dziwne rzeczy. Od czego chciałbyś zacząć?

— Na początek od rozmowy o Wemaranach.

— Właśnie — odezwała się Murchison. — Prilicla powiedział, że przez pięć minut uzyskałeś od niego więcej istotnych informacji niż my od Tawsar przez całe dwie godziny.

— A dokładniej, co sądzicie o sobie i o swoim świecie — dodał Gurronsevas, ignorując kolejny nieoczekiwany komplement. — No i co lubicie jeść. Jakie kolory i kształty podobają się wam najbardziej. Czy wygląd jedzenia jest równie ważny jak smak i zapach. Skłonny jestem przypuszczać, że sposób odżywiania się odzwierciedla osobisty poziom kultury. Podobnie jest z rytuałami kuchennymi i sposobem podawania...

— Przybyszu, zaczynasz nas obrażać — przerwał mu Remrath. — Mnie i wszystkich Wemaran. Czy sugerujesz, że jesteśmy dzikusami?

— Uważaj — podpowiedziała Murchison. — Chcesz doprowadzić do konfliktu?

— Nie to jest moim zamiarem — odparł pod adresem obojga rozmówców. — Wiem, że Wemaranie umierają powoli z głodu, a wiele rytuałów związanych z przygotowywaniem i podawaniem posiłków wymaga nadwyżek surowca, niekiedy zaś oznacza nawet jego programowe marnowanie. Ale zawsze znajdzie się jakiś sposób złagodzenia monotonii. Mimo że nie wiem dużo o waszej sztuce przygotowywania posiłków, miałbym kilka gotowych sugestii. Gdyby któraś z nich z jakiegokolwiek, fizycznego czy psychologicznego, powodu, okazała się nietrafiona albo przykra, powiedz mi, proszę, od razu, nie tracąc czasu na uprzejmości. Jednak nim zaczniemy, pozwól mi spróbować tego, co jest dostępne, i wyjaśnij, proszę, dlaczego uważasz zadanie za niemożliwe. Do testów będę potrzebował próbek wszystkich warzyw i przypraw, których używacie. Byłbym też wdzięczny, gdybyś pokazał mi miejsca, w których je zbieracie. Widząc rośliny w ich naturalnym stanie, znając sposób ich pozyskiwania i mogąc spróbować innych, podobnych roślin, miałbym większe szanse na stworzenie alternatywnego menu.

— Ale my potrzebujemy mięsa — powiedział zdecydowanie Remrath. — Masz jakieś pomysły, skąd je wziąć?

— Jedyny to taki, byście zjedli kogoś z nas — odparł zniecierpliwiony dietetyk.

— Gurronsevas... — westchnęła Murchison.

— Nie zrobilibyśmy tego — rzekł całkiem poważnie Remrath. — Z całym szacunkiem, twoje kończyny i ciało wydają się bardzo twarde. Mógłbyś smakować jak kawał drewna. Zmiennokształtny pewnie wywołałby niestrawność, zmieniając postaci w naszych żołądkach, a piękna skrzydlata istota wydaje się równie pozbawiona ciała jak wyschnięty krzak. Jedynie ta istota, która chodzi na dwóch nogach, i druga, z lśniącym futrem, mogłyby się nadawać. Czy mają niebawem umrzeć?

— Nie.

— No to nie możesz nam ich oferować — stwierdził nadal śmiertelnie poważny Remrath. — Wemaranie uważają, że niedobrze jest zjadać inną istotę, jeśli nie umrze ona naturalną śmiercią i wolna od chorób. Albo jeśli nie zginie w wypadku. Nie wolno skracać niczyjego życia ze współczucia wobec głodnych, jakkolwiek rozpaczliwa jest nasza sytuacja. Jestem wdzięczny za propozycję, ale zdumiony też i wstrząśnięty, że mogłeś okazać taki brak uczuć, gdy chodzi o przyjaciół. Twój dar nie zostanie przyjęty.

— Cieszę się — mruknęła Murchison.

— I ja — dodał Gurronsevas poza kanałem autotranslatora. — Jestem twardy tylko na zewnątrz. — Chyba jednak zapędził się w ślepą uliczkę... — Proszę, nie musisz się dziwić, bo podzielam twoje przekonania — powiedział do Remratha. — Źle dobrałem słowa, chciałem tylko zadać następne pytanie. Czy Wemaranie przyjęliby żywność spoza planety, zakładając, że okazałaby się jadalna i nie mogłaby wam zaszkodzić?

— Mięso z innych światów? — spytał Remrath z nadzieją.

— Nie — odparł Gurronsevas, tym razem mówiąc dokładnie to, co chciał powiedzieć. Wyjaśnił, że chociaż można stworzyć żywność o konsystencji i smaku różnych mięs, nigdy nie używa się do tego materiału, który był kiedyś żywym stworzeniem. A to dlatego, że w Szpitalu pracowały bardzo różne istoty, które mogły być podobne do jadalnych zwierząt z innych światów. Spożywanie szczątków tych zwierząt mogłoby rodzić wiele przykrych sytuacji.

— Cała nasza żywność jest sztucznie wytwarzana, ale nie da się wyczuć różnicy.

Remrath westchnął, zapewne z niedowierzaniem.

— Wyraziłeś chęć zwiedzenia naszych warzywników — powiedział w końcu. — Obowiązki nie pozwalają mi na dłuższe spacery po dolinie. Muszę zacząć przygotowywać wieczorny posiłek...

Gurronsevas ukrył rozczarowanie. Lepiej by było, gdyby to właśnie Remrath wprowadził go w tutejszy świat roślin, oszczędzając samodzielnego dochodzenia, co jest czym, przy zbieraniu próbek. W tej sytuacji będzie musiał poddać wszystko pełnej analizie na obecność toksyn. Z pomocą byłoby szybciej.

— Co podajecie wieczorem? — spytał.

— Mniej więcej to samo. — Wemaranin wskazał sztywną ręką na przyległe pomieszczenie. — Zyskamy jednak trochę czasu, jeśli przyniesiesz drwa i pomożesz mi umyć warzywa.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Po nierównym gruncie doliny Remrath poruszał się jeszcze wolniej niż Tawsar i wyraźnie sprawiało mu to więcej bólu. Konsekwentnie odmawiał też wyjścia na obszar oświetlany przez wczesnopopołudniowe słońce. Obie trudności rozwiązała Naydrad, która dołączyła do nich z samobieżnymi noszami i rozwinęła ekran przeciwsłoneczny nad nieco opornym z początku pasażerem. Kelgianka została poproszona o prowadzenie pojazdu i niewtrącanie się do rozmowy Wemaranina i Gurronsevasa. Posłuchała, chociaż falowanie futra jasno dawało do zrozumienia, co o tym myśli. Danal — ta, którego ochrona okazała się niepotrzebna, wrócił do pozostałych na pokładzie Rhabwara, gdzie miał pomóc w opracowaniu danych zebranych za pomocą skanera.

Południowe lekcje odbywały się w wielkiej jaskini, co pozwalało chronić uczniów przed palącymi promieniami słońca i korzystać jak najwięcej ze światła. Potem uczniowie znowu wyszli z kopalni do pracy, ale Remrath jakby zapomniał, że nie zamierzał przeznaczyć na zbieranie okazów więcej czasu, niż to było niezbędne. Wyraźnie cieszył się wygodą podróżowania na noszach i nieustannie dziwił temu, co słyszał od Gurronsevasa.

— Oczywiście nie jadacie na swoim świecie kwiatów? — spytał podczas jednego z postojów na wyższej partii zbocza.

— Czasem tak — odparł dietetyk. — Wykorzystuje się kruszone albo gotowane łodygi, liście czy płatki, zwykle jako przyprawy. Często zaś robi się z nich przybranie talerza, aby potrawa wyglądała atrakcyjniej. Stawia się je też na stole dla ich zapachu, który stwarza miłą atmosferę. Bywa, że niektórzy je jedzą.

Remrath znowu coś zamruczał. Przez całe popołudnie wydawał takie dźwięki.

— Te jagody o brunatno nakrapianej skórce są jadalne? — spytał Gurronsevas, wskazując niski krzak ze splątanymi liśćmi, w którym rozpoznał źródło stosowanych w kuchni myjek.

— Tak, ale tylko w niewielkich ilościach. To biegunki. Teraz mają ostry smak, gdy dojrzeją, będą słodkie. Nie jada się ich jednak, chyba że ktoś ma kłopoty z wydalaniem. Chyba nie zamierzasz ich brać?

— Zależy mi na okazach wszystkiego, również roślin leczniczych, które mogą czasem przydać posiłkowi smaku czy aromatu. Powiedziałeś, że Wemaranie mają wiele takich roślin. Kto przepisuje je chorym?

— Ja — stwierdził Remrath.

Jako kucharze mieli wiele wspólnego. Nawet jeśli żyli w różnych kulinarnych światach, mówili tym samym językiem. Gurronsevas pomyślał, że zespół medyczny też zapewne na tym skorzysta, o ile uda się odnaleźć kogoś, kto jest miejscowym odpowiednikiem lekarza.

— A kto zajmuje się poważniej chorymi lub rannymi? Czy jest jakieś specjalne miejsce, gdzie ich leczycie? I jak z nimi postępujecie?

Cisza trwała na tyle długo, że Gurronsevas zaczął nabierać przekonania, iż znowu uraził czymś gospodarza.

— Niestety, tą osobą jestem ja — mruknął w końcu Remrath. — Ale nie chcę rozmawiać o tym z przybyszem z innego świata, nawet jeśli jest moim przyjacielem. Opowiedz mi lepiej jeszcze o ciekawych sposobach podawania jedzenia.

Wrócili do tematu, który był o wiele bezpieczniejszy i, zdaniem Gurronsevasa, ciekawszy.

Z początku zainteresowanie Wemaranina było marginalne i wynikało tylko z uprzejmości. Przede wszystkim chyba radował się przejażdżką i chciał jak najbardziej ją przedłużyć. Jednak odkąd Gurronsevas zdołał zaszczepić mu ideę, że spożywanie pokarmów może być czymś więcej niż tylko dostarczaniem organizmowi paliwa, i zaczął opisywać rozmaite zwyczaje i rytuały związane z przyrządzaniem oraz podawaniem różnych dań, potem zaś jeszcze dorzucił rewelację, iż posiłek nie musi się składać tylko z jednego dania, Remrath słuchał z wyraźnym zaciekawieniem, nawet jeśli niekiedy nie krył niedowierzania.

— Mogę uwierzyć, że uważasz potrawę za dzieło sztuki — powiedział w pewnej chwili. — Tak samo jak piękną rzeźbę czy malowidło ścienne. Ale z oczywistych względów w przypadku powodzenia artysty jest to piękno bardzo krótkotrwałe. Chociaż gdyby porównać doznania smakowe z doznaniami odczuwanymi podczas aktu prokreacji... Ale to pewnie przesada?

— Może i nie, jeśli myślisz o momencie doznawania rozkoszy, który może zostać wydłużony i zintensyfikowany, o ile nabierze się w tym doświadczenia. W pierwszym przypadku jest to przyjemność mniej intensywna, która jednak trwa dłużej, a jej doznawanie jest mniej uzależnione od wieku czy kondycji. No i nie ma czegoś takiego jak przedwczesna konsumpcja.

— Jeśli potrafisz to wszystko z jedzeniem, musisz być bardzo dobrym kucharzem.

— Jestem najlepszy — stwierdził po prostu Gurronsevas.

Remrath znowu chrząknął. Naydrad poszła tym razem w jego ślady.

Gdy wrócili do kopalni, słońce oświetlało już tylko górne partie urwiska i zrobiło się wyraźnie chłodniej. Młodzież biegała i skakała w małych grupach na pustej przestrzeni przed wejściem. Jak wyjaśnił Remrath, w ten sposób wyładowywała przepełniającą ją energię i nabierała ochoty na wieczorny posiłek i sen. W nocy nie pozwalano dzieciarni krążyć po korytarzach, aby nie zrobiła sobie krzywdy w ciemności. Wprawdzie elektrownia wodna dostarczała nieustannie energii, ale w nocy gaszono lampy, aby oszczędzać trudno dostępne żarówki.

— Zamierzasz przygotować nieco tych cudownych potraw, byśmy mogli ich spróbować? — spytał nagle Remrath. — Jak zamierzasz to zrobić, skoro nie wiesz nic o naszym jedzeniu i ledwie skosztowałeś mojego stewu?

— Spróbuję. Najpierw jednak muszę przebadać zebrane dziś próbki, aby się upewnić, że chodzi o nieszkodliwe dla mnie rośliny. Jeśli okaże się, że mogę jeść je tak samo jak wy, pomyślę nad jakimś daniem. Oczywiście wypróbuję je najpierw na sobie. Bardzo liczę na twoje uwagi dotyczące smaku i jego intensywności, ponieważ moje zmysły odbierają bodźce zapewne nieco inaczej niż wasze. Niemniej na pewno nie podam niczego, czego sam najpierw w całości nie zjem.

— Nawet jeśli to nie ma prawa się udać, chętnie popatrzę — rzekł Remrath. — Czy chcesz teraz wrócić do kuchni?

— Nie — odparł zdecydowanie Gurronsevas, nie przyzwyczajony do tego, aby ktoś kwestionował w ten sposób jego artyzm. — Analizy i pierwsze eksperymenty mogą trochę potrwać. Wrócę jutro albo za dwa do trzech dni. O ile się zgodzisz, oczywiście.

— Będziesz potrzebował przewodnika, żeby znaleźć drogę do kuchni?

— Dziękuję, nie. Pamiętam ją.

Nie rozmawiali już przed dołączeniem do rozbrykanej dzieciarni. Dwoje młodych pomogło Remrathowi wysiąść. Jeden wpełzł pod pozbawione podpór nosze i zaczął zaraz opowiadać wszystkim, jak dziwnie się poczuł, gdy pola repulsorów objęły jego głowę i ramiona. Kolejny próbował zająć miejsce w pustym pojeździe i Remrath musiał pogonić towarzystwo, grożąc natychmiastowym poćwiartowaniem, co przy małej sprawności pierwszego kucharza nie brzmiało zbyt prawdopodobnie. Nikt się też jego groźbami nie przejął.

Naydrad wyprowadziła nosze z tłumu i skierowała ku statkowi. Gurronsevas zamierzał ruszyć za nią, gdy Remrath jeszcze się odezwał.

— Tawsar też się ucieszy, jeśli znowu nas odwiedzisz i zgodzisz się porozmawiać z dzieciakami o innych światach, istotach i cudach, które widziałeś. Ale o pracy w kuchni nie wolno ci rozmawiać z nikim poza mną, o ile nie chcesz wzbudzić swoimi niezwykłymi pomysłami jakiejś niezdrowej sensacji.

Dietetykowi bardzo nie spodobała się sugestia, że wielki Gurronsevas mógłby przygotować cokolwiek niejadalnego. Zapanował wszakże nad złością. Nie chciał narażać Prilicli na przykre doznania.

Gdy dotarł na pokład medyczny Rhabwara, Naydrad wyładowała już próbki i, falując futrem, skupiła uwagę na podajniku żywności. Murchison i Danalta odprawiali jakieś czary przy konsoli analitycznej. Gurronsevas rozejrzał się w poszukiwaniu Prilicli, lecz Murchison wyjaśniła mu wszystko, nim zdążył spytać.

— Cinrussańczyk poczuł się zmęczony, jak zapewne wiesz. Cztery godziny temu poszedł spać, my zaś staramy się nie emocjonować niczym zbyt głośno. Długi dzień miałeś, Gurronsevas. Chcesz coś zjeść czy odpocząć? A może jedno i drugie?

— Ani jedno, ani drugie. Potrzebuję informacji.

— Czy to nie tak jak my wszyscy? — zaśmiała się Murchison. — Co dokładnie chcesz wiedzieć?

Dietetyk opisał możliwie najdokładniej, na czym mu zależy. Potrzebował na to wielu minut, ale gdy Murchison miała już odpowiedzieć, nad nimi pojawił się Prilicla. Starszy lekarz pomachał jedną z delikatnych kończyn, aby mówiła.

— Po pierwsze, kwestia zbadania tutejszych roślin pod kątem jadalności przez FGLI, czyli ciebie, oraz miejscowych DHCG. Tawsar dostarczyła nam znacznie więcej informacji, niż mogłaby się domyślać, i chociaż nadal niewiele wiemy o ich endokrynologii, sądzimy, że niebawem wyjaśnimy te i inne wątpliwości. Na przykład sprawę dryfu genetycznego, który zapewne nastąpił w tej okolicy. Przypuszczamy, że jego skutki ujawniają się w okresie dojrzewania i polegają na zmianie preferowanej diety z roślinnej na mięsną. Albo raczej z roślinożercy na wszystkożercę. Pomijając medyczne szczegóły, które cię nie zainteresują, mogę powiedzieć, że budowa języka tych istot wskazuje na obecność organów zmysłu smaku, skład chemiczny śliny zaś pozwala rozpocząć proces trawienia już w jamie ustnej, tak jak się to dzieje u większości ciepłokrwistych tlenodysznych, w tym u ciebie. Jeśli opiszesz swoje okazy i dasz nam kilka godzin, powiemy ci, które z tych roślin albo ich części, jak korzenie, łodygi, liście czy owoce, są jadalne dla Wemaran i dla ciebie, a które będą w mniejszym lub większym stopniu trujące. Często zdarza się jednak, że materiał, który my określilibyśmy jako toksyczny, mógłby zaszkodzić, gdyby wprowadzić go wprost do krwiobiegu, natomiast przyjęty przez układ pokarmowy nie wyrządza szkody, gdyż w procesie trawienia toksyny są rozkładane albo neutralizowane. Jest zatem mało prawdopodobne, abyś mógł się zatruć czymkolwiek, co zebrałeś, o ile będziesz próbował tego w niewielkich ilościach. To samo dotyczy Wemaran kosztujących materiału wytworzonego w naszym syntetyzerze. Nie powiemy, jak dokładnie będą smakować poszczególne próbki. Skład chemiczny podpowie, czy chodzi o smak intensywny, czy wręcz odwrotnie, ale nie zagwarantujemy, że We — maranie w tym zagustują. Jak sam wiesz najlepiej, smak to sprawa osobista i może być rozmaity u różnych osobników tego samego gatunku, a co dopiero mówić o przedstawicielach różnych ras.

— Mam wrażenie, że podniebienia Wemaran będą musiały przejść niejaką reedukację — powiedział Gurronsevas.

— To już szczęśliwie nie mój problem — powiedziała ze śmiechem Murchison. — Chcesz wiedzieć coś jeszcze?

— Tak — odparł dietetyk, kierując oczy na Priliclę. — Ale to nie kulinarna ani medyczna sprawa. Ciekawi mnie, ile czasu mamy, aby nad tym wszystkim popracować. Obecnie jesteśmy traktowani przyjaźnie, ale to się może zmienić wraz z przybyciem myśliwych. Kiedy mają wrócić?

— Też chcielibyśmy to wiedzieć — przyznał starszy lekarz. — Przyjacielu Fletcher?

— Tu jest mały problem, doktorze — odezwał się kapitan. — Tremaar monitoruje teren w promieniu pięćdziesięciu mil od kopalni i nie dostrzegł na razie grupy łowców. Poza tym obszarem okolica jest pagórkowata i porośnięta lasem, w którym niewiele widać. Pozostałe osiedla też są pod obserwacją, lecz najbliższe leży na brzegu górskiego jeziora ponad trzysta mil stąd. Na Tremaarze sądzą, że przy takiej awersji do światła słonecznego myśliwi podróżują tylko nocą, a za dnia odpoczywają. Niemniej i tak trudno byłoby odszukać ich z orbity. Mogę za to wypuścić bezzałogowy pojazd zwiadowczy. To maleństwo wykryje każdy przejaw życia, nawet gdy będzie to ostatni okaz na całej planecie. Wykorzystuje spiralny schemat poszukiwań na niskim pułapie. O ile wszyscy myśliwi nie zginęli, dowiesz się szybko, gdzie są, ilu ich jest i kiedy tu będą.

— Proszę zrobić to natychmiast — rzekł Prilicla i podleciał do dietetyka. — Wyczuwam twoje zadowolenie, przyjacielu Gurronsevas, ale do sukcesu daleka droga. Jesteśmy małym zespołem, za małym i zbyt słabo wyposażonym, by wyleczyć całą chorą planetę.

— I poza tym jesteśmy bardzo skromni — dodała Naydrad, odwracając się od podajnika żywności.

— Niemniej powinno nam się udać rozwiązać problemy jednej, odizolowanej społeczności, chociaż czeka nas jeszcze sporo pracy. Twoje rozmowy z Remrathem wyjaśniły powody, dla których dorośli nie chcą jeść tego co młodzi, ale Tawsar ciągle nie chce wyjawić nam wielu szczegółów, bez których trudno o zrozumienie ich sposobu życia. Najwięcej wiemy na razie o ich kuchni. Annały pierwszych kontaktów nie odnotowały chyba jeszcze podobnej sytuacji.

Gurronsevas nic nie powiedział. Było mu miło, że zauważono jego wkład, i wiedział, że inni też zdają sobie z tego sprawę.

— Słyszeliśmy, jak Remrath cię zapraszał — powiedział Prilicla. — Co zamierzasz?

— Chciałbym wrócić tam jutro o tej samej porze. Do tego czasu będę miał już wyniki analiz zebranych dziś okazów i zdołam rozpocząć pierwsze próby. Przy okazji porozmawiam znowu z Remrathem i trochę pomogę mu w kuchni. Nie będę potrzebował ochrony. Czuję się tam całkiem dobrze.

Nie dodał, że w prostej i pełnej pary kuchni Wemaranina czuł się tak naprawdę lepiej niż w aseptycznym wnętrzu statku szpitalnego.

— Rozumiem twoje odczucia, przyjacielu Gurronsevas — oznajmił cicho empata. — Byłbym jednak spokojniejszy, gdyby Danalta ci towarzyszył. Na wszelki wypadek. Przyda się też, gdyby ktoś potrzebował pomocy medycznej. Według znanych mi statystyk, na liście miejsc, w których dochodzi do największej liczby wypadków, kuchnia zajmuje drugą pozycję.

— Szczególnie kuchnia pełna kanibali — dodała Naydrad.

— Jak pan chce, doktorze — powiedział Gurronsevas, ignorując Kelgiankę. — Czy mógłbym odwzajemnić gościnność Remratha, zapraszając go tutaj?

— Oczywiście, ale bądź ostrożny — odparł Prilicla. — Taką samą propozycję złożyliśmy Tawsar, jednak odmówiła bez wahania. Towarzyszyły temu bardzo złożone emocje, które trudno byłoby określić jako przyjazne. Remrath może zareagować w ten sam sposób. I dlatego, nim znowu spotkasz się z pierwszym kucharzem, musimy omówić z tobą całokształt sytuacji, przedstawić wszystko, co wiemy. Tak fakty, jak i spekulacje. Przy całej ich dotychczasowej antypatii wobec obcych pański kanał kontaktowy jest najbardziej obiecujący. Nie możemy ryzykować, że stracimy go przez przypadek tylko dlatego, że o czymś ci nie powiedzieliśmy.

Jestem kucharzem, pomyślał Gurronsevas. Kucharzem, nie lekarzem czy specjalistą od kontaktów. Oni jednak traktują mnie, jakbym był i jednym, i drugim, i trzecim. Nie obawiał się wszakże tej odpowiedzialności, wręcz przeciwnie.

— Nadal będziemy rejestrować wszystkie twoje rozmowy z Remrathem, czy to w kopalni, czy poza nią, ale przestaniemy się wtrącać z niepotrzebnymi radami. Niemniej w razie potrzeby zareagujemy możliwie najszybciej. Nasze milczenie nie będzie więc znaczyć, że o tobie zapomnieliśmy. Dokładne procedury bezpieczeństwa poznasz podczas odprawy.

— Dziękuję.

— Nie musisz się zatem obawiać o swoje bezpieczeństwo czy pracę, przyjacielu Gurronsevas. Jak dotąd sprawiłeś się świetnie i tak też będzie dalej. Wydaje mi się jednak dziwne, że specjalista twojego formatu nie czuje się nieswojo pośród istot, które nie traktują go z takim szacunkiem, na jaki sobie zasłużył.

— Na Wemarze muszę dopiero zdobyć szacunek — powiedział Gurronsevas.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Bezzałogowy pojazd zwiadowczy Fletchera odnalazł grupę myśliwych i przesłał jej zdjęcia. Łowców było czterdziestu trzech, kierowali się już ku kopalni, ale nadal mieli przed sobą około dziewięciu dni marszu. Szli raczej, niż skakali, gdyż czterech z nich dźwigało wykonane z gałęzi nosze z piątym. Pięcioro myśliwych prowadziło na postronkach niewielkie zwierzęta mające około jednej piątej masy Wemaranina. Poza chorym czy rannym na noszach, wszyscy nieśli plecaki, wyraźnie już puste i obwisłe. Polowanie nie należało chyba do udanych.

Gurronsevas miał sam zdecydować, czy pokaże zdjęcie grupy łowców Remrathowi. Wieść o ich rychłym przybyciu mogłaby popsuć relacje z pierwszym kucharzem, który od czasu wspólnej wycieczki po dolinie nie liczył się tak bardzo ze słowami, zwłaszcza gdy — tak jak teraz — były to słowa krytyki.

— To bezsensowna dziecinada. Gurronsevas, ile razy mam ci powtarzać, że do jedzenia roślin zostaliśmy zmuszeni przez głód? Nie czynimy tego z wyboru. Zimne czy gorące, surowe czy duszone, to nadal tylko warzywa. Możesz sprawić, że będą pięknie wyglądały na talerzu, owszem, ale młodzi i tak tego nie docenią. A to co? Nie oczekujesz chyba, że ktoś będzie to jadł?

— To sałatka — odparł cierpliwie dietetyk. — Jeśli przyjrzysz się uważnie, zauważysz, że składa się z niewielkich ilości znanych ci roślin, które zostały posiekane na różnej wielkości kawałki i polane lekko sosem z miażdżonych nasion vrie zmieszanych z sokiem niedojrzałych jagód, który daje ciekawy posmak. Kwiaty crill też można jeść, gdyby ktoś chciał, szczególnie że ich pąki otworzą się do chwili podania sałatki, ale dodane zostały przede wszystkim jako dekoracja, która wzbogaci zapach. Jak już wyjaśniłem, to danie, podobnie jak pozostałe dwa na tacy, jest atrakcyjne po równi dzięki wyglądowi, zapachowi i smakowi. Spróbuj, proszę. Sam zjadłem już bez żadnej szkody porcje wszystkich trzech, chociaż składniki są mi całkiem obce. Zresztą niektóre wydają się całkiem smaczne.

Nie była to do końca prawda. Zanim osiągnął ostateczny efekt, musiał napróbować się rzeczy, które wcale smaczne nie były. Ale, jak powiedział sobie w duchu, w historii było już dość przerażająco prawdomównych ludzi, którzy narobili sobie i innym mnóstwo kłopotów.

— Spróbuj i sam się przekonaj.

— Nie rozumiem, dlaczego to muszą być trzy osobne dania. Dlaczego nie można zmieszać ich wszystkich?

Gurronsevas wzdrygnął się na to bluźnierstwo. Odpowiadał już na to pytanie i przypuszczał, że Remrath chce po prostu zyskać na czasie w pojedynku, który jako kolega po fachu miał nadzieję wygrać. Może dietetyk powinien powtórzyć odpowiedź, ale tak, żeby nie było już żadnych wątpliwości.

— Wśród znanych mi inteligentnych gatunków, istnieje praktyka przygotowywania i podawania dań, które ze sobą kontrastują albo współgrają. Dzieje się tak, ponieważ rasy te uważają jedzenie za przyjemność. Przyjemności dostarczają kubki smakowe drażnione różnymi smakami. Czasem z opóźnieniem. Składniki poszczególnych dań dobiera się na podobnej zasadzie, tyle że na mniejszą skalę. Posiłek może się składać z wielu dań. Pięciu, jedenastu czy nawet większej liczby, tak że ciągnie się niekiedy godzinami. W przypadku bardziej złożonych posiłków, które nazywamy czasem ucztami i które wydawane są nie tylko z powodów kulinarnych, ale także politycznych czy psychologicznych, na przykład dla wywarcia wrażenia na gościach, pochwalenia się bogactwem organizatora czy plemienia, nie oczekuje się, że biesiadnicy zjedzą wszystko, co dostaną. Gdyby próbowali, znaleźliby się w trudnej sytuacji. Osobiście nie przepadam za wielkimi ucztami, podczas których marnuje się masa jedzenia. Stawiam raczej na jakość, nie na ilość. Niemniej każde danie jest starannie przygotowywane i podawane z...

— Istoty z obcych światów tracą mnóstwo czasu na jedzenie — wtrącił Remrath. — Jak znajdujecie wolne chwile, aby budować statki kosmiczne, te wózki, co latają w powietrzu, i inne cuda?

— Aby korzystać z tych rzeczy, nie trzeba wiedzieć, jak są zbudowane. A robi się je, żeby oszczędzać czas, który można dzięki temu przeznaczyć na przyjemności życia, w tym jedzenie.

Remrath odpowiedział coś niezrozumiale.

— Są jeszcze inne przyjemności — przyznał Gurronsevas. — Szczególnie te związane z prokreacją. Jednak trudno zaznawać ich nieustannie albo nazbyt często bez narażania zdrowia. To samo dotyczy pozostałych ciekawych albo i niebezpiecznych typów aktywności, jak wspinaczka górska, nurkowanie w morzu czy latanie na aparatach powietrznych bez napędu. Ich atrakcyjność polega na tym, że jednostka podejmuje jakieś ryzyko i sprawdza swe umiejętności. Umysłowe i fizyczne warunki potrzebne do takich praktyk pogarszają się wraz z wiekiem, ale z drugiej strony im ktoś jest starszy, tym bardziej potrafi docenić dobre jedzenie i napitki. Są to też przyjemności, które można regularnie powtarzać, a jeśli dobierze się jeszcze właściwy sposób odżywiania i dbać się będzie o trawienie, może to znacząco wydłużyć życie.

— Czy jedzenie tego czegoś, tych surowych warzyw, spowoduje, że moje ciało będzie sprawne i silne?

— Gdyby były spożywane od młodości i przez całe dorosłe życie, pomogłyby ci o wiele dłużej zachować sprawność i siłę. Szczególnie gdybyś stosował wyłącznie dietę roślinną, tak jak ja. Nasi uzdrawiacze zgadzają się co do tego, a i ja mam pewne doświadczenie w gotowaniu dla istot w podeszłym wieku i wiem, że to się liczy. Jednak nie będę cię oszukiwał. Żadna zmiana menu nie sprawi, że będziecie żyli wiecznie.

Remrath spojrzał ponownie na tacę, którą Gurronsevas przygotował z takim pietyzmem.

— Oni nie będą chcieli tego jeść — rzekł z przekonaniem.

Gurronsevas pomyślał, że od przybycia na Wemar został obrażony więcej razy niż przez wszystkie minione lata. Wskazał na tacę i wrócił do tematu.

— Jak wspomniałem, normalny posiłek składa się z trzech dań. Pierwsze, które już opisałem, to przekąska o świeżym smaku, która ma raczej pobudzić, niż zaspokoić apetyt. Potem podaje się główne danie, które jest znacznie bardziej pożywne i skomponowane z większej liczby składników. No i jest go więcej, jak widzisz. Tutaj sposób prezentacji też ma znaczenie. Rozpoznasz na pewno większość warzyw, chociaż nie oglądałeś ich jeszcze w tej postaci. Zostały tylko obgotowane. Każdy rodzaj ułożono osobno na talerzu, co daje ciekawy efekt kolorystyczny i pozwala zachować smaki składników, które oczywiście giną albo zlewają się w twoim stewie. Tam podstawowym warzywem jest orrogne. Wybacz mi to sformułowanie, ale nie spotkałem chyba jeszcze tak pozbawionej smaku, mdłej wręcz jarzyny. Tutaj pokroiłem ją jednak i opiekłem po maźnięciu oliwą z owoców klekrzewu, których nie używacie jako pokarmu. Oliwa zapobiegła przypaleniu się plasterków. Smak orrogne pozostał taki sam, ale z chrupiącą skórką i warstewką oliwy efekt jest znacznie ciekawszy.

— I ładnie pachnie — powiedział Remrath, pochylając się nad tacą i wciągając głośno powietrze.

— Zwłaszcza w połączeniu z tą ciemnoczerwoną galaretką, która też została przygotowana z miejscowego... nie, nie jedz tego łyżką. Użyj szpikulca. Wybierz kawałek warzywa i zanurz go w galaretce. To coś podobnego do kelgiańskiego sarkunu albo mocnej ziemskiej musztardy i pali na języku...

— Pali! — krzyknął Remrath, sięgnął po jeden z dwóch stojących na tacy kubków i opróżnił go niezwłocznie. — Na wielkiego Gorela, mam pożar w ustach! Ale... co ty zrobiłeś z tą wodą?

— Możliwe, że źle oszacowałem wrażliwość waszych podniebień — powiedział Gurronsevas przepraszającym tonem. — Może będę musiał dać nieco mniej utartego korzenia rzezu. Niewykluczone też, że galaretka jest taka ostra, bo bardzo świeża. Płyny zostały zaprawione sokiem dwóch różnych owoców. Jeden jest gorzkawy, drugi lekko słodki i aromatyczny. Nie wiem, jak je nazywacie, bo nie stosujecie ich w kuchni, ale uzdrawiacze na statku powiedzieli, że są niegroźne dla Wemaran.

Remrath nic nie powiedział. Nabił kolejny kawałek smażonego orrogne na szpikulec i ledwo musnął galaretkę. Drugą ręką przysunął kubek do ust, aby w razie czego szybko ugasić kolejny pożar.

— Woda z waszego górskiego źródła jest zimna i czysta i świetnie nadaje się do popijania posiłków. Ale zanim trafi na stół, ogrzewa się, i to już nie jest to. Sok ma sprawić, aby była dobra niezależnie od temperatury, i pobudzić trochę zmysł smaku, tak by sama potrawa została lepiej odebrana. Na wielu światach podaje się w tym celu wino, czyli napój zawierający pewną dozę związku chemicznego zwanego alkoholem. Uzyskuje się go w procesie fermentacji niektórych roślin. Istnieje mnóstwo gatunków wina, które można dobierać tak, aby jak najlepiej pasowały do potrawy, ale na Wemarze natrafiłem na pewne kłopoty z produkcją alkoholu i zrezygnowałem z prób.

Było tu kilka roślin, z których dałoby się zrobić wino, jednak pojawił się problem. Nie chemicznej, lecz etycznej natury. Na ile udało się ustalić, alkohol był dotąd nieznany na Wemarze i wyprawa nie chciała ponosić odpowiedzialności za jego wprowadzenie. Najbardziej wzdragała się przed tym patolog Murchison, która przypomniała, że we wczesnej fazie rozwoju Ziemi subkultura rdzennych Amerykanów została niemal całkowicie zniszczona przez pijaństwo. Nikt nie znał tam wcześniej zgubnych skutków sporej konsumpcji alkoholu, takich jak zaburzenia umysłu czy zmienność nastrojów. Prilicla zgodził się, że obecnie Wemaranie mają dość kłopotów i nie ma co dokładać im nowych.

— Trzecie danie to deser — powiedział Gurronsevas. — Zwykle jest to coś słodkiego. Znowu mniejsza porcja, jakby pożegnalny akcent dla żołądka, który jest już prawie pełen. To tutaj zostało przyrządzone z siekanych łodyg cretto. Gotowałem je tak długo, aż woda wyparowała, i otrzymałem coś o konsystencji gęstej, jednorodnej pasty, całkiem bez smaku. Do niej dodałem kilka drylowanych owoców denu, pokrojone w kostkę matto i jeszcze kilka produktów, których nazw nie znam. Spróbuj, proszę. Nie spali ci języka, ale być może zaskoczy.

— Chwila — mruknął Remrath. Odstawił kubek i zamoczył piąty już kawałek orrogne w galaretce. — Nie wiem jeszcze, jak bardzo tego nie lubię.

— Nie poganiam. Zamiast zimnej sałatki na samym początku można podać ciepłą zupę. Jest to danie o konsystencji w zasadzie płynnej, tak pomiędzy napojem a cienkim stewem. Zawiera drobne kawałki roślin wzbogacone małymi ilościami ziół i przypraw. Nadal eksperymentuję z paroma kombinacjami, które są obiecujące, ale nie chcę prezentować czegoś, co nie jest ukończone. Wydaje się, że nie wiecie, jak wiele jadalnych ziół i przypraw rośnie w waszej dolinie. Większość z nich nasi uzdrawiacze uznali za bezpieczne, a nawet korzystnie działające tak na was, jak i na mnie. Niestety, między naszymi gatunkami występują pewne drobne różnice smaku, muszę zatem dopiero poprosić cię o ich ocenę, abym mógł zaproponować coś więcej.

Remrath odłożył szpikulec i sięgnął po deser. Zjadł ponad połowę głównego dania.

— Wspominałeś, że w kopalni robi się nocą bardzo zimno — powiedział dietetyk. — I jeszcze wilgotno, gdy akurat pada, bo woda dostaje się do środka szybami wentylacyjnymi. Młodym Wemaranom to nie przeszkadza, ale nauczycielom owszem. Proponowałbym między innymi, aby o ile wasze zapasy drew na to pozwolą, podgrzewać wodę podawaną z wieczornym posiłkiem. Pomoże wam trochę się rozgrzać przed spoczynkiem i nakryciem się kocami. Jeszcze lepiej byłoby podawać wieczorem gęstą i mocno przyprawioną zupę, taką gorącą i smakiem, i temperaturą. Z jej pomocą łatwiej byłoby przeczekać te chwile pod nakryciem, kiedy łóżko dopiero się nagrzewa od ciała. Dla was byłaby to drobna zmiana, ale to popularna praktyka na wielu światach. Ułatwia zrelaksowanie się i lepiej się po tym śpi.

Remrath zamarł z drugą łyżką deseru w połowie drogi do ust.

— Zmiana mała, jedna z wielu małych zmian i propozycji, które sprawiły, że jem tę cudzoziemską mieszankę roślinną, i które nie wiadomo co jeszcze sprawią. Chcesz nam pomóc i dlatego ja, oraz do pewnego stopnia inni nauczyciele, godzę się na udział w twoich dziwnych i czasem skandalicznych eksperymentach. Nie zapominaj jednak, że nie jest to dla nas łatwe. Starzy i głodni odrzuciliśmy wstyd, aby ci pomóc, ale to dzieci najbardziej potrzebują pomocy. A im trzeba mięsa. Gurronsevasie, podchodzisz do wszystkiego tak entuzjastycznie, tak starasz się pokonać wszelkie przeszkody i lekceważysz wątpliwości, że sprawiasz wrażenie osoby, która zajmuje się swoim ulubionym hobby.

Wielki Gurronsevas hobbystą! — pomyślał wściekły dietetyk. Przez chwilę ze złości mowę mu odebrało. I przyszła mu do głowy niemiła myśl: Jaka właściwie jest różnica między osobą, która poświęca w całości uwagę swemu hobby, a kimś, kto jest w pełni oddany konkretnej działalności zawodowej?

— Zapominasz jednak o tym, że ostrożna chęć do współpracy, którą okazują nauczyciele, nie musi wynikać z ich charakteru, ale może być skutkiem wieku, który przytępił nasze umysły, uczynił mniej odpornymi na argumentację. Jeśli jednak chcesz, byśmy to jedli, młody Wemaranin najpewniej ciśnie starannie przygotowanym eksperymentem o najbliższą ścianę. Albo w ciebie. Co zamierzasz z tym zrobić?

— Nic.

— Nic?

— W sprawie dzieci, nic — wyjaśnił Gurronsevas. — Zobaczą nowe potrawy, ale nie dostaną ich do spróbowania. Wszystkie będą tylko dla dorosłych. I w tym też będę potrzebował twojej współpracy. Twojej i innych nauczycieli. Powiedziałeś, że Tawsar jada sama, bo wstydzi się spożywać niegodne potrawy. Gdybyśmy jednak powiedzieli, że bierze udział w ważnym eksperymencie gastronomicznym przeprowadzanym przez gości z innych światów, może byłaby to wystarczająca wymówka do jedzenia przy innych? Gdy dzieci zobaczą, że jecie to nowe i że to wam smakuje, a jestem coraz bardziej pewien, że wam zasmakuje, zainteresują się tym i same też będą chciały. Ale wy nie pozwolicie im nawet skosztować. W rozżaleniu dojdą do wniosku, że jesteście samolubni, skoro nie chcecie się podzielić czymś tak dobrym. A wtedy z wolna poczniecie zmieniać zdanie i w końcu się zgodzicie. Tak to jest, że zakazany owoc smakuje najbardziej. I jeszcze jedno — dodał Gurronsevas. — Obecna obsługa kuchni wystarcza do przygotowywania stewu i zdarzającego się z rzadka mięsa, ale przy nowych potrawach konieczne będzie dobranie pomocników, i to sprawniejszych. Przydadzą się również do układania na talerzach tych trzydaniowych obiadów. Wybierzecie paru i razem ich wyszkolimy. W nagrodę za pomoc w kuchni ta garstka jako jedyna będzie mogła próbować nowych dań podczas szkolenia. W naturalny sposób będą oni opowiadać o swojej pracy rówieśnikom, pewnie nawet się przechwalać. Jako nauczyciel sam świetnie wiesz, jak na nich wpłynąć. Wkrótce wszyscy będą jadać jak przybysze.

Remrath milczał dłuższą chwilę. W tym czasie dokończył deser i zaczął ponownie ostrożne podchody do stygnącego już głównego dania. Gurronsevas skrzywił się, widząc konsumpcję w niewłaściwej kolejności, ale przypomniał sobie, że ma do czynienia z kulinarnym analfabetą.

— Wiesz, Gurronsevas, przebiegły i podstępny z ciebie grudlich.

Musiało to być słowo występujące tylko w słowniku Wemaran, ponieważ autotranslator nie znalazł jego tralthańskiego odpowiednika. Gurronsevas wolał nie pytać, co to znaczy. Dość już usłyszał obelg jak na jeden dzień.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Dzięki medycznemu wyposażeniu Rhabwara oraz doświadczeniu całego zespołu kulinarna edukacja Wemaran postępowała powoli naprzód. Niemniej dwustronny przekaz informacji nie ograniczał się już do kulinariów. Z wolna przybysze zaczynali tworzyć sobie pełny obraz problemu, Wemaranie zaś uczyli się spoglądać na siebie oczami przybyszów, którzy nieustannie próbowali znaleźć jakieś rozwiązanie. Z obu stron krzywa uczenia się była satysfakcjonująco stroma.

Wemar był światem pełnym gęstych zielonych lasów, na którym dominująca forma życia wyewoluowała w sposób dość typowy, przechodząc szybko od czasów przedrozumnych do fazy rozwiniętej cywilizacji technicznej i społeczeństw zawierających takie czy inne sojusze. Co pewien czas między poszczególnymi grupami zdarzały się poważne konflikty, w trakcie których dochodziło do masowego użycia coraz doskonalszych systemów broni. Szczęśliwie Wemaranie nie odkryli energii nuklearnej, dzięki czemu ich cywilizacja zdołała przetrwać na tyle długo, by nauczyć się pokojowego współistnienia. Niestety, równocześnie okazali się na tyle krótkowzroczni, że rozmnażając się bez umiaru, skłonni byli uznawać zasoby swojego świata, tak zwierzęce, jak roślinne i mineralne, za niewyczerpane.

Zbyt późno dorobili się orbitalnych oczu pozwalających dojrzeć, co zrobili ze swoją planetą.

Liczba Wemaran potrajała się w każdym pokoleniu i proporcjonalnie do tego rósł też poziom zanieczyszczeń powietrza produktami konwencjonalnego przemysłu. Ostatecznie zjonizowane warstwy atmosfery, które chroniły powierzchnię planety przed szkodliwą częścią widma światła słonecznego, zaczęły się stawać coraz cieńsze. Podobnie jak na większości światów, których oś obrotu nie była nachylona do płaszczyzny orbity i na których brakowało pór roku, i tutaj zmiany meteorologiczne związane były głównie z ruchem obrotowym planety, tym samym zaś pogoda była dość przewidywalna i nie obfitowała w bardziej spektakularne zjawiska, a zanieczyszczenia przedostające się do wyższych warstw atmosfery gromadziły się przede wszystkim nad biegunami. Tam też najpierw zanikły ochronne warstwy i stamtąd zmiany zaczęły się przesuwać ku gęściej zamieszkanym strefom i dalej.

Był to proces stopniowy, jednak z wolna powierzchnia planety, najpierw w rejonach umiarkowanych, potem subtropikalnych, zaczęła obumierać. Ginęły rośliny, ginęły wielkie stada bydła, których byt zależał od upraw. To samo działo się z rybami i roślinami wodnymi na przybrzeżnych płyciznach. Pozbawieni mięsa Wemaranie cierpieli głód i też coraz powszechniej chorowali. Słońce, które kiedyś sprawiało, że wszystko zielone rosło i kwitło, teraz paliło i zabijało. Tajemnicze choroby skóry i oczu zbierały śmiertelne żniwo.

W końcu doszło do nieuniknionego załamania technologicznego. Spadek populacji przyspieszały wybuchające coraz częściej wojny między grupami mieszkającymi w strefie równikowej a stosunkowo dobrze jeszcze odżywionymi mieszkańcami stref umiarkowanych. W ciągu ostatnich dwustu lat sytuacja ustabilizowała się na tyle, że liczba ludności nie malała już, a brak przemysłu sprawił, iż poziom zanieczyszczeń spadał i planeta się odradzała. Wiatr słoneczny ponownie jonizował górne warstwy atmosfery.

Naukowcy z Tremaara skłonni byli uważać, że na przestrzeni czterech albo pięciu pokoleń przyroda winna wrócić do normy. Pozostawała jednak kwestia Wemaran i tego, czy dotrwają do tej chwili i czy ponownie nie doprowadzą z czasem do katastrofy, rozmnażając się bez umiaru i reaktywując szkodliwe technologie.

— Mogę tylko powtórzyć, że gdy następnym razem dojdzie do podobnej katastrofy, Wemaranom może udać się wygubić własny gatunek — powiedział z całą powagą Gurronsevas.

Remrath nie podniósł głowy znad zimnych deserów, które przygotowywał dla nauczycieli i uczniów.

— Wemaranie nie lubią, by przypominano im nieustannie, że byli karygodnie lekkomyślni — rzekł ze złością. — Bez wątpienia nie lubią.

— Źle się wyraziłem. Nie jesteście lekkomyślni, nie zasługujecie też na żadną karę. W każdym razie nie dotyczy to żadnego znanego mi Wemaranina. Zbrodnię popełnili wasi przodkowie. Wy tylko odziedziczyliście problem, który musicie rozwiązać.

— Wiem, wiem — mruknął Remrath, nadal nie spoglądając na rozmówcę. — Jedząc warzywa?

— Jeszcze trochę, a w ogóle nie będzie co jeść — zauważył nie pierwszy raz Gurronsevas.

Przez kilka minionych dni stali się sobie wyraźnie bliżsi. Może nie byli przyjaciółmi, ale coraz częściej po prostu mówili prawdę, zamiast poprzestawać na uprzejmościach. Wspomagający dietetyka wszystkimi możliwymi do zdobycia informacjami o kulturze Wemaran słuchacze na Rhabwarze byli z początku przerażeni i co rusz przypominali mu, że jest ich jedynym sprawnym kanałem komunikacji. Chcieli też, by jak najszybciej wytłumaczył Remrathowi i innym powagę sytuacji, której sam do końca nie pojmował, skoro nie był ani medykiem, ani antropologiem, ani biologiem.

Gdy poprosił o rozwinięcie tematu, patolog Murchison potraktowała go tak samo, jak Tawsar zwykła traktować uczniów opóźnionych w opanowywaniu materiału. Ale Gurronsevas rzeczywiście nie wiedział nic o dryfie genetycznym ani o rozmaitych precedensach takich przemian jak ta, którą przechodzili Wemaranie, wkraczając w dorosłość. Słyszał o ziemskich żabach, ale traktował je jak przysmak tamtejszej kuchni i nie obchodził go wcześniej ich cykl rozwojowy, nawet jeśli przypominał on pod pewnym względem rozwój osobniczy Wemaran.

W odróżnieniu od Murchison, nie łapał w młodości kijanek i nie trzymał ich w słoiku, gdyż na jego planecie nie było odpowiedników tych zwierząt. Ostatecznie jednak patolog wytłumaczyła mu dobitnie różnice pomiędzy systemami trawiennymi roślinożerców, mięsożerców i wszystkożernych.

Wielkie zwierzęta roślinożerne jadły zwykle przez cały czas, którego tylko nie poświęcały na sen. Ich pokarm miał niską wartość energetyczną i żołądki tych stworzeń musiały nieustannie oddzielać to, co jadalne, od przeważających w zieleninie włókien roślinnych. Zagrożone przez drapieżców, przeżuwacze potrafiły poruszać się całkiem szybko i bronić rogami albo kopytami, brakło im jednak wytrzymałości i szybkości, które cechowały drapieżców spożywających o wiele łatwiej przyswajalny i bardziej kaloryczny pokarm.

Trzeba było szczególnych wymogów środowiskowych, by roślinożerni wyewoluowali w gatunek dominujący czy inteligentny na tyle, żeby mógł stworzyć cywilizację. Zwykle przeżuwacze pozostawały na poziomie zwierzęcym, ginęły podczas polowań albo były udomawiane i hodowane jako źródło pokarmu przez gatunek, który znalazł się na samym szczycie. Z kolei drapieżcy rzadko osiągali taki poziom współpracy, który pozwalałby im nawiązywać więzi poza rodziną, co było warunkiem stworzenia kultury i zmiany przyzwyczajeń, w tym żywieniowych.

O wiele większe zdolności adaptacyjne przejawiały gatunki wszystkożerne, jako że zawsze miały wybór między łowiectwem a zbieractwem, a w czasach zrębów cywilizacji między hodowlą a uprawą roli. Kiedy w oczy zaglądało im widmo zagłady, gdyż zboża przestawały wschodzić, bydło zaś chorowało i padało tak, jak to się zdarzyło na wielką skalę na Wemarze, byli w stanie znaleźć inny sposób przetrwania.

Istniała znacznie łatwiejsza droga od tej, którą podążali Wemaranie, wracając do klasycznego łowiectwa.

— Te gatunki, które przetrwały, przeszły na nocny tryb życia — ciągnął Gurronsevas. — Czy pod wpływem doświadczenia, czy instynktu, zmieniły swoje pory aktywności i za dnia chronią się w jaskiniach raz jamach. Ponieważ mogą polować tylko na siebie nawzajem, stały się naprawdę bardzo niebezpieczne. Sam opowiadałeś mi, że myśliwi muszą często spędzać wiele godzin na słońcu, rozkopując w strojach ochronnych głębokie nory albo tropiąc miejsce schronienia drapieżnika, który nocą ma nad nimi zdecydowaną przewagę. To trudna i ryzykowna praca i nierzadko wasi myśliwi stają się ofiarami. Uprawa warzyw nie wzbudzi niczyjego podziwu i nie zapewni sławy myśliwemu, ale to praca łatwiejsza i dająca większe szanse na przetrwanie, bo warzywa nie są agresywne. Chyba że weźmie się do nich zbyt wiele cressle.

— To poważna sprawa — powiedział Remrath. — Wemaranie zawsze jadali mięso.

Gurronsevas pożałował nagle, że nie może się skonsultować z majorem O’Marą albo jeszcze lepiej — z Ojczulkiem Liorenem. On posługiwał się logiką, jego partner bazował na wierze, naukowe fakty spotykały się z przekonaniem, które urosło niemal do miana religii. I jak to często działo się w podobnych przypadkach, nauka przegrywała.

— Masz oczywiście rację. Sprawa jest poważna i Wemaranie zawsze byli mięsożerni, przynajmniej według wszystkich waszych przekazów. Wiele wieków temu, gdy lasy i pola pełne były zwierząt, na które można było bez lęku polować w blasku słońca, chyba nie tylko dorośli jedli mięso. Małe dzieci, które przestawały ssać mleko matki, żywiono cienkim bulionem warzywnym na mięsie, ponieważ ich żołądki nie były gotowe przyswajać wyłącznie mięsa. Do tego doszli nasi badacze na statku i mi też wydaje się, że to słuszny domysł. Jednak już w młodym wieku młodzież zaczynała jeść tyle samo mięsa co dorośli. Ale nie działo się to z konieczności. Ani oni wtedy nie byli tak naprawdę mięsożerni, ani wy nie jesteście. Fizycznie Wemaranie nie nadają się na rolników. Macie długie tylne kończyny i ogony, zwykliście poruszać się szybko i raptownie zmieniać kierunek, można więc sądzić, że wyewoluowaliście jeszcze w przedrozumnych czasach z wielkich drapieżców. Aż do chwili, gdy wasz świat został dotknięty przez katastrofę ekologiczną, mięsa było dość i polowanie oraz hodowla były łatwiejszymi sposobami pozyskiwania pokarmu niż uprawa. To sprawiło, że konieczność, czyli jedzenie przede wszystkim mięsa, stała się cnotą. Ale gdy zasoby mięsa zaczęły się kurczyć, wy zaś nie potrafiliście zmienić sposobu myślenia, owa cnota zwiększyła wasze problemy. Nie wiem tego na pewno — dodał Gurronsevas, widząc, że Remrath chce zaprotestować. — Mogę tylko spekulować, co się działo dwa albo trzy wieki temu. Sądzę jednak, że kiedy brak mięsa stawał się coraz bardziej dokuczliwy, wydłużał się też okres żywienia dzieci potrawami roślinnymi, aż doszło do tego, co jest teraz, że mięso jadają tylko dorośli. Zapewne niedługo potem rozciągnięto to na starych, którzy lata aktywności mieli już za sobą. Możliwe, że doszło do tego na ich prośbę. Prawdopodobnie wkrótce mięso było tylko dla myśliwych obu płci, jako że to od nich, stawiających czoło największemu niebezpieczeństwu, zależało przetrwanie grupy. Oni musieli odżywiać się najlepiej. W najtrudniejszych chwilach nikt zatem nie protestował, gdy zachowywali skromną zdobycz dla siebie. Nie z samolubstwa, ale z przekonania, że jeśli oni zginą, zginą wszyscy Wemaranie. Czy nie tak?

Powracający łowcy maszerowali wolniej, niż się spodziewano, Gurronsevas miał nieco czasu, aby poznać mowę ciała i mimikę Remratha. Teraz stary kucharz wyglądał na speszonego i zawstydzonego, a te odczucia mogły łatwo zmienić się w złość. To nie była odpowiedź. Z chęci niesienia pomocy dietetyk za bardzo naciskał na przyjaciela. Czasem, tak jak teraz, musiał prędko szukać sposobu, aby rozluźnić atmosferę i nie dopuścić do natychmiastowego zerwania kontaktu.

— Czy gdybym ich poprosił, daliby mi nieco mięsa? — spytał. — Naprawdę mały kawałek. Potrafię być bardzo twórczy, gdy chodzi o przyrządzanie mięsa.

Remrathowi jakby na chwilę tchu zabrakło. Potem wydał szereg szczekliwych dźwięków, które były u niego odpowiednikiem śmiechu.

— W żadnym razie! — powiedział. — Mięso jest zbyt cenne, aby pozwolić je zmarnować obcemu specjaliście od gotowania warzyw.

Gurronsevas milczał, czekając, aż Remrath sam pojmie, że uraził przyjaciela, i postanowi przeprosić.

— Wiem, że nie zepsułbyś mięsa rozmyślnie. Ale zmieniłbyś jego smak swoimi sosami i przyprawami, tak że nie poznaliby, że to mięso. — Wahał się chwilę. — Masz rację. Jeśli polowanie nie jest szczególnie udane, a za mojej pamięci nie było takie ani razu, odkąd opuściłem szeregi łowców i zostałem nauczycielem, ani młodzi, ani starzy nie dostają mięsa. Czasem zdarzy się, że myśliwy da coś w wielkiej tajemnicy swoim rodzicom albo potomstwu, ale nie pamiętam, kiedy ostatnio był taki wypadek. Mięso jest zatem na tyle rzadkie, że nawet myśliwi muszą jeść warzywa — dodał Remrath tak cicho, że Gurronsevas ledwie go usłyszał. — Inaczej jadaliby szalenie skromnie. Twierdzą wszakże, że ta odrobina mięsa, która znajduje się w ich daniach, dodaje im sił. Czują się uprzywilejowani przez to, że znają jego smak. Ale obawiam się, że ta duma częściej odbiera im siły, niż ich przydaje.

To coś Gurronsevas usiłował przekazać przyjacielowi już od dłuższego czasu, jednak nie pora była wracać do dawnych sporów.

— Zatem musimy tak gotować warzywa, aby myśliwi zaczęli zazdrościć innym smacznego jadła — powiedział ze śmiechem.

Remrath nie roześmiał się.

— Kilka dni temu, nim jeszcze wszyscy zapragnęli jadać twoje trzydaniowe obiady, byłaby to kuriozalna myśl. Ale teraz... Gurronsevas, warzywne nowinki dla młodych i starych to za mało. Jeśli Wemaranie mają przetrwać jako rasa, muszą mieć mięso. A nasi myśliwi się spóźniają. Ale... Nie muszę ci chyba przypominać o obietnicy waszego pierwszego uzdrawiacza, że odlecicie przed powrotem myśliwych?

Prilicla zostawił Gurronsevasowi decyzję co do tego, kiedy powiedzieć mieszkańcom kopalni, że ich łowcy są już blisko, i to chyba był właściwy moment. Jednak dobrej nowinie winno towarzyszyć przypomnienie, że Wemaranie muszą zmienić sporo w swoim życiu. Dietetyk otworzył saszetkę, którą nosił przy pasie, i zapuścił do niej oko, szukając zdjęć z pojazdu zwiadowczego.

— Wszyscy Wemaranie, tak młodzi, jak i starzy, całkiem dobrze wychodzą na diecie warzywnej — powiedział. — Są zdrowi i silni. Nasi uzdrawiacze, którzy wiedzą dużo o sposobach odżywiania się istot z różnych światów, mówią, że młodzi dorośli również mogliby ją z powodzeniem stosować. Zgadzają się, że mięso jest dla nich dobre, ale nie musi być ono wcale jedynym źródłem energii. Sądzimy, że jedzenie mięsa stało się dla was czymś w rodzaju religijnego dogmatu, nawykiem powstałym wiele pokoleń temu. Jednak jest to tylko nawyk i można go zmienić. Ale nie rozpoczynajmy nowej dyskusji — dodał szybko. — Mam dla ciebie dobrą wiadomość. Wasi myśliwi są już blisko. Przy obecnym tempie marszu dotrą tu pojutrze późnym rankiem. Idą wolno, bo są obładowani. Jeśli tak bardzo potrzebujecie mięsa, niebawem będziecie je mieli.

Potem opowiedział, czym jest pojazd zwiadowczy, i nie wyjaśniając, kiedy dokładnie zrobiono zdjęcia, rozłożył je przed Remrathem. Powiększone i wyostrzone obrazy ukazywały wyraźnie pięć prowadzonych na postronkach zwierząt i każdy szczegół zszytego ze skór daszku nad noszami. Dzień był pochmurny, łowcy zdjęli więc płaszcze z kapturami i ich twarze łatwo było rozpoznać. Nawet na Gurronsevasie jakość fotografii robiła wielkie wrażenie.

— Może dlatego właśnie się spóźniają, że prowadzą pięć zwierząt i mają jeszcze ciężkie nosze — powiedział entuzjastycznie Gurronsevas. — Sam widzisz. Na pewno poznajesz przyjaciół. Nie mam pojęcia, ile zwykle przynoszą, ale tym razem zdobycz chyba jest znaczna.

— Nic nie wiesz — szepnął Remrath. — To żadna zdobycz. Myśliwi nie powinni iść, lecz skakać, aby tusze małych zwierząt schowane w plecakach nie zdążyły się zepsuć. I powinni prowadzić co najmniej dwadzieścia dużych crelli lub twasachów, a nie tylko pięć chudych podrostków. Tymczasem większość plecaków jest pusta i jeszcze mają nosze, co oznacza, że któryś z myśliwych został ranny, być może śmiertelnie.

— Przykro mi. Wiesz, kto to?

Ledwie Gurronsevas to powiedział, zrozumiał, że pytanie było niepotrzebne. Wszystkie twarze na zdjęciu były tak wyraźne, że wystarczyło sprawdzić, kogo nie ma.

— To Creethar, wódz łowców — powiedział Remrath jeszcze ciszej. — Dzielny, zaradny i powszechnie podziwiany myśliwy. Mój najmłodszy syn.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Tawsar była pełna współczucia, ale jakby trochę się boczyła, Remrath zaś twardo obstawał przy swoim, co oznaczało, że to on zwyciężył. Niemniej i tak upłynęły jeszcze trzy godziny, zanim Rhabwar z pierwszym kucharzem na pokładzie wystartował do jednej z tych misji, do których został zaprojektowany.

Sytuacja była naprawdę trudna. Nawet Gurronsevas rozumiał to doskonale, chociaż nie był lekarzem. Dla Prilicli musiało to być coś w rodzaju koszmarnego snu.

Gurronsevas też czuł się nieswojo i był pewien, że z pozostałymi jest podobnie. Mimo prób opanowania emocji byli bez wątpienia mocno wzburzeni, gdyż empata całą godzinę nie nazwał nikogo przyjacielem.

Wemaranom tak bardzo brakowało mięsa, że musieli wypuszczać się po nie naprawdę daleko, tymczasem nie mieli możliwości technicznych, aby uchronić zdobycz od zepsucia się. Jedynym sposobem było zachowanie zwierząt przy życiu do chwili powrotu do kopalni.

Remrath zapewniał, że nawet chory i obolały, praktycznie nie leczony Creethar zrobi wszystko, aby nie umrzeć przed powrotem do domu. Jako odważny i honorowy myśliwy był to winny swojemu plemieniu.

Remrath stał przed ekranem na pokładzie medycznym i ani drgnął, gdy Fletcher przyziemił Rhabwara w dogodnym terenie kilkaset jardów od grupy myśliwych.

Prilicla unosił się niepewnie obok Gurronsevasa, który też był pełen obaw. Chciałby je ukryć, ale wiedział, że przed empatą nic się nie ukryje.

— Gdy rozmawiałem z Tawsar i Remrathem, razem i osobno, jak prosiłeś, nie mogli się zgodzić — powiedział. — Tawsar zabraniała nam interweniować, Remrath zaś chciał nam pomóc ze wszystkich sił. Gdybyśmy spróbowali zrobić coś bez zgody Tawsar, nasze dobre kontakty z Wemaranami byłyby poważnie zagrożone. Jednak z tego, co widziałem, Tawsar lubi i szanuje pierwszego kucharza, a obecnie też bardzo mu współczuje, tak że ryzyko chyba nie będzie aż tak wielkie. Ostatecznie Creethar jest najmłodszym i jedynym żyjącym dzieckiem Remratha.

— Już mi to mówiłeś — odparł Prilicla. — Bardzo sobie cenię twoje próby dodania nam ducha. Jednak jako szef ekipy medycznej nie miałem wyboru. A może obawiasz się czegoś jeszcze?

— Nie wiem. Ale chyba coś nam tu umyka. Remrath wyruszył z nami, chociaż Tawsar była przeciwko. Stwierdził jednak, że musi przekonać myśliwych do naszych dobrych intencji, byśmy mogli jak najszybciej zabrać Creethara do domu, gdzie albo zostanie wyleczony, albo umrze. Mam wszakże wrażenie, że nie o to dokładnie mu chodzi. Słyszałeś zapewne rozmowę, do której doszło przed opuszczeniem kopalni. Remrath powiedział Tawsar, że jako ojciec ma ostatnie słowo w sprawie tego, co się stanie z rannym pierwszym myśliwym. I że chce, aby raczej to obcy, a nie on sam albo inni Wemaranie, zajęli się leczeniem. Godzi się z perspektywą, że jego syn zostanie na statku tak długo, jak będzie to konieczne. Nic więcej nie padło, a ja nie umiem czytać emocji, nie rozumiem jednak, dlaczego tak łatwo zgodził się oddać nam syna. Sądzę, że nie powiedział nam wszystkiego, i bardzo mnie to niepokoi.

— Znam twoje odczucia. Twoje i Remratha — rzekł Prilicla. — W tej chwili emanuje niepewnością i smutkiem typowym dla kogoś, kto spodziewa się utraty najbliższej osoby, której stan jest poważny, chociaż jeszcze nic naprawdę nie wiadomo. Głębiej zaś wyczuwam jeszcze dziecięcą wprost radość z pierwszego w życiu lotu. To wysoce inteligentna istota, która mimo niemal barbarzyńskiego trybu życia jest cywilizowana i otwarta. I ufa nam. To zaufanie zawdzięczamy tobie, przyjacielu Gurronsevas. Za zgodą ojca Creethar otrzyma najlepszą możliwą opiekę. Nie ma zatem czym się martwić. Niemniej nadal wyczuwam twój niepokój.

Gurronsevas nie zdążył odpowiedzieć. Pokład zadrżał lekko, gdy kompensatory grawitacji złagodziły wstrząs towarzyszący gwałtownemu lądowaniu. Po chwili na pokład wpadło ciepłe powietrze z zewnątrz. Remrath wsiadł sztywno na nosze i cały zespół ruszył do włazu. Wszyscy, z wyjątkiem Murchison, która miała przygotować sprzęt na przyjęcie chorego, gdy tylko uda się określić jego stan.

Remrath zajął miejsce na czele grupy, nakazując pozostałym milczenie, gdy on będzie rozmawiał. Stwierdził wyraźnie, że bez jego udziału wszelkie próby przejęcia rannego przez obcych musiałyby spalić na panewce, być może z licznymi ofiarami po obu stronach. Zespół medyczny nie miał wyboru, musiał się zgodzić. Gurronsevas spróbował postawić się na miejscu myśliwych, którzy po raz pierwszy ujrzeli dziwny statek i wysypującą się z niego menażerię, która zamierza zabrać ze sobą jednego z nich.

Zaczął się obawiać, że jego przyjaciel może cierpieć na demencję starczą, skoro ma skłonność do aż przesadnej pewności siebie.

Remrath przemawiał jednak do łowców tak, jakby nadal byli jego uczniami. Spokojnie, bez cienia wahania, z poczuciem własnego autorytetu. Zaczął od tego, że nie mają się czego bać, i wyjaśnił, dlaczego. Najpierw była krótka lekcja astronomii. Wspomniał o licznych układach planetarnych, na których istnieje życie, w tym życie inteligentne. Dodał, że siedliska tego życia są bardzo odległe, przez co każda rasa, która rusza ku gwiazdom, musi mieć za sobą wiele wieków pokojowego istnienia pozwalającego osiągnąć taki stopień rozwoju technicznego, który jest konieczny do podróżowania na inne światy...

Danalta przybrał kształt przeciętnej dwunożnej istoty, który nie powinien niepokoić Wemaran. Przysunął się do Gurronsevasa.

— Gdy twój przyjaciel proponował nam pomoc, nie oczekiwałem czegoś takiego — powiedział.

— Mimo że w zasadzie łączy nas jedno, nie rozmawiamy tylko o kuchni — odparł Gurronsevas.

— Jasne.

Byli jakieś dwadzieścia stóp od noszy z chorym. Myśliwi nie zamierzali na razie schodzić im z drogi.

— Te dziwne istoty wokół mnie przybywają w pokoju — mówił Remrath. — Nie chcą nikomu zrobić krzywdy, lecz pragną nam pomóc. Jedna z nich — wskazał Gurronsevasa — już pomogła nam w sprawach żywienia, i to na kilka niezwykłych sposobów, których teraz nie będę opisywał. Pozostali to uzdrawiacze i mają wielką wiedzę, którą gotowi są nam przekazać. Na mocy ojcostwa postanowiłem pozwolić im zająć się moim synem. Postawcie nosze i odrzućcie nakrycia. Czy Creethar jeszcze żyje? — dodał ciszej, o wiele łagodniejszym głosem.

Odpowiedziała mu cisza.

Prilicla podleciał do noszy. Dwóch myśliwych uniosło włócznie, kolejny nałożył strzałę i wycelował, ale nie naciągnął w pełni cięciwy. Gurronsevas powiedział sobie, że empata na pewno wie, co robi. Gdyby ktoś naprawdę chciał go zaatakować, wyczułby to na tyle wcześniej, by zrobić unik. Możliwe jednak, że Prilicla i tak nie czuł się zbyt pewnie, unikał bowiem pozostawania przez dłuższy czas w jednym miejscu.

— Creethar żyje — powiedział Cinrussańczyk. Jego głos zabrzmiał bardzo głośno w pełnej napięcia ciszy. — Jednak ledwie się trzyma. Przyjacielu Remrath, musimy zaraz go zbadać i czym prędzej przenieść na statek. Danalta, zajmij się nim.

Kolejni myśliwi unieśli broń, tyle że teraz wszystkie groty mierzyły w zmiennokształtnego, który ostrożnie odwinął zwierzęce skóry. Remrath spróbował tymczasem odwrócić uwagę myśliwych, wysiadając z noszy i ponawiając żądanie wydania Creethara obcym. Łowcy stłoczyli się wokół niego, krzycząc i wykłócając się głośno. Nagle wszyscy przestali się interesować tym, co Prilicla, Danalta i Naydrad robili przy rannym.

Gurronsevas starał się coś usłyszeć, jednak hałas narastał, myśliwi byli coraz bardziej pobudzeni i zaczęli w kłótni sięgać po argumenty, które wykraczały poza pojmowanie przeciętnego dietetyka. Na dodatek potrafili równocześnie mówić i słuchać, przez co naprawdę trudno było ich zrozumieć. W końcu Gurronsevas przełączył się na częstotliwość statku, by móc spokojnie słuchać rozmowy ekipy medycznej.

— Stwierdzam szereg pęknięć kości i ran ciętych kończyn przednich, piersi i brzucha. Do tego dochodzą rany miażdżone i szarpane po bokach tułowia, co sugeruje, że pacjent spadł z pewnej wysokości na twarde i nierówne podłoże, zapewne skały. Przykrywający rany materiał o wyglądzie zaschniętego błota albo pyłu skalnego wskazuje, że brakowało wody do przemycia obrażeń. Skaner ukazuje pęknięcia klatki piersiowej, ale nie ma uszkodzeń organów wewnętrznych. Podczas podróży doszło do przemieszczeń złamanych kości. Nastąpiła też znaczna utrata masy ciała, co sugeruje, że chory dłuższy czas pozostawał bez wody i pożywienia. Po porównaniu z normalnymi odczytami uzyskanymi od Tawsar można powiedzieć, że stan chorego jest poważny. Mocno osłabiony i półprzytomny, wykazuje emocje typowe dla istoty, która bliska jest śmierci. Sama widzisz, przyjaciółko Murchison. Nie ma co tracić czasu na kłótnie z jego przyjaciółmi. Musimy zaryzykować i działać bez ich pozwolenia. Danalta, Naydrad — polecił — wysuńcie pole noszy i przenieście go łagodnie, jeśli to możliwe, nie ruszając kończyn. Nie chcę dalszych komplikacji. Wolniej, tak dobrze. Teraz zasuńcie osłonę i podnieście temperaturę w środku. Dajcie czysty tlen. Za pięć minut będziemy z powrotem na pokładzie.

— Dobrze — powiedziała Murchison. — Instrumentarium ortopedyczne przygotowane. Nastawiam moduł analityczny na nadawanie wewnętrzne. Pacjent jest jednak silnie odwodniony i może zejść nie tylko na skutek wstrząsu, ale z osłabienia. Co to za istoty? Czy oni nie znają łupków do unieruchamiania kończyn? Czy oni w ogóle dbają o rannych?

Gurronsevas wiedział, że nie powinien się wtrącać do medycznej rozmowy, ale ogarnęła go złość. Czuł się, jakby ktoś niesłusznie skrytykował jego przyjaciela. Sam się sobie dziwił, ale to było silniejsze do niego.

— Wemaranie nie są okrutni ani skłonni do zaniedbywania innych — rzekł. — Sporo rozmawiałem o tym z Remrathem. Powiedział, że na Wemarze jedynymi lekarzami są zielarze i kucharze będący równocześnie uzdrawiaczami. O ile wiem, nie ma tu chirurgów. Remrath sądzi, że byli takowi w zamierzchłych czasach, jednak ich sztuka dawno zaginęła. Obecnie nawet drobne zranienie może prowadzić do śmierci albo upośledzającego kalectwa. Ktoś taki jest potem ciężarem dla grupy, która musi dzielić się z nim jedzeniem. Nie marnują zatem żywności na kogoś, kto ma umrzeć. Sam Creethar zgodziłby się z nimi. To Wemar jest okrutny, nie Wemaranie.

— Przepraszam — powiedziała Murchison po chwili. — Słuchałam wielu waszych rozmów, ale ta musiała mi umknąć. Masz rację. Ale i tak trudno mi zachować spokój, gdy widzę rannego w takim stanie.

— Ten stan niebawem się poprawi, przyjaciółko Murchison — powiedział cicho Prilicla. — Zaraz będziemy.

Nagle mały empata wzleciał w powietrze. Cały czas korzystał z niwelatorów grawitacji, dzięki którym w ogóle mógł się poruszać przy ciążeniu osiem razy większym niż na jego rodzinnej planecie. Bijąc powoli wielkimi, mieniącymi się skrzydłami, zwrócił na siebie powszechną uwagę. Łowcy zamilkli porażeni jego pięknem i zaczęli przysłaniać oczy dłońmi, gdyż Prilicla przesuwał się niespiesznie między nimi a słońcem. Gurronsevas pomyślał, że mógł to być celowy manewr, aby w razie czego myśliwym trudniej było użyć broni. Zanim widzowie pojęli, co się dzieje, nosze były już w połowie drogi do statku.

Prilicla zawrócił, aby polecieć w ślad za nimi.

— Wśród łowców dominują zmieszanie, złość i żal, ale sądzę, że nie są one na tyle silne, aby chcieli użyć przemocy. Wyczuwam też duże poczucie straty. Nie przypuszczam, aby mieli cię zaatakować, przyjacielu Gurronsevas, chyba że jakoś ich sprowokujesz. Spytaj Remratha, czy chce zostać z przyjaciółmi, czy woli wrócić na statek do Creethara. Tylko się pospiesz.

Gurronsevasowi zajęło to aż piętnaście minut i były to jedne z najtrudniejszych minut w jego życiu. Łowcy nie mieli nic przeciwko powrotowi Remratha na pokład, skoro pierwszy kucharz był za stary i zbyt chory, aby wędrować gdziekolwiek na piechotę. Na temat Gurronsevasa mieli jednak inne zdanie. Otoczyli obcego, aby nie uciekł, i utrzymywali głośno, że powinien zostać z grupą i razem z nią wędrować do kopalni. Miał się stać zakładnikiem w zamian za wodza myśliwych. Oznajmili, że nie zrobią mu krzywdy, o ile nie będzie próbował uciekać, i uwolnią, gdy zobaczą znowu Creethara.

Ich rozmowy przycichły, gdy zaczęli się naradzać, jak by tu obezwładnić wielką istotę o grubej skórze. Uznali, że włócznie i strzały mogłyby nie dać jej od razu rady, najlepiej zatem byłoby podciąć trzy tylne nogi silnym uderzeniem ogonów. Nogi były raczej krótkie, a tułów wydawał się ciężki, gdyby więc obcy się przewrócił, zapewne ciężko byłoby mu wstać. Poza tym skórę od spodu miał cieńszą niż na plecach i bokach, tak więc cios włócznią w to miejsce byłby prawdopodobnie śmiertelny.

Mieli rację, ale oczywiście Gurronsevas nie zamierzał im tego mówić. Wciąż szukał gorączkowo jakiejś rady, gdy Remrath stanął w jego obronie.

— Słuchajcie! — zawołał. — Mieliście więcej rozumu, gdy byliście dziećmi. Zacznijcie myśleć. Chcecie skończyć jak Creethar, z połamanymi kośćmi i ranami tak dotkliwymi, że nie ujrzycie już domu? Pomyślcie o karygodnym marnowaniu mięsa, o bliskich, którzy wypatrują waszego powrotu. Nigdy nie widziałem Gurronsevasa w walce, gdyż zawsze służył mi pomocą i był przyjazny. Jednak to istota, której możliwości przekraczają nasze wyobrażenie. Waży dwa razy więcej niż każdy z was, a wy na dodatek jesteście słabi i głodni. Aż boję się myśleć, co mogłaby z wami zrobić.

Gurronsevas też się bał, szczególnie że nie miał pojęcia, co mógłby zrobić z myśliwymi. Niemniej nie przeszkadzał Remrathowi.

— Nie potrzebujecie zakładnika, bo już go macie. Gurronsevas spędza całe dni w kopalni, pomagając w gotowaniu, doradzając i ucząc obsadę kuchni oraz młodych uczniów pozaziemskich metod przygotowywania jadalnych roślin. Jest pomocny na wiele sposobów. Nie chcemy, aby zginął czy został ranny. Nie chcemy nawet, aby go obrażano. Poza tym, moim zdaniem, zdaniem pierwszego kucharza, Gurronsevas jest całkowicie niejadalny.

Zdumiony i mile połechtany komplementami Gurronsevas nadal milczał. Mieszkańcy kopalni, tak młodzi, jak i starzy, nie byli zbyt rozmowni ani skłonni do okazywania uczuć. Sądził, że tolerują jego obecność, ale nic ponadto. Chętnie podziękowałby starszemu Wemaraninowi, ale póki kłopoty nie zostały zażegnane, inne słowa miały pierwszeństwo.

— Remrath ma rację — rzekł głośno. — Jestem niejadalny. Creethar zresztą też, przynajmniej według naszych kryteriów, bo my nie jemy mięsa. Remrath wie o tym i dlatego bez wahania oddał swego syna w ręce naszych fachowców, ufając ich wiedzy i doświadczeniu. I on, i wy wszyscy macie naszą obietnicę, że Creethar wróci do was tak szybko, jak to będzie możliwe.

Gurronsevas powiedział prawdę, nawet jeśli nie całą. Załogę Rhabwara tworzyły istoty jadające mięso. To samo dotyczyło połowy ekipy medycznej. Tyle że nie robili tego ani w Szpitalu, ani na pokładzie statku. No i z pewnością nikt tutaj nie zjadłby ani kawałka innej istoty inteligentnej. Nie wspomniał też, czy Creethar wróci żywy czy martwy, bo chociaż obawiał się najgorszego, uznał, że takie wieści powinni przekazywać tylko lekarze.

Nagle dotarło do niego, że przecież nie wiedzieli nic o tym Wemaraninie. Znali tylko odczyty skanerów. A przecież dobrze byłoby jeszcze się dowiedzieć, jak doszło do tych obrażeń. No i zmiana tematu też by raczej nie zaszkodziła. Łowcy nadal byli poruszeni, ale rozmawiali już ciszej, we własnym gronie. Sądząc po tym, co wyłapywał autotranslator, raczej nie mieli w dalszym ciągu wrogich zamiarów. Zaryzykował pytanie.

— O ile nie macie nic przeciwko temu, czy moglibyście opowiedzieć, jak Creethar został ranny?

Wyraźnie nie mieli nic przeciwko, gdyż jedna z nich, łowczyni Druuth, która objęła przywództwo w grupie po Creetharze, zaczęła opisywać zdarzenie. Jej relacja była bardzo szczegółowa, niekiedy wręcz męcząca w swej drobiazgowości. Usłyszeli, co się działo przed wypadkiem i o czym wtedy rozmawiano, co mówił Creethar o zdarzeniu i jakie polecenia wydał, zanim stracił przytomność.

Gurronsevas odniósł wrażenie, że gorliwość Wemaranki nie jest przypadkowa, że wzięła się być może z chęci usprawiedliwienia czy szukania wybaczenia za coś, co myśliwi zrobili. Albo czego nie zrobili.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Krótko po świcie trzydziestego trzeciego dnia najgorszego polowania za ich pamięci odkryli ślady dorosłego twasacha z kilkoma młodymi, wiodące od błotnistego brzegu jeziora ku jaskini pod pobliskim wzgórzem. Większe tropy nie były zbyt głębokie, co wskazywało, że dorosły osobnik albo nie osiągnął jeszcze pełnych rozmiarów, albo był mocno niedożywiony. Ale zapewne nie cierpiał głodu w tym stopniu co myśliwi, a to znaczyło, że mógł być groźny dla każdego, kto chciałby go osaczyć i zabić. Tą osobą musiał być rzecz jasna pierwszy myśliwy — Creethar.

Jak powiadały rozpadające się książki, które mieli w kopalni, w odległej przeszłości twasachy żyły na drzewach i jadły liście oraz mniejsze od nich zwierzęta. Od tamtych czasów nauczyły się jednak atakować i pożerać wszystko, niezależnie od rozmiarów. W tym nieuważnych wemarańskich myśliwych. Ten mógł być szczególnie niebezpieczny, jak każde głodne zwierzę, które na dodatek chroni swoje potomstwo. Ale perspektywa dopadnięcia całej rodziny tych stworzeń była zbyt kusząca. Mimo ostrzeżeń Creethara zapalili się do dzieła i grupa nie miała ochoty przesadzać z ostrożnością.

Druuth dobrze ich rozumiała. Zbyt długo już łapali jedynie drobne gryzonie i owady. Dla zapełnienia pustych żołądków opuszczali nawet po kryjomu obóz, aby w samotności, nie okrywając się hańbą, jeść owoce i korzonki. Pilnie udawali przy tym, że nie widzą się nawzajem. Nagle jednak znowu poczuli się prawdziwymi łowcami, dumnymi i odważnymi, którzy najedzą się wreszcie mięsa, do czego mieli pełne i niepodważalne prawo.

Wzgórze było strome i skaliste, jeszcze więcej ostrych kamieni zaścielało koryto wyschniętego strumienia u jego podstawy. Krzaki okazały się nieliczne i zbyt słabo ukorzenione, aby dać im oparcie. Krusząca się na krawędzi nierówna droga do jaskini mogła wprawdzie unieść twasacha, ale była na tyle wąska, że musieli iść jeden za drugim. Druuth podążała zaraz za Creetharem aż do jaskini, gdzie wisząc ogonami nad urwiskiem, co w każdej chwili groziło utratą równowagi, rozpostarli obciążoną na brzegach sieć.

Byli tak pewni sukcesu, że kilku z nich zaczęło wznosić niedaleko namiot wędzarni. Inni zbierali już paliwo potrzebne do rozpalenia małego, dymiącego ogniska.

Pracowali możliwie najciszej. Creethar i Druuth nasunęli sieć na wylot jaskini i zaczepili ją o pobliskie skały i krzewy. Następnie zajęli miejsca po obu stronach i zaczęli wrzeszczeć oraz pokrzykiwać.

Czekali z uniesionymi włóczniami na szarżę wściekłego twasacha, ale z ciemnej czeluści nic nie nadbiegało.

Między krzykami ciskali przez oka sieci kamienie. Słyszeli, jak grzechoczą po dnie jaskini, ale prócz przerażonego beczenia młodych i przeciągłych ryków ich matki nie było żadnej reakcji. Oczekiwanie przedłużało się i głód coraz bardziej dawał się łowcom we znaki. Niektórzy tracili cierpliwość na tyle, że pozwalali sobie na lekceważące uwagi pod adresem wodza i jego pomocniczki.

— Nic się nie dzieje — powiedział w końcu ze złością Creethar. — Zaczyna mnie to wystawiać na pośmiewisko. Pomóż mi unieść dół sieci, bym mógł wejść do środka. Tylko uważaj, żeby się nie poluzowała.

— Bądź ostrożny — rzuciła Druuth, ale na tyle cicho, aby stojący niżej jej nie usłyszeli. — Łatwo im krytykować, gdy mają porządne oparcie dla łap i ogona. Głód nam nie nowina. Lepiej poczekać jeszcze kilka godzin, aż twasachy znowu wyjdą popić.

— Nie możemy czekać w tej pozycji za długo — odparł Creethar. — Już teraz mam ścierpnięte nogi, a jeśli zacznę je tutaj prostować, półka może nie wytrzymać. Tam w dole! — zawołał donośnym głosem pierwszego myśliwego. — Dorzućcie do ognia i zapalcie pochodnie. Jeśli hałas ich nie rusza, spróbujemy dymem.

Druuth uniosła ostrożnie sieć i Creethar przeczołgał się pod spodem, tak że tylko ogon wystawał mu z jaskini. Dorosły twasach nadal porykiwał, młode jakby poszczekiwały krótko, co sugerowało, że mogą się bawić. Zanim rozpalono ogień i przyniesiono pochodnię, oczy Creethara przywykły do ciemności. Widział już, że jaskinia jest o wiele głębsza, niż myśleli, i że najpierw wiedzie pod górę, a potem skręca ostro w lewo, tak że nie dostrzegł zwierząt. Te nie były chyba zresztą specjalnie wystraszone, skoro młode bawiły się beztrosko. Po chwili dym zaczął gryźć go w oczy, wycofał się więc na półkę.

Druuth przypomniała sobie później, że był moment, który powinien ich ostrzec. Moment, kiedy umilkło porykiwanie. Kilka uderzeń serca później z dymu wychynęły pazury, które rozdarły Creetharowi pierś. Nie zdążył nawet unieść włóczni.

Na otwartym terenie można było obezwładnić lub odrzucić twasacha uderzeniem ogona, jednak w ciasnym wylocie jaskini Creethar mógł tylko rozpaczliwie zasłaniać się rękami. Cały zakrwawiony zaczął w końcu wycofywać się na półkę, gdzie Druuth czekała już z włócznią. Ale nie był wystarczająco ostrożny.

Nagle jego stopa zaplątała się w sieć. Stracił równowagę i razem z atakującym go zwierzęciem stoczył się po stromym zboczu. Porwana sieć owinęła ich po drodze. Zanim myśliwi dobiegli na miejsce upadku, twasach, który w momencie uderzenia znajdował się na dole, już nie żył. Creethar nie był w znacznie lepszym stanie i spodziewano się, że w każdej chwili może odejść. Niemniej póki żył, to on dyktował, co mają robić, gdyż tak stanowiło prawo.

Martwy twasach okazał się chory. Jego osłabione ciało pokrywały wrzody i nie było co ryzykować jedzenia takiego mięsa. Mimo głodu myśliwi nie mieli wyboru, gdy Creethar kazał im zostawić padlinę. Niektórzy zastanawiali się głośno, czy chociaż wewnętrzne organy nie są zdrowe, ale ich uwagi zostały zignorowane.

Ponadto Creethar kazał im przerwać natychmiast wyprawę i wracać do kopalni z pięcioma młodymi, które udało się w tym czasie złapać. Młode twasachy padały już ofiarą myśliwych, jednak dotąd zawsze były zabijane. Nigdy jeszcze nie natrafiono na uwięzioną w jaskini całą rodzinę. Po raz pierwszy za pamięci grupy pojawiła się szansa, aby opanowawszy głód na kilka lat, rozmnożyć zwierzęta i wyhodować całe stado.

Zrobili więc z gałęzi i skór namiotu wędzarniczego nosze dla Creethara i rozpoczęli powolną wędrówkę do domu. Rannego dręczył nieustanny ból, nie zawsze też był w stanie myśleć jasno i mówić składnie, jednak gdy tylko mógł, przekonywał Druuth o konieczności dostarczenia żywych zwierząt do kopalni. Kazał jej nawet obiecać, że jeśli on umrze, ona osobiście o nie zadba.

Nie było to całkiem zgodne z wemarańskim prawem, ale nikt nie chciał się kłócić i zwiększać w ten sposób cierpień pierwszego myśliwego, który i tak miał niebawem umrzeć, ani bólu Druuth, jego towarzyszki.

Druuth upierała się, by nieść nosze, nie zwracając uwagi na to, czy była jej kolej czy nie. Chciała mieć pewność, że pozostali tragarze dołożą wszelkich starań, aby chorym nie trzęsło. Próbowała też rozmawiać z Creetharem, żeby choć trochę ulżyć mu w bólu. Opowiadała o wielu rzeczach. O wcześniejszych, udanych polowaniach, o dziwnych gadających maszynach, które spadły z nieba, głównie jednak o ich pierwszej wspólnej podróży z osady nad jeziorem. Czterech młodych dorosłych zdecydowało się na długą i niebezpieczną wędrówkę w poszukiwaniu partnerek, tak samo jak mieszkańcy kopalni wyprawiali się czasem nad jezioro albo do innych osiedli. Miało to głęboki sens, gdyż dzieci zrodzone w związkach zawartych w obrębie własnego szczepu zbyt często były upośledzone umysłowo albo chore. Creethar wykazał się odwagą i siłą i wyprzedziwszy kompanów o trzy dni marszu, pierwszy dotarł nad jezioro, gwarantując sobie prawo pełnego wyboru. I wybrał Druuth.

Gdy było gorzej i gdy połamane kości myśliwego zgrzytały o siebie, że aż niemal słyszała w myślach jego bezgłośny krzyk, wracała wspomnieniami do ich podróży poślubnej. Do tego, co wtedy sobie mówili i co robili podczas długiej, niespiesznej wędrówki. Wspaniałych dni powrotu Creethara z żoną do kopalni.

Druuth opisywała pogarszający się w drodze stan Creethara z takimi detalami, że Gurronsevasowi zaczęło się robić niedobrze. Nie musiał być empatą, aby domyślić się, co czuje ojciec młodego łowcy. W pewnej chwili usłyszał głos Prilicli:

— Przyjacielu Gurronsevas, informacje na temat powstania obrażeń i braku leczenia, które zdobyłeś, są bardzo cenne. Na razie jednak wiemy wszystko, co najważniejsze, a nasz przyjaciel Remrath cierpi coraz bardziej. Proszę, zakończ jak najszybciej kontakt z Druuth i spytaj Remratha, czy wraca na Rhabwara, czy woli zostać z myśliwymi, a sam przybywaj czym prędzej na statek.

— Chociaż jestem już wiekowy, pewnie dałbym radę iść szybciej niż ta zagłodzona banda — odparł Remrath spytany o zamiary. — Ale nie, wrócę statkiem. Muszę poczynić pewne przygotowania.

Dietetyk ponownie wyczuł jego niepokój.

— Nie martw się — spróbował pocieszyć przyjaciela. — Ci na statku naprawdę znają się na swojej robocie. Creethar jest w dobrych rękach. Będziesz chciał spojrzeć, jak pracują?

— Nie! — uciął Remrath, ale zaraz głos mu złagodniał. — Może ci się wydawać, że jestem słaby i brak mi odwagi. Pamiętaj jednak, że twoi przyjaciele sami poprosili, sami wzięli na siebie tę odpowiedzialność. Ja już jej nie ponoszę. To niedelikatne oczekiwać ode mnie, bym patrzył, co robią mojemu potomkowi. Tego wolę nawet nie wiedzieć. Proszę, odstawcie mnie jak najszybciej do kopalni.

Podczas lotu powrotnego nie spoglądał prawie na zajmujący się jego synem zespół medyczny. Nie rozmawiał też z Gurronsevasem ani z nikim innym. Dietetyk próbował sobie wyobrazić, jak by się czuł, gdyby to jedno z jego dzieci — o ile by takowe miał — zostało poważnie ranne, on zaś mógłby obserwować ratującą mu życie operację.

Ostatecznie doszedł do wniosku, że być może Remrath ma jednak rację.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

W odróżnieniu od Remratha Gurronsevas nie mógł uniknąć patrzenia na operację albo przynajmniej słuchania wszystkiego. Każdy ruch przekazywano na wielki pokładowy ekran. Całość też nagrywano, gdyż był to pierwszy zabieg na osobniku nie znanej dotąd rasy. Towarzyszące pracy komentarze były precyzyjne i szczegółowe. Dietetyk odwracał głowę, ale i tak słyszał każde słowo.

Na ekranie ukazującym obraz z zewnątrz zielona dolina ciemniała stopniowo, aż wokół zapanowała noc tak czarna, jak zdarza się tylko na planetach pozbawionych naturalnych satelitów i leżących na dodatek w sektorze, w którym gwiazdy są bardzo rozproszone. Tymczasem zespół nadal pracował i rozmawiał nad pacjentem. Gdy na niebie pojawił się pierwszy szary blask, praca zaczęła powoli dobiegać końca i przyszła pora na podsumowanie. Nie było ono optymistyczne.

— Jak widzicie — rzekł Prilicla — zarówno proste, jak i złożone złamania nóg, przednich kończyn oraz klatki piersiowej zostały opatrzone, a kości, wszędzie tam, gdzie było to konieczne, unieruchomione. Rany oczyszczono, zeszyto i okryto sterylnymi opatrunkami. Dzięki danym uzyskanym podczas badania Tawsar i Remratha nie mieliśmy z tym żadnych trudności. Niepokoją nas jednak rany miażdżone połączone z rozległymi pęknięciami tkanki kostnej, które w pierwszym rzędzie odpowiedzialne są za ciężki stan pacjenta. W odniesieniu do nich rokowanie jest niepewne...

— W tłumaczeniu na zwykły język znaczy to, że operacja się udała, ale pacjent zapewne umrze — powiedziała Naydrad na użytek Gurronsevasa.

Nikt nie próbował z nią dyskutować. Zapewne Kelgianka stwierdziła głośno to, co pozostali już pomyśleli.

— Wprawdzie nie trzeba ci przypominać, że patogeny konkretnego świata nie atakują istot z innych światów, ale może nie zdajesz sobie sprawy, że to samo ograniczenie dotyczy też środków do ich zwalczania — rzekł Prilicla, też zwracając się do dietetyka. — Mamy wprawdzie specyfik, który przeciwdziała infekcjom występującym u większości ciepłokrwistych tlenodysznych, lecz dla przedstawicieli niektórych ras jest on śmiertelnie trujący. Nawet w Szpitalu musielibyśmy czekać co najmniej dwa albo trzy tygodnie, nim zyskalibyśmy pewność, że nadaje się on również do leczenia Wemaran. Już podając anestetyk, zdecydowaliśmy się na pewne ryzyko...

— Możliwe, że będziemy musieli zaryzykować jeszcze bardziej — przerwała mu Murchison. — Pacjent jest poważnie osłabiony, na co złożyły się i obrażenia, i podróż bez udzielenia jakiejkolwiek pomocy, teraz zaś doszedł jeszcze wstrząs pooperacyjny. To ostatnie mamy pod kontrolą, jednak tylko dzięki tlenowi i nieustannemu odżywianiu dożylnemu. Szczęśliwie wiemy dość o Wemaranach, aby nie otruć go kroplówką. Niebawem będziemy musieli zdecydować, czy mimo wszystko użyć wspomnianego leku. Całe szczęście, że nie do mnie należy ta decyzja. Nie muszę przypominać, co się stało na Cromsagu, ponieważ wszyscy pamiętamy, do jakiej katastrofy doprowadziło podanie przez Liorena nie sprawdzonego środka. Nie jest winą Wemaran, że nie znają się na leczeniu prostych nawet obrażeń czy infekcji. Chyba pogodzili się z myślą, że każda rana niemal zawsze prowadzi do kalectwa albo śmierci, przenieśli więc odpowiedzialność za Creethara na nas, wspaniałych i dysponujących zaawansowaną medycyną przybyszów z innych światów. A co my robimy? Ufamy, że naturalna odporność pacjenta zwalczy coś, co przeradza się w zakażenie całego organizmu. W obecnym stanie nie ma zapewne żadnych szans.

— Decyzja... — zaczął Prilicla, ale przerwał. — Gurronsevas, jesteś zniecierpliwiony, zirytowany i sfrustrowany jak ktoś, kto się nie zgadza i bardzo chce coś powiedzieć. O co chodzi?

— Patolog Murchison ocenia Wemaran zbyt krytycznie — odezwał się dietetyk. — I jest w błędzie. Oni leczą różne choroby, nawet jeśli nie znają chirurgii. Zwykle cała obsada kuchni to też uzdrawiacze, tak więc...

— Czy są lepszymi uzdrawiaczami niż kucharzami? — spytała zjeżona Naydrad.

— Nie jestem w stanie tego ocenić, ale chciałbym...

— No to dlaczego wtrącasz się do klinicznych rozważań? — rzuciła ostrym tonem Murchison.

— Pozwólmy mu — odezwał się spokojnie Prilicla. — Gurronsevas, czuję, że chcesz pomóc.

Dietetyk możliwie najkrócej opisał swoje ostatnie eksperymenty w kuchni, gdzie nieustannie starał się tak uszlachetnić smak warzyw, aby mogły one konkurować z daniami mięsnymi. Próbował przy tym wszystkich korzonków, liści i owoców, jakie zdołał znaleźć, łącznie z tymi, na które trafił w mało używanej szafce w kuchni. Gdy pierwszy raz dodał je do potraw, wywołał ogromną wesołość całej obsady kuchni. Dopiero Remrath wyjaśnił mu, że niechcący sięgnął do ich apteki.

— W trakcie dyskusji, która potem nastąpiła, dowiedziałem się, że leczą tymi ziołami niektóre problemy, takie jak trudności w oddychaniu czy zatwardzenia. W przypadku zranień stosują gorące okłady z pewnej gliny wymieszanej z ziołami i trawą, która ma spajać taką cegiełkę. Gdy spytałem o obrażenia waszego pacjenta, Remrath stwierdził, że Creethar jest cały połamany i jakakolwiek pomoc najwyżej niepotrzebnie przedłuży jego cierpienia, które i tak trwały już zbyt długo.

Prilicla przysiadł w nogach łóżka pacjenta i tak samo jak pozostali spoglądał na Gurronsevasa. Respirator chorego zaczął pracować głośniej.

— O ile dobrze was zrozumiałem, jego obrażenia wewnętrzne zostały opatrzone albo zoperowane. Najbardziej martwią was otwarte rany — rzekł dietetyk. — Dlatego właśnie wspomniałem...

— Przepraszam — powiedziała Murchison. — Nie sądziłam, że możesz nam pomóc, i byłam opryskliwa. Nawet jeśli nie znamy skuteczności miejscowych leków, szanse pacjenta mogą wzrosnąć... — Roześmiała się nagle na tyle głośno, że zdaniem Gurronsevasa nie tyle coś ją rozbawiło, ile chciała rozładować napięcie. — Ale popatrzcie tylko! Mamy najnowocześniejszy statek szpitalny w całym znanym kosmosie i zespół, który przy całej skromności, na pewno do niego pasuje, a myślimy o stosowaniu średniowiecznych kataplazmów. Gdy Peter się o tym dowie, nigdy nam tego nie zapomni. Szczególnie jeśli kuracja podziała.

— Nie wiem, o kogo chodzi. Kim jest Peter? — spytał Gurronsevas. — To ktoś ważny?

— Wiesz — odparł Prilicla, wzlatując powoli nad pacjenta. — Peter to imię. Tak rodzina i przyjaciele zwracają się do towarzysza życia patolog Murchison, Diagnostyka Conwaya, który w przeszłości nie raz i nie dwa sam stosował różne niezwykłe terapie. Ale nie to jest obecnie najważniejsze. Proszę, byś jak najszybciej porozmawiał z Remrathem. Poproś go o te zioła i informacje na temat sposobu ich podawania. I nie zapomnij o dawkowaniu. To ważne, przyjacielu Gurronsevas, i bardzo, bardzo pilne.

Gurronsevas skierował oko na ekran. W dolinie było jeszcze ciemno, ale szczyty jaśniały już w blasku przedświtu.

— Zawsze świetnie pamiętam wszystko, co dotyczy kolorów, kształtów i zapachów, podobnie jak wyjaśnienia, które otrzymuję. Jeśli sprawa jest aż tak pilna, nie musimy znowu rozmawiać z Remrathem. Sam zbiorę niezbędne zioła i mchy. Najskuteczniejsze są zrywane wczesnym rankiem.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Przez następne cztery dni Gurronsevas regularnie zaopatrywał statek w świeże zioła i odtwarzał instrukcje Remratha, jak ich używać. Niezależnie od tego najwięcej czasu spędzał w kopalnianej kuchni. Miał po temu dwojakiego rodzaju powody.

Gdy tylko był na pokładzie medycznym, słyszał wyrażane głośno obiekcje Murchison, Danalty i Naydrad dotyczące etycznych implikacji zezwolenia, aby laik miał decydujący głos w kwestii sposobu leczenia pacjenta. I rozważania, jak to właściwie jest z odpowiedzialnością za leczenie Creethara. Nikt nie powiedział mu niczego wprost, ale dietetyk czuł się niezręcznie. Nie miał pojęcia, jak reagować na ten skrywany sceptycyzm, chociaż zwykle nie przejmował się tym, co inni mieli do powiedzenia na jego temat. Odkąd opuścił kuchnię hotelu Cromingan — Shesk, gdzie sprawował władzę absolutną, jego pewność siebie i samoocena nieustannie znajdowały się pod ostrzałem. Zwykle były to na dodatek udane ataki. Wcale nie czuł się z tym dobrze.

Prilicla, który chcąc nie chcąc, wyczuwał jego rozterki, wykorzystał w końcu chwilę, gdy reszta grupy miała wolne po pracy albo była zajęta, i odciągnął go na bok.

— Rozumiem twoją irytację i niepewność i współczuję — powiedział tak cicho, że melodyjne trele ledwie przebijały się przez głos tłumacza dolatujący z osadzonej w uchu Gurronsevasa słuchawki. — Jednak powinieneś spróbować zrozumieć odczucia zespołu medycznego. Mimo tego, co słyszałeś, krytykują nie tyle ciebie, ile siebie, a dokładniej dają wyraz swojej irytacji faktem, że to, czego oni nie zdołali zrobić, załatwił zwykły kucharz, który pomógł pacjentowi, kiedy im się nie udało. Nie są w stanie zapanować nad tym bardziej niż ty nad swoją irytacją, zasugeruję im jednak łagodnie, aby powstrzymali się od okazywania tych odczuć. Proszę, abyś i ty był dla nich tolerancyjny, przynajmniej do chwili, gdy wyjaśni się, co będzie z Creetharem. Nie zwróciłbym się z taką prośbą do naczelnego dietetyka, który kilka miesięcy temu zaczął pracować w Szpitalu. Ale zmieniłeś się, przyjacielu Gurronsevas. Myślę, że na lepsze.

Dietetyk zmieszał się, a jego rozmówca oczywiście natychmiast się o tym dowiedział.

— Na razie chyba lepiej będzie dla ciebie, jeśli postarasz się spędzać jak najwięcej czasu w kuchni Remratha.

Nie było to takie łatwe, jak by się mogło wydawać. Z jakiegoś powodu zachowanie Remratha i wszystkich w kuchni zmieniło się bardzo. Byli coraz mniej przyjaźnie nastawieni do Gurronsevasa. Prilicla znajdował się zbyt daleko, aby wyczuć subtelne zmiany w ich emocjach, i nie potrafił nic podpowiedzieć.

Szczęśliwie młodzi Wemaranie nie podzielali odczuć starszych i nadal traktowali dietetyka z szacunkiem, okazywali mu posłuszeństwo i byli niezmiennie ciekawi zarówno jego, jak i kolejnych kulinarnych cudów, których dokonywał. Nawet myśliwi sięgali po jego dania z coraz mniejszą niechęcią, chociaż jako zatwardziali tradycjonaliści upierali się, że tylko mięso jest naprawdę właściwym pożywieniem dla dorosłych i że nadal będą je jeść.

Biorąc jednak pod uwagę, jak mało go przynieśli z ostatniego polowania, nawet przy bardzo oszczędnym racjonowaniu nie było szans, aby wystarczyło ono do przygotowywania typowego stewu dłużej niż kilka tygodni. Wszelako ich duma była widać ciągle silniejsza niż głód. Gurronsevas nie próbował kwestionować otwarcie ich zdania. Zamiast tego starał się kształtować ich smak, podsuwając coraz ciekawsze dania, i z wolna zaczynał trafiać w ten sposób, niejako z flanki, przez ich żołądki do serca. Nawet jeśli czasem przegrał jakąś bitwę, wiedział, że wojnę raczej wygrywa.

Niemniej ostatnio wydawało się, że łowcy także obracają się przeciwko niemu. Nie wiedział, co mogło być tego powodem. W odróżnieniu od Remratha i innych nauczycieli nigdy nie traktowali go po przyjacielsku, zawsze byli trochę sztywni w jego obecności, ale zdumiewająco łatwo zaakceptowali go w swoim gronie. Potem nagle odkrył, że zaczynają odnosić się do niego niemalże wrogo. Nie chcieli przy nim rozmawiać, a jeśli już próbował przerwać coraz dłuższą ciszę, otrzymywał odpowiedź zdawkową i wygłoszoną tak lodowatym tonem, że woda w kuchni mogłaby od tego zamarznąć. Nie potrafił znaleźć żadnego powodu zmiany ich zachowania i zaczynało go to już złościć. Uznał ostatecznie, że w tych okolicznościach najlepiej będzie zapomnieć o dobrych manierach i przy pierwszej okazji spytać o to wprost.

— Remrath, dlaczego się na mnie gniewacie?

Gdy cisza trwała już kilka minut, Gurronsevas doszedł do wniosku, że jego pytanie zostało zignorowane, i ponownie zajął się przygotowywaniem głównego dania, które chociaż nazywane przez Wemaran „obcą opcją”, było jedną z kilku potraw skomponowanych wyłącznie z miejscowych korzeni i naci warzyw z dodatkiem sosu zawierającego tutejsze zioło shuslish. Sos był na tyle ostry, że lekko palił w język, dając miłe wrażenie ciepła. Z doświadczenia Gurronsevas wiedział, że sięgną po nie prawie wszyscy dorośli i wszystkie dzieci, a tylko paru najbardziej upartych myśliwych pozostanie przy tradycyjnym stewie o posmaku bulionu. Ale i to było dobre, bo jak powiedział Remrath w czasach, gdy jeszcze rozmawiali, w chłodni został już tylko mały kawałek dziczyzny, nie więcej niż dwa funty. W tej sytuacji mógł wystarczyć na dłużej.

Danie było gotowe. Gurronsevas odsunął się, aby przepuścić czterech kuchcików, którzy sprawnie zaczęli odtwarzać jego układ na sąsiednich talerzach. Talerze stały na podgrzewanej półce, jednym z jego nowszych wynalazków. Któryś z kuchcików, zapewne Evemth, chociaż dietetyk miał ciągle problemy z odróżnianiem młodych Wemaran, wprowadził własną modyfikację polegającą na wzbogaceniu przybrania o kilka drobnych gałązek drissu ułożonych na powierzchni sosu shuslish. Nie mogło to wpłynąć na smak, ale poprawiało nieco wygląd dania. Zrobił to tylko na jednym talerzu, zapewne własnym.

Kiedyś Gurronsevas zrugałby kuchcika za coś takiego, chociażby po to tylko, aby pokazać, kto tu rządzi. Jednak ten młody Wemaranin przejawił inicjatywę i wyobraźnię kulinarną, zaczynał eksperymentować na własną rękę. Evemth, jeśli to był właśnie on, mógł się okazać obiecującym materiałem na prawdziwego kucharza.

— Nie gniewam się na ciebie — powiedział nagle Remrath.

A czarne jest białe, pomyślał dietetyk. Jednak nie należało wszczynać kłótni. Wydawało mu się, że przyjaciel ma coś jeszcze do powiedzenia, postanowił więc milczeć i czekać.

— Wszyscy byliśmy zdumieni tym, jak szybko poczuliśmy się z tobą dobrze, mimo twojego niesłychanego wręcz wyglądu — rzekł Remrath. — Zyskałeś nasz szacunek i, w jednym przynajmniej przypadku, również przyjaźń. Ale jesteśmy bardzo rozczarowani, nawet źli na uzdrawiaczy z twojego statku. Ty zaś, skoro należysz do tamtej grupy, stałeś się obiektem podobnych uczuć.

— Rozumiem — stwierdził Gurronsevas. Wiedział, że cała rozmowa jest nagrywana na Rhabwarze i Tremaarze, chociaż już od wielu dni nie otrzymywał stamtąd nieprzerwanego potoku instrukcji, o co powinien spytać czy co odpowiedzieć. Bywały wszakże takie chwile jak obecna, kiedy chętnie usłyszałby wyraźne polecenie, które zwolniłoby go z odpowiedzialności.

— Jednak ci uzdrawiacze pragną tylko pomóc Wemaranom. Tak samo jak ja. Musicie to wiedzieć i na pewno im wierzycie. Skąd zatem gniew? I co powinienem zrobić, aby odzyskać twoją przyjaźń?

— Ciągle odbierają nam Creethara — stwierdził Remrath takim tonem, jakby przemawiał do nierozgarniętego dziecka.

Gurronsevasowi ulżyło. Wydało mu się, że chociaż problemy są dwa, mogą rozwiązać je za jednym zamachem gdy zdrowiejący łowca wróci do kopalni. Starannie dobrał słowa.

— Twój syn powróci, gdy tylko to będzie możliwe. Nie jestem uzdrawiaczem i trudno mi powiedzieć, jak długo jeszcze będziecie musieli czekać. Mogę spytać innych, jak to oceniają. A może sam powinieneś odwiedzić statek i na własne oczy przekonać się, co się dzieje z Creetharem, oraz spytać o co tylko zechcesz.

— Nie! — rzucił Remrath ostro. Tak samo reagował już wcześniej, gdy pojawiała się propozycja wizyty. — Jesteś naprawdę gruboskórny. Przykro mi to mówić, ale zaczynam podejrzewać cię tak samo jak wszystkich innych obcych o samolubność i nieuczciwość. Chciałbym, żebyś udowodnił, że się mylę, i do tego czasu nie będę z tobą rozmawiał. Wracaj na statek i powiedz swoim przyjaciołom, aby natychmiast oddali nam Creethara.

Pamiętając ostatnią wymianę zdań z Priliclą, dietetyk ruszył na Rhabwara w dość ponurym nastroju. Zastanawiał się, czy jest tu ktokolwiek, kto pragnie jego towarzystwa. Może chociaż pacjent, o ile nadal żyje, byłby skłonny wyjaśnić mu dziwne zachowanie Remratha i innych. Tajemnice i pytania bez odpowiedzi wprowadzały coraz większe zamieszanie w jego myśli, on zaś lubił mieć w głowie porządek, taki jaki zawsze panował w jego kuchni. Zamierzał spytać Priliclę, czy nie mógłby porozmawiać z pacjentem.

— Chciałem zaproponować to samo, przyjacielu Gurronsevas — powiedział ku jego zdumieniu empata. — Sytuacja pogarsza się raptownie, szybciej, niż myślisz, i to bez widomego powodu. Wiesz, że zerwali całkowicie kontakt? Wyłączyli komunikatory, które im zostawiliśmy, powiedziawszy tylko, że nie jesteśmy już mile widziani w kopalni. Creethar to teraz jedyne łączące nas z nimi ogniwo, ale i on powtarza tylko nieustannie, że nie chce rozmawiać z przybyszami z innych światów.

Prilicla wskazał łóżko pacjenta i wolno podleciał w tym kierunku. Na pokładzie medycznym nie było akurat nikogo więcej, być może dlatego, że stan łowcy się ustabilizował, a może też dlatego, że zaczął on protestować przeciwko ich towarzystwu. Dobrze byłoby sprawdzić.

— Klinicznie rzecz biorąc, przyjaciel Creethar jest w całkiem dobrym stanie — powiedział Prilicla. — Od kiedy zaczął dostawać zdobyte przez ciebie lekarstwo, wszystko idzie ku lepszemu. Niebawem wejdzie w fazę rekonwalescencji. Niemniej emocjonalnie nie jest z nim najlepiej. Wyczuwam chroniczny lęk, który próbuje ukryć i opanować. Mimo że próbowałem dodać mu pewności siebie, ciągle nie chce z nami rozmawiać.

Prilicla potrafił nie tylko wyczuwać cudze emocje, ale był też empatą projekcyjnym, przypomniał sobie dietetyk. O ile nie chodziło o poważny stres, mógł poprawić innym samopoczucie samym pojawieniem się w pełnym istot pokoju.

— Podczas ostatniej, bardzo krótkiej rozmowy spytał o swojego ojca, Remratha, o grupę łowiecką i o wydarzenia w kopalni. To było dwa dni temu. Od tamtej pory nie chce nawet nas słuchać i denerwuje się, ilekroć rozmawiamy w jego obecności. W końcu wyłączyłem autotranslator, aby oszczędzić mu stresu. Nie chce jeść. Nie wie, że odżywiamy go dożylnie, co utrzymuje go przy życiu, lecz obaj rozumiemy, że szybki powrót do zdrowia nie będzie możliwy bez przyjmowania normalnych pokarmów. Niemniej ty, przyjacielu Gurronsevas, masz nad nami pewną przewagę. Ciebie jednego nie widział po odzyskaniu przytomności. Nie jesteś też lekarzem i nie będziesz próbował rozmawiać z nim o stanie zdrowia. Jako kucharz masz szansę ustalić jego preferencje kulinarne. No i wreszcie, znasz ostatnie doniesienia z kopalni. Dlatego chciałbym, abyś możliwie najszybciej porozmawiał z Creetharem. — Prilicla zawisł na łóżkiem pacjenta. — Te istoty uznały cię za przyjaciela, za kogoś o wiele bliższego niż ktokolwiek z zespołu medycznego. Ale nie wynika z tego, że reagują tak samo jak ludzie.

Nie są nimi, a raczej są na swój sposób, tak samo jak każdy z nas. Ta różnica, plus jakiś nasz błąd, sprawiła, że nie uważają się już za naszych przyjaciół.

— Będę uważał — obiecał Gurronsevas.

— Wiem, że będziesz. — Empata wyciągnął przednią kończynę i musnął przycisk na konsoli obok łóżka. — Będę zdawać ci relację ze stanu emocjonalnego pacjenta. Jego autotranslator został włączony. Oczy ma zamknięte, ale nie śpi. Słucha nas. Lepiej będzie, jeśli już wyjdę.

Creethar leżał na posłaniu w takiej pozycji, aby jego usztywnione kończyny mogły wisieć swobodnie podtrzymywane systemem żyłek, których sploty przypominały Gurronsevasowi olinowanie dawnych żaglowców. Reszta ciała, wraz z ogonem, została unieruchomiona pasami. Trudno było orzec, czy zrobiono to dla ochrony pacjenta, czy aby zapobiec samookaleczeniu albo rzuceniu się na kogoś. Usztywnienia były przezroczyste, brakowało też bandaży czy okładów, widać było zatem, że wiele zainfekowanych jeszcze niedawno ran zagoiło się już albo właśnie zabliźniało. Nagle Creethar otworzył oczy.

— Wielka Shavrah! — krzyknął i szarpnął się w pasach. — Co to za wielka i głupia bestia?

Gurronsevas zignorował obraźliwy epitet i odpowiedział jedynie na pytanie.

— Jestem Tralthańczykiem. To rasa istot znacznie większych i zapewne bardziej przerażających niż wszyscy, których widziałeś na statku. Niemniej, podobnie jak pozostali, nie chcę wyrządzić ci krzywdy. Tyle że w odróżnieniu od nich nie jestem uzdrawiaczem, lecz kucharzem, chociaż też chcę ci pomóc w powrocie do zdrowia.

— Kucharz, który nie jest uzdrawiaczem? — przerwał mu pacjent. Mówił całkiem cicho i leżał już znacznie spokojniej. — Dziwne. Co nie pozwoliło ci dokończyć edukacji?

— Nazywam się Gurronsevas — zaczął dietetyk spokojnie, mimo informacji Prilicli, że pacjent cały czas zachowuje się prowokująco. — Moja edukacja oraz całe życie związane są ze sztuką kulinarną i nie mam innych zainteresowań. Tym samym jestem dobrym kucharzem i dlatego zwrócono się do mnie z prośbą, abym ci pomógł. Chodzi o to, że jeśli masz wrócić do zdrowia i do kopalni, musisz zacząć jeść. Ty tymczasem odmawiasz przyjmowania pokarmów. Jeśli uważasz, że są niesmaczne, wyjaśnij, co dokładnie jest w nich nie tak, a ja zaproponuję ci coś innego.

Creethar poruszył się, ale nie odezwał.

— Negatywna reakcja emocjonalna — oznajmił Prilicla. — Powrót strachu i poczucia osobistej straty. Nie wiem, o co może chodzić, ale szczyt pojawił się w chwili, gdy wspomniałeś o kopalni. Proszę, zmień temat.

Ale tematem miało być jedzenie i konieczność jego spożywania, pomyślał ze złością Gurronsevas. Potem jednak uświadomił sobie, że empata odbiera jego gniew, i czym prędzej się uspokoił.

— Co nie odpowiada ci w jedzeniu? Smak jest niewłaściwy?

— Nie! — odparł pacjent ze zdumiewającą stanowczością. — Czasem smakuje jak mięso, lepiej niż wszystkie mięsa, które dotąd jadłem.

— Zatem nie rozumiem, dlaczego odmawiasz...

— Bo to nie jest mięso! Wygląda i smakuje jak mięso, ale naprawdę to coś podejrzanego z maszyny, którą ten skrzydlaty nazywa syntetyzerem. To nie jest nasze jedzenie. Nie wolno mi go jeść, bo mnie zatruje. Jako kucharz musisz rozumieć, jak ważne jest mięso dla dorosłych. Dorosłych każdej rasy. Bez niego nie można przetrwać.

— Jako tralthański kucharz o niczym takim nie wiem. Większość moich braci nie jada mięsa już od stuleci. Był to ich wybór, nie zaś skutek tego, że są przeżuwaczami. Mimo to i moja planeta, czyli Traltha, i wszystkie jej kolonie to światy kwitnące i licznie zamieszkane. Uwierzyłeś w nieprawdę, Creetharze.

— Twoi przyjaciele powtarzali mi to wiele razy — rzekł powoli i dobitnie pacjent. — Według waszych standardów mój lud jest zacofany i niewykształcony, ale nie jesteśmy głupi. Nie jesteśmy też małymi dziećmi gotowymi słuchać bajek, aby przyśniło się nam coś miłego. Oczekujesz, że dorosły Wemaranin uwierzy w podobne bzdury tylko dlatego, że wypowiada je przybysz z innego świata?

Gurronsevas nie oczekiwał takiej odpowiedzi od kogoś, kto był jeszcze ciągle osłabiony po poważnej chorobie.

— Rozumiem różnicę między edukacją a inteligencją i wiem, że inteligencja ma dużo większe znaczenie, bo jej poziom określa zdolność uczenia się. Jednak w kopalni są dorośli Wemaranie, którzy uwierzyli w te bajki.

— Starzy aż za często zachowują się jak dzieci — stwierdził Creethar. — Nie wiem, dlaczego każecie mi jeść to mięsopodobne coś z maszyny. Nie jesteś krewnym ani przyjacielem, ani nawet Wemaraninem. Nie wiesz i nie obchodzi cię to, jakie zniszczenia powoduje to w moim ciele. Ale ty nie ponosisz odpowiedzialności przed swoim ludem. Cokolwiek mi powiesz, nie będę jadł waszego jedzenia.

Pacjent wyraźnie wbił sobie to do głowy i nie był podatny na logiczną argumentację. Prilicla potwierdził, że tak jest. Należało zatem zmienić podejście.

— Gdy ostatnim razem rozmawiałem z doktorem Prilicla, tym pięknym latającym stworzeniem, pytałeś o swoich przyjaciół w kopalni. Podczas pracy w kuchni rozmawiałem z Remrathem i wieloma podrastającymi młodymi. Co chciałbyś wiedzieć?

— Mój ojciec wpuścił cię do kuchni? — spytał Creethar z niedowierzaniem, które dało się usłyszeć nawet w przekładzie autotranslatora.

— Jestem kucharzem.

Było to bez wątpienia największe niedopowiedzenie w całym jego długim życiu zawodowym, ale pacjent oczywiście nie mógł o tym wiedzieć.

Gdy Creethar się nie odezwał, Gurronsevas zaczął relacjonować, co się działo ostatnio w kopalni. Krótko opisał pierwszy kontakt ze starą nauczycielką i młodzieżą, zadomowienie się w kuchni i rosnącą z czasem akceptację dla rad, które przekazywał Remrathowi.

Dietetyk wiedział świetnie, że kuchnia zawsze była centrum towarzyskim, do którego docierały wszystkie plotki, afery i relacje z różnych wydarzeń. Kelner zawsze był postacią pozostającą w tle i właściwie nie zauważaną, o ile tylko nie zrobił czegoś niewłaściwego. To oznaczało, że biesiadnicy z reguły nie uważali za stosowne powściągać przy nim języka. Gurronsevas nie wierzył w niezgrabnych kelnerów, zatem kuchnia na Wemarze dysponowała najprzedniejszym wywiadem.

Nie zawsze wiedział do końca, o co dokładnie chodziło w jakimś skandalu czy dowcipie, ale kilka razy Creethar zagulgotał i zatrząsł się dziwnie, co po jakimś czasie pozwoliło wrócić do tematu zasadniczego, czyli jedzenia.

— Remrath był uprzejmy przyjąć wiele moich sugestii, które okazały się popularne nie tylko wśród nauczycieli i młodzieży, ale również części myśliwych, twierdzących...

— Nie! — zaprotestował pacjent. — Dawałeś im to trujące jedzenie z obcej maszyny?

— W żadnym razie. Pokładowy podajnik służy tylko załodze i nie jest wystarczająco wydajny, aby wykarmić całą społeczność. Tylko ty jadłeś jego wytwory, bo byłeś bardzo osłabiony. Potem jednak zacząłeś odmawiać ich przyjmowania. Twoi przyjaciele w kopalni jedzą potrawy z miejscowych warzyw i owoców i jak mi mówili, bardzo im one zasmakowały, chociaż wcześniej uważano, że to jedzenie dla dzieci. Jedzą je, bo pokazałem Remrathowi wiele nowych sposobów przyrządzania waszych roślin i takiego ich podawania, aby były miłe dla oka i zróżnicowane smakowo dzięki sosom, ziołom oraz przyprawom, które rosną w całej dolinie. Na przykład...

Creethar nie poruszył się ani nie odezwał, gdy Gurronsevas z rosnącym zapałem opisywał zmiany w zwyczajach żywieniowych tubylców, które wprowadził. Nowe przyprawy i owoce, które zaczął dodawać do mąki i które zyskały powszechną aprobatę. Zaznaczył, że słowa są tylko drobną namiastką prawdziwego smaku tych pyszności, które pragnął opisać. Kiedy wspomniał, jak Remrath komplementował jego kuchnię, jak chwaliła go nawet konserwatywna Tawsar, nadal nie było odpowiedzi. Niebawem zaczęły mu się kończyć pomysły.

— Creethar, nie jesteś głodny? — spytał w pewnej chwili, gdy jego cierpliwość była już prawie na wyczerpaniu.

— Jestem — odparł bez wahania pacjent.

— Jest coraz głodniejszy — skomentował Prilicla. — Z każdym twoim słowem coraz bardziej.

— No to pozwól, że dam ci jeść — zaproponował dietetyk. — Wasze jedzenie, nie takie z maszyny. To chyba byłoby w porządku?

Creethar się zawahał.

— Nie wiem. Dobrze pamiętam nasze jedzenie, które dostawałem w młodości, i nie jest to miłe wspomnienie. Jeśli masz coś lepszego, może to być sprawka obcych substancji, które dodajesz do żywności. Nie mogę ryzykować.

Gurronsevas miał już do czynienia z wybrednymi konsumentami, spośród których najgorsi byli fanatycy kuchni naturalnej, lecz wszyscy oni bledli w porównaniu z Creetharem.

— Ale musisz jeść — powtórzył z naciskiem. — Nie jestem uzdrowicielem i nie powiem ci dokładnie, jak długo to potrwa, ale jeśli zaczniesz jeść, niebawem wrócisz do swoich. Jeśli wolisz wasze jedzenie od jedzenia z maszyny, przygotuję ci prosty stew warzywny. Taki jaki pamiętasz z dzieciństwa, a dla lepszego smaku poproszę Remratha o trochę mięsa z zapasu, który niedawno przynieśliście. Twoi ludzie bardzo chcą cię zobaczyć z powrotem, więc jestem pewien, że chętnie...

— Nie! — przerwał mu pacjent, szarpiąc się lekko w opaskach. — Nie wolno ci prosić ich o mięso ani rozmawiać o mnie z Remrathem. Musisz mi to obiecać.

— Pacjent odczuwa narastające zdenerwowanie — doniósł Prilicla.

Sam widzę, pomyślał Gurronsevas. Ale dlaczego się denerwuje? Czyżby doznał nie zdiagnozowanego urazu głowy i przestał myśleć racjonalnie? A może po prostu zachowywał się jak Wemaranin?

— Niech będzie — rzekł czym prędzej. — Obiecuję. Ale jest jeszcze inna możliwość. Powiedzmy, że sam zbiorę w dolinie jadalne rośliny i pokażę ci je. Na początku i w każdej fazie gotowania. Nie obiecuję, że podam ci je w takiej postaci, jaką pamiętasz, ale jestem pewien, że zaakceptujesz rezultat. Nie będę nawet używał układu grzewczego syntetyzera do gotowania, żebyś nie musiał obawiać się obcych dodatków. Zbiorę chrust i rozpalę ognisko na pokładzie, obok twojego łóżka, byś mógł obserwować moją pracę. Co ty na to, Creethar? To chyba spełnia wszystkie twoje oczekiwania?

— Jestem bardzo głodny.

— A ty, przyjacielu Gurronsevas, jesteś niepoprawnym optymistą — odezwał się Prilicla.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Naydrad zachowała się jak typowa siostra oddziałowa. Z całą mocą zaprotestowała przeciwko naruszaniu ładu i czystości jej medycznego królestwa, za nic też nie chciała się pogodzić z rozpaleniem ognia na pokładzie i z dymem, który zatruwał powietrze. Patolog Murchison stwierdziła, że dość już było sięgania do średniowiecznych metod przykładania kataplazmów i że nie ma ochoty zostać jaskiniowcem. Doktor Danalta, który mógł się przystosować do każdego praktycznie środowiska, byle tylko nie było groźne dla życia, zachował neutralność, ale w zasadzie mu się to nie spodobało. Starszy lekarz Prilicla zaś próbował ich wszystkich pogodzić i zmniejszyć panujące w pomieszczeniu napięcie. Czasem jednak Gurronsevas mu w tym nie pomagał.

— Teraz, gdy Creethar wreszcie dał się skłonić do jedzenia jak na rekonwalescenta przystało...

— Na żarłoka chyba — wtrąciła Naydrad.

— ...przyszedł mi do głowy jeszcze jeden pomysł, nie — medyczny zresztą, co was z pewnością ucieszy. Podczas ostatniej naukowej dyskusji, którą z konieczności słyszałem, doszliście do wniosku, że pacjent robi postępy, ale zdrowiałby szybciej, gdyby dodać do jego menu proteiny mięsa i śladowe ilości minerałów, które możemy otrzymać z naszego podajnika. Mój pomysł jest następujący. Skoro Creethar boi się wszystkiego, co wytwarza maszyna, chociaż widział nas korzystających z niej wiele razy, może poczuje się pewniej, kiedy wszyscy zaczniemy jadać przygotowane przeze mnie tutejsze dania na równi z tymi z podajnika. Chciałbym przekonać go w ten sposób, że skoro nam nie szkodzi ich jedzenie, jemu nie zaszkodzi nasze. Oczywiście będziecie mogli zażyczyć sobie takich czy innych zmian w menu...

Przerwał, bo Naydrad zjeżyła sierść niczym ziemska kolczatka. Kruche ciało Prilicli trzęsło się od emocjonalnej wichury, a czerwona na twarzy Murchison uniosła obie ręce.

— Chwilę, moment — zaprotestowała. — Nie dość, że przez to gotowanie omal nas nie udusiłeś, to teraz chcesz, żebyśmy jedli to, co wtedy tak cuchnęło? Potem pewnie zażyczysz sobie, byśmy zaczęli śpiewać tutejsze piosenki przy ognisku, bo pacjent nie czuje się jak w domu.

— Z całym szacunkiem — rzekł Gurronsevas, nie dbając o szacunek. — Dym nikomu nie zaszkodził, a siostra Naydrad powiedziała raz nawet, że niektóre potrawy pachną miło...

— Powiedziałam, że ich zapach przytłumił smród dymu.

— Nie będziecie wiedzieć, jak coś smakuje, dopóki tego nie spróbujecie. Każdy, kto posiada minimalną choćby wiedzę kulinarną, wie, że smak i zapach się uzupełniają. Powiem wam zresztą, że najciekawsze dania z tutejszych warzyw i owoców zamierzam wprowadzić do menu Szpitala.

— Szczęśliwie ja mogę jadać wszystko — mruknął Danalta.

— Nigdy nie otrułem gościa i nie zamierzam robić tego teraz. Wszyscy jesteście zawodowcami i wiecie, na czym polega obiektywizm. Kierujecie się nim na co dzień, dlaczego więc nie potraficie spojrzeć w ten sposób na mój pomysł? Chodzi mi o to, byście raz dziennie zjadali przy nim kompletny miejscowy posiłek. Pamiętając oczywiście, że każda zabawa jedzeniem albo gesty obrzydzenia nie pomogą pacjentowi. Ostatecznie to wy chcieliście, żeby zaczął jeść, a teraz chcecie, żeby wzbogacił swoją dietę o pewne niezbędne mu składniki. Ja tylko staram się wam powiedzieć, jak to można osiągnąć.

Gurronsevas widział, że tylko chwile dzielą ich od kolejnego wybuchu patolog Murchison i siostry Naydrad. Jednak szczęśliwie to starszy lekarz Prilicla odezwał się pierwszy.

— Czuję, że szykuje się kolejna wymiana ciosów — rzekł, unosząc się i lecąc w stronę wyjścia. — Przeproszę was zatem i oddalę się do mojej kabiny, gdzie nie będę tak silnie odczuwał skutków waszych dyskusji. Mam też wrażenie, a w tych sprawach nigdy się nie mylę, że wszyscy pamiętacie, jakie są podstawowe zadania ekipy medycznej Rhabwara, i nie zapomnieliście, jak dziwnych pacjentów leczyliśmy i jak musieliśmy się czasem namęczyć, aby w ogóle móc ich leczyć. Zostawiam was teraz, ale pamiętajcie, co powiedziałem.

Oczywiście kłócili się jeszcze jakiś czas, ale było już wiadomo, że Gurronsevas wygrał.

W ciągu następnych czterech dni Wemaranie odszukali i zniszczyli ostatni zamontowany w kopalni komunikator, a kilka słów, które padło tuż przedtem, jednoznacznie sugerowało, że zdaniem tubylców przybysze popełnili największą z możliwych zbrodni, czyn, którym można jedynie pogardzać. Podczas porannego zbierania warzyw dietetyk próbował rozmawiać z jednym z nauczycieli, ale starszy Wemaranin tylko zamknął płatki uszu, młodzi zaś konsekwentnie go ignorowali. Skoro kontakt został zerwany, przybysze nie mieli pojęcia, o jaką zbrodnię chodziło, i tym samym, za co mają przepraszać. Gdy jednak Gurronsevas chciał wejść do kopalni i spytać o to Remratha, Prilicla ostrzegł go przed gniewem Wemaran. Był tak silny, że dało się go wyczuć aż z odległości jednej czwartej mili. Nie było sensu ryzykować ani zaogniać jeszcze bardziej sytuacji.

Zostawał im tylko Creethar.

Pacjent miał się rzeczywiście coraz lepiej. Idąc za przykładem Prilicli, który poczuł się w obowiązku jako pierwszy zrobić ten krok, cały zespół jadał obiad w miejscowym stylu. Zgodzili się nie krytykować niczego przy Wemaraninie, a że dietetyk zostawiał podopiecznego tylko wczesnym rankiem, kiedy wychodził zebrać warzywa, żadne słowa krytyki do niego nie docierały.

Jednak gdy Creethar zaczął nieśmiało dobierać kąski z podajnika i przybierać na wadze tak żwawo, że aż trzeba było poprawić pasy przy łóżku, pojawiły się komplementy.

— To dzisiejsze nie było nawet złe — mruknęła Murchison. — A deser z lutij i yant chyba mi zasmakuje.

— Może jedzony w ciemnicy — powiedziała Naydrad, ale jej futro pozostało spokojne, nie mogła więc być naprawdę wzburzona.

— Smakowało mi to, co podałeś jako główne danie — rzekł Prilicla, który gdy nie mógł powiedzieć czegoś pozytywnego, nie mówił nic. — Gdyby smak i konsystencja były trochę inne, porównałbym je z moim ulubionym obcym daniem, ziemskim spaghetti z serem w sosie pomidorowym. Czuję się jednak trochę objedzony i muszę nieco polatać poza statkiem. Zechcesz mi towarzyszyć?

Spoglądał na Gurronsevasa.

Nie powiedział nic więcej, dopóki nie znaleźli się poza polem ochronnym statku. Gurronsevas szedł powoli w dół doliny, coraz bardziej oddalając się od kopalni, empata zaś unosił się nad jego ramieniem. Po drodze minęli odległą o sto jardów grupę z nauczycielem, ale zgodnie z przewidywaniami zostali zignorowani.

— Przyjacielu Gurronsevas — zaczął nagle Prilicla — dzięki twojej pomocy zdobywamy coraz większe zaufanie Creethara, ale nie zdobędziemy go w pełni, jeśli nie włączymy mu na stałe autotranslatora, aby mógł uczestniczyć w naszych dyskusjach. Dlatego chciałem porozmawiać z tobą na osobności. Jak się pewnie domyślasz, pacjent dojrzał do wypisania. Jeśli nie liczyć unieruchomionej dolnej kończyny, która zrośnie się w pełni za dwa tygodnie, a wtedy opatrunek sam się rozpadnie, jest już zdrowy. Powinien być z tego powodu szczęśliwy i radosny, powinna cieszyć go perspektywa powrotu do normalnego życia, ale tak się nie dzieje. Obawiam się o jego stan emocjonalny. Coś jest tu bardzo nie tak i chciałbym wiedzieć co, zanim odeślę go do przyjaciół. Nastąpi to nie później niż za dwa dni. Nie ma żadnych klinicznych powodów, aby zatrzymywać go dłużej.

Gurronsevas słuchał. Na razie Prilicla przedstawiał mu problem, więc nie zadał jeszcze żadnego pytania.

— Możliwe, że sam powrót Creethara rozwiąże problem, a w każdym razie zmniejszy przejawianą wobec nas wrogość, odrodzi twoją przyjaźń z Remrathem i pozytywne nastawienie do nas wszystkich. Jest tu jednak coś, czego w pełni nie rozumiem. Chodzi o szczególny rodzaj reakcji emocjonalnej pacjenta. Obawiam się, że jeżeli nie zrozumiemy przyczyn tego nienaturalnego zachowania, odesłanie go do swoich może się okazać kolejnym, jeszcze większym błędem. Nie podpowiem ci, o co pytać czy co mówić, bo chodzi o zbyt wiele. Wszystkie wzmianki o jego ojcu, przyjaciołach z drużyny łowieckiej czy życiu w kopalni wywołują reakcję przypominającą strach kogoś, kto przekonany jest, że stał się obiektem ataku. Wiem, że nie jesteś psychologiem, przyjacielu Gurronsevas, ale czy nie byłbyś skłonny spędzić tych dwóch dni na rozmowach z nim? Takich ogólnych? My zaś będziemy słuchać nastawieni na wyławianie informacji, które według mojego doświadczenia, osoby znajdujące się w silnym stresie podświadomie pragną wyjawić. Jeśli i tobie podczas tych rozmów przyjdzie do głowy coś, przed czym chciałbyś nas ostrzec albo nam zasugerować, powiedz, proszę. W sumie to ty będziesz prowadził ten fragment kuracji. Creethar ufa ci. Jeśli zechce komuś coś powiedzieć, z czegoś się zwierzyć, najprędzej będziesz to ty. Zrobisz to dla mnie, przyjacielu Gurronsevas?

— Czy już wcześniej tego nie robiłem? Tyle że nieoficjalnie?

— Teraz jest to jednak oficjalna prośba szefa zespołu medycznego Rhabwara. Prośba o specjalistyczną pomoc w kluczowym momencie kontaktu z Wemaranami. Muszę tak zrobić, gdyby bowiem ci się nie udało, odpowiedzialność spadnie na mnie. Nie możesz się winić za cokolwiek, co ewentualnie pójdzie nie tak w tej niezwykłej sytuacji. Podobnie nie może sobie czynić wyrzutów reszta zespołu. Niełatwo cię lubić, przyjacielu Gurronsevas. Nazbyt przypominasz swoje niedawne miejscowe danie, którego smak trzeba dopiero zaakceptować. Zyskałeś jednak nasz szacunek i wdzięczność za pomoc przy Creetharze i nikt nie będzie miał do ciebie pretensji, gdybyś nie zdołał rozwiązać trapiącego nas problemu. I co ty na to, przyjacielu Gurronsevas?

— Pochwaliłeś mnie, dodałeś mi odwagi i pewności siebie i zachęciłeś do zrobienia wszystkiego, co tylko zdołam, aby pomóc. Jako empata znasz już moje odczucia. Chyba chciałeś, żebym poczuł się właśnie tak.

— Masz rację — przyznał Prilicla i zaniósł się krótkim trelem. — Jednak nie igrałem z twoimi emocjami. Chęć pomocy była już w tobie. Ale czuję, że chcesz powiedzieć coś jeszcze.

— Tak, mam kilka sugestii. Myślę, że powinieneś ustalić dokładny czas i miejsce powrotu Creethara oraz poinformować Remratha i innych, gdyby chcieli poczynić jakieś przygotowania. Wiem, że bardzo chcą go zobaczyć, więc uprzedzenie ich byłoby uprzejmością mogącą zmniejszyć ich wrogość wobec nas. Najlepsza pora to chyba wczesne przedpołudnie, kiedy wszyscy wracają na posiłek. To zagwarantowałoby obecność mnóstwa widzów, chociaż sam nie wiem, z dobrym czy złym skutkiem.

— I ja tego nie wiem — rzekł Prilicla. Szybko podał na statek czas i okoliczności wypisania pacjenta, po czym wrócił do rozmowy. — Ale jak ich uprzedzisz, skoro zamykają uszy, ilekroć próbujemy do nich przemówić? Zapomniałeś o tym? Bo nie wyczuwam, aby cię to martwiło.

Gurronsevas zawsze starał się unikać marnowania czegokolwiek, czy były to słowa, surowce czy czas. Zamiast odpowiedzieć, skręcił lekko, aby jego usta znalazły się na wprost pracującej dwieście jardów dalej grupy. Nabrał powietrza.

— To wiadomość od uzdrowicieli ze statku — powiedział wyraźnie i powoli. — Za dwa dni, godzinę przed południem, myśliwy Creethar zostanie przywieziony pod wejście do kopalni.

Spostrzegł, że nauczyciel zamknął uszy już po pierwszych słowach i rzucił coś gniewnie, zapewne każąc uczniom zrobić to samo. Nie dało to jednak większego efektu. Dzieci zerwały się z miejsc, zaczęły skakać wokół nauczyciela i krzyczeć jedno do drugiego. Gurronsevas wiedział, że dorośli mogą być głusi na ich słowa, nie ma jednak sposobu, aby nie posłuchali własnych dzieci.

Do wieczoru nowina o powrocie łowcy powinna być znana w całej kopalni.

— Dobry pomysł — rzekł Prilicla, skręcając wdzięcznie w stronę statku. — Ale to nie wszystko, co masz do powiedzenia. Wracajmy do naszego pacjenta.

Wyszło tak, jakby Gurronsevas był lekarzem prowadzącym Creethara. Zostawali sami na długie godziny, podczas gdy zespół medyczny tłoczył się w jadalni albo przechodził do swych kabin czy na pokład rekreacyjny. Było oczywiste, że Williamson na Tremaarze nagrywa każde słowo, jednak kanał był jednostronny i żadne komentarze kapitana statku zwiadowczego nie przeszkadzały w rozmowach.

Samo nawiązanie pogawędki było proste, trudniej przychodziło znalezienie tematu, który nie wygasałby po parunastu zdaniach. Prilicla meldował, że następujące po tym chwile ciszy pełne były silnego stresu, w którym dominowały strach, złość i rozpacz. Na razie nikt nie pojmował, skąd się to mogło brać.

Stosunkowo bezpiecznym tematem była historia Wemaran i ich trwającej od wieków walki o przetrwanie w świecie, który omal nie zginął przez brak kontroli nad zanieczyszczeniami. Nawet jeśli nie było to zagadnienie przyjemne i jeśli czasem i tutaj pojawiała się sporna kwestia roli diety mięsnej w udanej prokreacji. Creethar twierdził, że w dawnych czasach pola i lasy pełne były wielkich stad zwierząt. I dżungle, i stada dawno już zniknęły, ale jedzenie mięsa, choćby rzadko i tylko po kęsku, stało się dla nich czymś w rodzaju religii.

W odpowiedzi Gurronsevas przyznał, że owszem łowcom należy się mięso, szczególnie że zdobyli je z wielkim wysiłkiem, i sporo ryzykując. Jednak dodał że uprawa ziemi blisko domu daje więcej żywności przy nikłym ryzyku, nawet jeśli nie zapewnia sławy, jaką zdobywali myśliwi. Tak było przez wieki na niezliczonych światach, tak też było teraz na Wemarze.

Zachęcony przez Priliclę dodał, że w przeszłości nawyk jedzenia mięsa wiązał się raczej z jego dostępnością i wygodą konsumentów. Nie wynikał natomiast z fizjologicznej potrzeby. Przypomniał, że jedzące warzywa dzieci są ogólnie zdrowsze i lepiej odżywione niż dorośli. To samo dotyczyło starszych. Dumni mięsożercy tymczasem głodzili się niepotrzebnie. Po tych słowach na blisko godzinę zapadła pełna urazy cisza.

Creethar nie był jeszcze przekonany, że mięso naprawdę nie jest koniecznym warunkiem utrzymania potencji, ale po kilku dniach jedzenia potraw Gurronsevasa jego pewność zaczęła się kruszyć.

Samo jedzenie też należało do bezpiecznych tematów, szczególnie gdy chodziło o przygotowywanie i prezentację najnowszych dań, jednak próby skierowania rozmowy na temat innych łowców, Remratha czy pracy młodych pomocników kucharskich kończyły się niezmiennie ciszą. Tylko raz pacjent rzucił gniewnie, że kuchnia i kucharzenie to ani dobre miejsce, ani zajęcie dla młodego Wemaranina. Gdy Gurronsevas spytał dlaczego, został oskarżony o głupotę i brak uczuć.

Tuż przed wyrzuceniem z kopalni Remrath oskarżył go o coś bardzo podobnego. Sfrustrowany brakiem postępów, dietetyk wrócił do tematu jedzenia.

O tym mógł opowiadać naprawdę swobodnie. Mówił o rozmaitych potrawach, które serwował, o niesamowitych i różnorodnych istotach, które żywił. Temat prowadził w nieunikniony sposób do rozmów o obcych, ich wierzeniach i przekonaniach, ich życiu społecznym i gustach, w tym gustach kulinarnych ponad sześćdziesięciu ras, które tworzyły Federację.

Starał się bardzo zaszczepić w umyśle Creethara świadomość, że Wemar jest jedną z setek zamieszkanych planet, i żałował, że nie ma wśród nich drugiej takiej, gdzie spotykałoby się zachowania podobne do tych na Wemarze. Może to byłaby szansa na przebicie się przez mur milczenia Wemaranina.

Tymczasem reakcje emocjonalne Creethara pozostawały niezmienne.

— Ja też jestem rozczarowany, przyjacielu Gurronsevas — rzekł w pewnej chwili empata. — Nasz pacjent jest bardzo zainteresowany i zaciekawiony tym, co mu opowiadasz, bywa nawet wdzięczny, bo dzięki tobie może się oderwać od osobistych problemów. Jednak wspomniane wcześniej negatywne emocje nie znikają, nawet jeśli czasem słabną. To, co najsilniej odczuwa wobec ciebie, można zapewne porównać z oferowaniem przyjaźni. Może nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale i ty rozwinąłeś w sobie coś takiego, tak samo jak podczas kontaktu z Remrathem. Czuję jednak, że obaj jesteście już zmęczeni. Odpocznijcie, a może potem pojawi się jakiś nowy pomysł.

— Creethar ma opuścić statek już za niecałe siedem godzin — zauważył Gurronsevas. — Chyba byliśmy zbyt ostrożni, ukrywając przed nim tę wiadomość. Pora, by już mu o tym powiedzieć. Nie mamy wiele do stracenia.

— Wyczuwam twoją frustrację i współczuję — rzekł empata. — Ale ilekroć poruszałeś temat powrotu do kopalni, następowała niechętna reakcja, po niej zaś cisza. Mamy zbyt wiele do stracenia.

— Wspomniałeś, że Creethar i ja jesteśmy zasadniczo przyjaciółmi. Ale powiedz, czy wystarczająco dobrymi, aby wybaczyć sobie gorzkie słowa czy mimowolne obrazy?

— Wyczuwam w tobie determinację — stwierdził bez wahania empata. — Przekażesz pacjentowi wiadomość niezależnie od tego, co ci powiem. Powodzenia, przyjacielu Gurronsevas.

Przez chwilę dietetyk szukał słów, które byłyby na miejscu i jednocześnie mogły złagodzić ewentualną przykrość, gdyby mimowolnie sprawił ją tej dziwnej istocie, która została jego przyjacielem.

— Wiele chciałbym ci jeszcze powiedzieć, Creetharze, pierwszy łowco, i wiele pytań zadać. Nie zrobiłem tego dotąd, gdyż ilekroć próbowałem, ogarniała cię złość i nie chciałeś ze mną rozmawiać. Remrath też unika rozmów ze mną i zabrania mi wstępu do kopalni, a ja nie rozumiem dlaczego. Zostało nam już jednak tylko kilka godzin na rozmowę...

— Uważaj, jego emocje się zmieniają — podpowiedział Prilicla. — Nie na lepsze.

— Twoje rany się wygoiły, twój stan jest tak dobry, jak tylko może być w tej chwili. Jeszcze przed południem wrócisz do kopalni.

Creethar szarpnął się nagle, czego nie robił od wielu dni, po czym znieruchomiał. Obrócił głowę w stronę Gurronsevasa, ale oczy miał zamknięte. Co za głupia ksenofobia czy inne kulturowe uwarunkowanie, pomyślał ze złością Tralthańczyk, może spowodować taką reakcję u istoty, która poza tym jest inteligentna, cywilizowana i pod wieloma względami godna podziwu? Zanim jeszcze Prilicla się odezwał, Gurronsevas wiedział już, co usłyszy.

— Pacjent jest silnie wzburzony. Przyjaźń została zepchnięta w głąb i zanegowana przez coraz silniejszy strach, któremu towarzyszą gniew i rozpacz. Jednak walczy z nimi. Szuka ciebie. Możesz go jakoś wesprzeć? Jest mu coraz trudniej.

Gurronsevas mruknął niemal bezgłośnie słowo, którego nie wolno mu było powtarzać, gdy był dzieckiem, a którego jako dorosły też rzadko używał. Coś, co miało być w założeniu dobrą nowiną, obróciło się przeciwko pacjentowi. Nagle Tralthańczyk stracił pewność siebie. Był zły, że sprawił przyjacielowi ból, chociaż nie wiedział, dlaczego tak się stało. Rozmawiali swobodnie na wszystkie tematy, poza tym jednym. Tutaj zachowanie było całkiem obce, skrajnie dziwne. A może to zespół medyczny, albo i sam Gurronsevas, był obcy i dziwny? Ale jeśli tak, to pod jakim względem?

Coś mu umykało, tego był pewien. Jakiś element, różnica między nimi, drobna, ale zarazem szalenie istotna. Jakaś myśl zaświtała mu przelotnie, lecz zaraz zniknęła. Chętnie wysłuchałby rady Prilicli, ale wiedział, że jeśli teraz zacznie rozmowę poza autotranslatorem, Wemaranin uzna, że chodzi o jakiś sekret. Lepiej było nie ryzykować.

Nie wiedział już, co powiedzieć, powiedział więc to, co czuł.

— Creetharze, czuję się zagubiony i winny i jest mi bardzo, ale to bardzo przykro, że sprawiam ci tyle bólu. Z jakiegoś powodu nie mogę cię zrozumieć. Jednak uwierz mi, proszę, że nigdy ani ja, ani nikt tutaj nie zamierzał cię zranić. Niemniej przez naszą, a szczególnie moją ignorancję spotkało cię wiele przykrego. Czy jest coś, cokolwiek, co mógłbym zrobić, aby ci ulżyć?

Creethar był spięty, ale nie szarpał się już.

— Dziwny jesteś. Czasem całkiem niewrażliwy, czasem pełen ciepła. Owszem, jest coś, co możesz dla mnie zrobić, Gurronsevasie. Jednak nie mam śmiałości o to prosić. Chodzi o coś, o co nie prosi się nikogo z rodziny ani przyjaciela, nawet nowego i z innego świata. Dla kogoś bliskiego może to być zbyt okrutne.

— Mów, przyjacielu Creethar. Zrobię to, o cokolwiek poprosisz.

— Czy gdy przyjdzie mój czas — szepnął ledwie słyszalnie łowca — zostaniesz ze mną, opowiadając o tych cudach, które widziałeś na innych światach? Czy zostaniesz ze mną do końca?

— Gurronsevas, można wiedzieć, dlaczego ci tak wesoło? — spytał Prilicla, przerywając przedłużającą się ciszę.

— Daj mi kilka minut na rozmowę, a wszystkim będzie bardzo wesoło — odparł dietetyk.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Nosze z Creetharem zbliżały się z wolna, całkiem zasłonięte dla ochrony przed słońcem. Gdy Prilicla powiedział, że tylko Gurronsevas może towarzyszyć łowcy w tej drodze, wszyscy zrozumieli i byli za. Sprzeciw wyraziła jedynie Naydrad, która zaniepokoiła się, czy niewprawny kierowca nie uszkodzi jej pojazdu.

Tawsar, wszyscy myśliwi i nauczyciele, oprócz Remratha, oraz cała młodzież tłoczyli się już na stoku przed kopalnią. Zastawili tylko trochę miejsca na trzy małe wózki ręczne. Gurronsevas podjechał powoli i zatrzymał się trzy jardy od wózków. Gdy nosze osiadały na ziemi, otworzył kabinę, aby wypuścić Creethara.

Zebrani Wemaranie stali w kompletnej, pełnej szacunku ciszy. Ich odczucia wobec obcych były w tej chwili nieodgadnione. Nawet najmłodsze dzieci milczały wpatrzone w postać byłego pierwszego łowcy, postać zdrową i całą, z jednym już tylko opatrunkiem na prawej nodze. Gdy jednak Creethar uniósł nagle głowę i wysiadł z pojazdu, rozległa się ogłuszająca wrzawa. Wemaranie zaczęli krzyczeć i tłoczyć się wokół noszy. Gurronsevas nigdy jeszcze nie słyszał czegoś podobnego. Zastanowił się, jak znosi tak żywiołowy wybuch emocji czekający na Rhabwarze Prilicla.

Jednak empata dobrze pamiętał niedawną długą rozmowę z Creetharem i wiedział, że nie ma się czego bać. Oczekiwał burzy i miał świadomość, że znajdzie w niej skrajne zaskoczenie i niepewność, ale nie będzie prawie wrogości. Ostatecznie to Creethar zaproponował, aby dla lepszego efektu taić prawdę aż do ostatniej chwili.

Lekko tylko kulejąc, podszedł do wózków, stanął nad nimi i spojrzał na puste wnętrza. Hałas nie pozwalał mu zebrać myśli, ale nie były to już krzyki, lecz raczej rozmowy, które brzmiały głośno wyłącznie dlatego, że wszyscy mówili głośno i wszyscy chcieli się słyszeć. W końcu tłum zaczął się uspokajać. Łowca jednym okiem dostrzegł podobną do Druuth kobietę znikającą w tunelu. Miał nadzieję, że szła po Remratha. Oderwał wzrok od wózków i uniósł ręce. Tłum ucichł z wolna.

— Bliscy moi, przyjaciele i łowcy — rzekł powoli. — Popełniliście poważny błąd, tak a nie inaczej oceniając zamiary i zdolności przybyszów ze statku. W tym samym błędzie i ja tkwiłem jeszcze kilka godzin temu. Teraz jednak widzicie, że nie jestem mięsem, które trzeba by załadować do wózków i zabrać do kuchni. Jestem żywy, silny i zdrowy. Wszystko dzięki temu, że nasi przyjaciele z innych światów nie są i nigdy nie byli uzdrawiaczami mięsa. Oni są uzdrawiaczami żywych.

Przerwał na chwilę. Tłum westchnął, niczym wiatr przebiegający przez łąkę, gdy wszyscy, zdumieni i zaskoczeni, w tym samym momencie wypuścili powietrze. Jednak cisza zapadła ponownie, gdy Creethar zaczął opisywać, co działo się z nim wśród obcych, o czym z nimi rozmawiał i co z nim robili. Przerwał tylko raz, kiedy ujrzał wyłaniającego się z tunelu ojca, który razem z Druuth zaczął się przepychać ku niemu. Remrath skinął jednak na syna, aby mówił dalej. Sam poszedł trochę dalej i stanął obok Gurronsevasa.

— Bardzo niesprawiedliwie oceniliśmy twoich przyjaciół ze statku — powiedział do niego cicho — jeśli wziąć pod uwagę to wszystko, co dla nas zrobili. A zwłaszcza co ty zrobiłeś. Okazałem się ciemnym i zacofanym Wemaraninem. Jest mi przykro. Witajcie z powrotem w naszym domu. I ty, i twoi przyjaciele uzdrowiciele.

— Dziękuję — odparł Gurronsevas półgłosem. — Mi też jest przykro, że byłem niemądry i niewrażliwy i nie słuchałem dość uważnie tego, co mówiłeś. To było nieporozumienie.

Zwykłe nieporozumienie...

Gurronsevas aż się wzdrygnął, wspominając część słów, które usłyszał Remrath. W swoim czasie wydało mu się dziwne i do pewnego stopnia miłe, ale w żadnym razie nie istotne, że na tym świecie sztuka kucharska i sztuka leczenia szły zawsze w parze. Potem usłyszał, że Wemaranie nazywają takie osoby uzdrawiaczami, i uznał to za całkiem naturalne. Gdyby się wtedy zastanowił, musiałby zrozumieć, że w społeczeństwie, które uznawało spożywanie coraz trudniej dostępnego mięsa zwierząt za klucz do przetrwania, żadne mięso nie może się zmarnować. To było przecież oczywiste. Gdy zatem mówił o udrowicielach, mając na myśli lekarzy, był przekonany, iż skoro w jego mowie są to prawie synonimy, tak samo musi być w języku Wemaran.

Gdyby stało się inaczej i Remrath poprosił Gurronsevasa o relację z tego, co obcy uzdrowiciele robią z jego ukochanym synem, skończyłoby się zapewne nie na gniewnej ciszy i wygnaniu z kopalni, ale na otwartym ataku. Dla Remratha uzdrowiciel był bowiem kimś odpowiedzialnym za oczyszczenie mięsa, usunięcie chorych tkanek i wyodrębnienie jadalnych części ciała przed przekazaniem ich do kuchni. Kimś wykonującym mniej więcej tę samą pracę co technik w rzeźni.

Wemaranie cofnęli się z konieczności na wielu polach, ale pozostali inteligentni i cywilizowani, zachowując wiele ze swojej kultury. To dlatego Prilicla czuł, że najlepiej będzie spróbować odrodzić kontakt za pośrednictwem niedawnego pacjenta. I jak zwykle się nie mylił.

— Przybysze zjawili się tu, aby powiedzieć nam, jak możemy lepiej żyć na naszym chorym, ale z wolna zdrowiejącym świecie — mówił Creethar. — Jednak przynieśli nam tylko wiedzę i rady. Wyjaśnili, jak i dlaczego zaraza dotknęła wieki temu nasz świat, znaleźli sposób na leczenie tej choroby i drogę, która uchroni nas przed jej powrotem...

Wiedząc, że Wemaranie zatracili już precyzyjny język nauki, Gurronsevas i Prilicla opisali katastrofę ekologiczną, która dotknęła Wemar, możliwie prostymi słowami. Teraz Creethar przekazywał je swojemu ludowi. Opowiedział o wiekach obfitości, o strasznym zatruciu ziemi, wody i powietrza i o stworzeniach, które wtedy żyły. Opisał uwalniane do atmosfery wielkie chmury trujących oparów, które docierały na tyle wysoko, że zaczęły niszczyć tarczę chroniącą Wemar przed szkodliwą częścią promieniowania słonecznego.

Najpierw zaczęły umierać najdrobniejsze stworzenia morskie, którymi żywiły się większe ryby, które z kolei były zjadane przez Wemaran. Na lądach palące słońce zabijało rośliny, którymi żywiły się stada będące pożywieniem drapieżników i samych Wemaran. Nękane głodem, chorobami i ślepotą zwierzęta ginęły masowo. Ginęli i Wemaranie, aż ich populacja stopniała do ułamka dawnej liczby, przy czym każde pokolenie było słabsze i bardziej chorowite od poprzedniego.

Jednak Wemaranie, którzy sami sprowadzili na siebie tę katastrofę, byli twardzi i umieli się dostosować do nowych warunków. I taki sam był ich świat, chociaż wtedy jeszcze o tym nie wiedzieli. Niemal wymarli i stracili prawie wszystko, niektórzy jednak nauczyli się chronić siebie i swoje dzieci przed przyjaznym niegdyś słońcem. Idąc śladem przodków, zamieszkali w jaskiniach. Zaczęli siać zboże w ocienionych dolinach, a polowali, łowili ryby i podróżowali w nocy. Uprawa innych roślin nie była popularna, bo aż do przybycia gości uważano, że dieta zdrowego, dorosłego Wemaranina musi się opierać na mięsie i rybach.

Hołdując uparcie temu przekonaniu, umierali z głodu i wskutek wypadków na polowaniach. Wszystkie zwierzęta, czy to morskie, czy lądowe, przestawiły się na nocny tryb życia, a Wemaranie nie byli istotami przystosowanymi do życia i polowania w ciemności.

— Jednak ten spadek zaludnienia i utrata techniki miały jeden zbawienny skutek — mówił dalej Creethar. — Zanikać zaczęły trucizny, które były powodem tragedii. Z wolna odradza się niewidzialna tarcza nad naszymi głowami i rośliny znowu rosną, do mórz powraca życie, to, co żyło dotąd w norach i jaskiniach, wychodzi na światło dnia. Ale musimy pomóc naszej planecie. Nie możemy bezmyślnie polować i zjadać zwierząt, które prawie już wyginęły. Musimy dać im czas, aby mogły się w pełni odrodzić. Nasi przyjaciele doradzają nam ostrożność. Długie przebywanie na słońcu nadal może być groźne, chociaż już nie tak bardzo jak w przeszłości. Z czasem, gdy się zjednoczymy, czeka nas jeszcze jedno zadanie. Będziemy musieli przekonać bogatszych od nas, żyjących na równiku, aby porzucili te smrodliwe maszyny, którymi nadal się posługują. Ale powinniśmy zrobić to bez użycia broni, pokojowo, jest nas bowiem za mało, aby się rzucać do walki. A gdy już odtworzymy nasz świat, nasi przyjaciele podpowiedzą nam, jak postępować, aby go znowu nie zatruć.

— Twój potomek jest niezłym mówcą — powiedział Gurronsevas.

Remrath zbył komplement mruknięciem, ale wyraźnie się ucieszył.

— Zanim jeszcze został myśliwym, był nauczycielem. Nie pozwoli, aby nowa wiedza popadła w zapomnienie. Tego możecie być pewni.

— Gdy opowiadałem mu o tym wszystkim, chciałem tylko odciągnąć jego uwagę od ponurych myśli. Dopiero dzisiaj rano odkryłem, że cały czas obawiał się rychłej śmierci. Teraz jednak rozumie to wszystko chyba lepiej niż ja. No, ale ja jestem tylko kucharzem.

— Pierwszym kucharzem, który odmienił oblicze świata — rzekł Remrath i poczekał, aż Gurronsevas ucieszy się z komplementu na swój tralthański sposób. — Wszyscy tu zebrani przyszli na ceremonię żałobną. Oczekiwali, że zjedzą jego mięso. Tymczasem zaś dostają inną całkiem, duchową strawę.

— Bardzo dobrze, przyjacielu Gurronsevas — rozległ się w słuchawkach głos Prilicli. — Lepiej być nie mogło. Nawet ekipa kontaktowa z Tremaara bardzo się cieszy. Kapitan Williamson przesyła gratulacje i mówi, że wysłanie tu naczelnego dietetyka było genialnym posunięciem ze strony Szpitala. Przekazuje tam właśnie raport na temat, jak to nazwał, pierwszego kulinarnego kontaktu. W Szpitalu też się ucieszą. Mówię ci o tym w pierwszej kolejności, bo wiem, jak zależy ci na opinii pułkownika Skemptona. Myślę, że nie masz się czego obawiać. Ten sukces sprawi, że twoje wcześniejsze winy zostaną wybaczone i zapomniane. Dobrze, czuję, że ci ulżyło...

— Już niebawem Gurronsevas i uzdrowiciele ze statku odlecą — ciągnął Creethar. — To niesamowite istoty, zwłaszcza ich kucharz, który przypomina potwora z dziecięcych koszmarów. Niemniej nawet najmłodsze dzieci mogą zwać go przyjacielem. Obcy odlecą, gdyż czeka ich wiele pracy gdzie indziej. Tak samo odlecą ci, którzy przybyli tu wcześniej. Przekonali się, że Wemaranie są dumną rasą, i chociaż chętnie nam pomogą, nie pozwolą, abyśmy się uzależnili od tej pomocy, gdyż to mogłoby sprowadzić na nas inną chorobę, chorobę wiecznie niedorosłego umysłu. Zamiast tego nauczą nas, jak możemy pomagać sobie sami. Jeśli tego dokonamy, ożywimy planetę, odbudujemy naszą cywilizację i w końcu wzlecimy do gwiazd, by odwiedzić naszych przyjaciół w ich domach. I nie będzie to wcale tak odległa chwila...

— Dziś wieczorem nie będziemy jeść mięsa — powiedział poważnym tonem Remrath. — Ja, Druuth i w ogóle wszyscy bardzo się z tego cieszymy. Dziękuję ci, przyjacielu.

Gurronsevasa zmieszała tak bezpośrednia deklaracja. Rozejrzał się po radosnym tłumie.

— Taka zmiana menu w ostatniej chwili to zawsze problem. Nie przydałby się wam dzisiaj dodatkowy kucharz?